

Daria Charon

Siostrzenica markizy

Prolog

Markiza Juliette de Solange siedziała na szezlongu w buduarze pałacu Collignard. Zesztywniały jej plecy. Miała za złe hrabiemu de Saint - Croix, że ją tutaj ściągnął. Jednak siostrzeńcowi króla się nie odmawia. A już na pewno nie wtedy, gdy na umorzenie czeka stos niezapłaconych rachunków.

Na szerokim łóżku, oddalonym od niej o niecałe trzy metry, leżał hrabia z dwiema dziewczętami. Cała trójka była naga. Brunetka lizała pobudzone przyrodzenie hrabiego, podczas gdy druga czarnowłosa kobieta siedziała na jego twarzy, odwrócona do markizy swoimi smukłymi plecami. Pierścienie na palcach mężczyzny połyskiwały w świetle świec, gdy zanurzył swe dłonie pomiędzy jej pośladkami.

Pokój wypełniały zapachy miłości i duszących perfum, słychać było głośnie dyszenie i jęki wydobywające się z dwóch gardeł. Lustro na komodzie pozwalało markizie obserwować twarz czarnowłosej dziewczyny. Miała zamknięte oczy, bladą cerę, cienkie, niczym namalowane tuszem brwi i usta przypominające wypłowiały kwiat róży.

Markiza wiedziała, że czarnowłosa miała na imię Christine. Trzy miesiące temu odkupiła małą od rodziców, zapłaciła za nią garść liwrów. Przed miesiącem, za sto razy tyle, zostawiła dziewczynę hrabiemu de Saint - Croix. Dzisiaj wezwał ją, by na własne oczy przekonała się o niedoskonałości Christine. Brunetka zmieniła pozycję. Podczołgała się do hrabiego, kucnęła nad nim i wbiła się na jego twardego penisa. Gdy całkiem w niej zniknął, zaczęła się po nim ślizgać w górę i w dół, kręciła miednicą, jęcząc przy tym głośniejsz niż przed chwilą.

Hrabia zabrał ręce z pośladków Christine i popchnął jej tułów do przodu, opierając go na brunetce. Dziewczyna poddała się jego ruchom, jak gdyby była lalką.

- Złap ją za piersi, Belle. Gładź jej sutki tak długo, aż staną się twarde - polecił. - Chcę, żeby ta ryba doszła.

Markiza starała się zachować obojętny wyraz twarzy. To wszystko jej nie obchodziło. Była jedynie pośredniczką.

Bella posłuchała, nie przerywając swoich ruchów. Pocierała i delikatnie pociągała różane sutki tak długo, aż poczerwieniały i stały się nabrzmiące, podczas gdy hrabia bezustannie zajmował się wygoloną szczeliną pomiędzy udami dziewczyny.

Oczy Christine były nadal zamknięte, z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk, podczas gdy pozostała dwójka pojękiwała i dyszała.

- Na dół, obie! - krzyknął wreszcie pobudzony hrabia i grubiańsko odepchnął Christine. Leżała na łóżku w bezruchu.

Bella osunęła się na koniec łóżka i spod gęstych rzęs rzuciła hrabiemu uwodzicielskie spojrzenie. Jednak bez skutku. Obrócił się i uklęknął pomiędzy udami Christine.

Łaskawy Bóg obradował Thierry'ego de Saint - Croix wyglądem anioła. Idealne, symetryczne rysy twarzy okalały złote włosy. Światło świec rzeźbiło jego muskularne plecy i długie kończyny, sprawiając, że przypominał bogów z olejnych obrazów, które zdobiły salony Wersalu. W mgnieniu oka jednak wściekłość wykrzywiła jego oblicze w sardoniczną maskę.

Wbił się w Christine, oparł ręce obok jej głowy i dalej pompował. Na jego plecach pojawiły się krople potu, żyły na jego przedramionach nabrzmiały.

Zdegustowana markiza odwróciła głowę. Wiedziała, co teraz nadejdzie, dlaczego kazał ją tu wezwać. Wcale nie podobało jej się to, że musi uczestniczyć w tej rozmowie.

Leżąca w nogach łóżka Belle sama zaczęła się głaskać. Prawą dłoń położyła na łonie, lewą masowała sobie piersi. Hrabia już jej nie obchodził, oddała się swej własnej przyjemności. Odchyliła głowę do tyłu, rysy jej twarzy stały się miękkie. Jęczała tak głośno i zmysłowo, że markizie zdawało się, iż sama czuła jej podniecenie.

Kciuk Belle okręzał aureolę twardego sutka, wciąż delikatnie dotykając jego czubka. By mieć lepszy dostęp, rozłożyła szerzej nogi i zaczęła pieścić się w tym samym tempie, w którym hrabia zanurzał się w Christine. Doszła szybciej niż on i w końcu, zmęczona, opadła na łóżko, podczas gdy on potrzebował jeszcze kilku ruchów, by wytrysnąć.

Markiza przygotowała się na nieuniknione. Gdy hrabia wstał z łóżka, oparła się. Stał przed nią, zlany potem, jego członek wciąż był sztywny i błyszczący.

- Widziałyście markizo to na własne oczy. Ta dziewczucha nie dochodzi. Nieważne, co z nią robię. Leży pode mną, jakby była martwa - powiedział zdyszany. - Żądam, byście ją markizo z powrotem zabrały. I przyprowadziły mi dziewczynę tak gorliwą w tych sprawach jak Belle.

- Chcieliście przecież hrabio dziewicę. Nietkniętą. Nieuświadomioną. Przyprowadziłam ją wam. Nikt nie może przewidzieć, czy nietknięta dziewczyna będzie czerpała przyjemność z erotycznych zabaw - odmówiła sobie dodania, że zależy to również od sposobu, w jaki mężczyzna ją w świat owych zabaw wprowadzi. - Gdy przedstawiłam wam Christine, byliście nią oczarowani. Nie można porównywać jej z Belle - markiza zawahała się przez chwilę i wypaliła tezę, której nie była pewna, a która opierała się jedynie na jej długoletnim doświadczeniu. - Belle jest kurtyzaną, opłacaną w zamian za swe usługi. Ma doświadczenie. I miała w swoim życiu więcej niż jednego mężczyznę.

Hrabia nie zareagował na tę odpowiedź. Zamiast tego powtórzył:

- Zleciłem wam markizo znalezienie mi chętnej dziewczicy. A wy przyprowadziłyście mi zimną, martwą rybę.

- Nie - odpowiedziała markiza, zmuszając się do zachowania spokoju. Nie mogła pozwolić sobie na utratę takiego klienta, ale chciała również zachować twarz.

- Jednak z uwagi na naszą długoletnią... znajomość jestem gotowa przyprowadzić wam hrabio inną dziewczynę, biorąc za to nie więcej, niż za nią zapłacę. Jeśli jednak chcecie pozbyć się Christine, musicie sami to zorganizować. Ja nie jestem za to odpowiedzialna.

- Kiedy? - burknął niecierpliwie, całkowicie ignorując jej ostatnie zdanie.

W Paryżu panował upał. Myśl, że będzie musiała teraz jeździć po kraju w ciasnej, dusznej karecie i zatrzymywać się w każdej wsi sprawiła, że markiza de Solange otrząsnęła się ze wstrętem.

- Dajcie mi hrabio kilka tygodni. Zobaczę, co da się uczynić.

Rozdział 1

- Marie, przestań wreszcie się gapić i pracuj dalej.

Głos rozniósł się po całym polu. Marie rzuciła swej siostrze Elaine niechętnie spojrzenie i zaczęła grabić skoszoną trawę.

W zasięgu jej wzroku wciąż pozostawała karetą zaprzęgnięta w cztery konie, telepiąca się wzdłuż polnej drogi. Rzadko zdarzało się, by taki wspaniały pojazd zabłądził do Trou - sur - Laynne. Marie pytała samą siebie, jak to się mogło stać. Stangret musiał źle skrócić na rozwidleniu w drodze do położonego dużo dalej na południe Le Puy. W końcu w tej wsi nie było nic, co mogłoby sprawić, że przyjezdni zadaliby sobie trud przyjechania tutaj. Nawet krajobrazu nie można było określić mianem imponującego czy chociażby przyjemnego. Był prosty i najzwyczajniej płaski. Żadnych lasów, leczniczych wód, żadnego jeziora. Jak okiem sięgnąć same pola i pastwiska.

A pośród nich znajdowało się Trou - sur - Laynne, zbiorowisko skromnych domostw, które nie zasługiwało nawet na miano wsi.

Marie starła rękawem krople potu z czoła. Tego wrześnieowego dnia słońce przypiekało niemiłosiernie, lejąc się z wyjątkowo niebieskiego nieba. Od początku tygodnia wraz z siostrami i braćmi zbierała siano na zimę. Letnie słońce rozjaśniło pasemka jej blond włosów, nadało cerze kolor złotego karmelu, na tle którego jej oczy lśniły ogniem drogocennych szmaragdów.

Jej brat, Antoine, postawił swój kosz obok na ziemi.

- Ten upał mnie dobija. Masz jeszcze wodę? - Spojrzał z chciwością na jej przewieszoną butelkę. Marie podała mu ją.

- Tylko trochę. Zostaw coś dla mnie.

- Jasne - uśmiechnął się, odkorkował butelkę i zaczął chciwie pić. Woda lała się mu się po brodzie i nagim torsie.

- Hej, starczy już, obiecałeś, że zostawisz coś dla mnie - Marie próbowała wyrwać mu butelkę z ręki, ale on trzymał ją poza jej zasięgiem i obrócił do góry dnem, tak, by dziewczyna widziała, jak ostatnie krople wody spadają na ziemię.

- Cóż za pech, siostrzyczko, butelka jest pusta.

Marie gapiła się na niego. W jej oczach stanęły łzy wściekłości, zacisnęła pięści. Nienawidziła go. Nienawidziła całej swojej rodziny. Całego swojego życia. Pracy od świtu do zmierzchu. Zawsze było zbyt mało jedzenia przy stole, by się najeść. Nigdy nie miała niczego

tylko dla siebie. Zawsze musiała się dzielić, dzielić, dzielić. Sukienkę, która miała na sobie, nosiły wcześniej jej cztery siostry. Za każdym razem, gdy ją zakładała, bała się, że pękający materiał na nowo się rozerwie. Sukienka była łątana tyle razy, że nie można już było rozpoznać jej pierwotnego koloru.

Antoine wziął kosz na ramiona i poszedł dalej. Rozgniewana Marie schyliła się po butelkę, którą niedbale wyrzucił. Suszenie siana miało trwać aż do zachodu słońca, a już teraz czuła, że zaschło jej w gardle.

Dziewczyna wyprostowała się i mocniej złapała widły. Dlaczego była tak głupia i dała Antoine'owi swoją wodę?

Znała go przecież. Wiedziała, czego można się po nim spodziewać - drwin, lekceważenia i złośliwości; na pewno nie wdzięczności.

Musiała oduczyć się współczucia innym. Musiała być tak samo twarda jak Antoine i reszta rodziny. Tylko w ten sposób mogła przetrwać. Już nikt nie zdoła jej zranić.

Wzięła rozmach, zgrabiła suchą trawę i mrugając, powstrzymała łzy. Już nikt nie zdoła jej zranić. Już nikt nie zdoła... Już nikt... Nikt...

Bolały ją plecy, jej usta były wyschnięte na wiór, nielitościwe słońce wciąż jednak było wysoko. Marie ponownie wytarła rękawem pot z czoła i spojrzała na polną drogę. Upał sprawiał, że powietrze drgało, dlatego zmrużyła oczy, by lepiej przyjrzeć się nadjeżdżającemu pojazdowi.

A jednak nie była to fatamorgana: wóz ciągnięty przez starą chabetę okazał się furmanką jej ojca. Ten okładał starą szkapę batem, jak gdyby chodziło o wygranie wyścigów, wrzeszczał przy tym niezrozumiałe słowa.

Marie upuściła grabie, uniosła sukienkę do góry i jak jej cztery siostry podbiegła do swego ojca. Musiało zdarzyć się coś złego, inaczej nie zjawiłby się tutaj w ciągu dnia.

Furmanka zatrzymała się, a ojciec zawołał ochrypniętym głosem:

- Wsiadajcie, nie mamy czasu do stracenia!

Wsiadła za Simone na wóz. Jej siostra, Elaine, usiadła za kozłem.

- Co się stało, tatku? Coś z mamą (mama - mama - przyp. tłum.)?

- Nie, nie, z nią wszystko dobrze, nie martwcie się, moje gołąbeczki. - Marie nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała ojca tak przejętego.

Martin Calliere był mężczyzną roztropnym, który miał w zwyczaju dokładnie oceniać sytuację, zanim zdecydował się na działanie. Jego stoicki umysł nie pozwalał mu ani na podejmowanie szybkich decyzji, ani na zmianę podjętych rozstrzygnięć.

- Dlaczego po nas przyjechałeś, tatku? Przecież do wieczora jeszcze daleko - stwierdziła Veronique.

- Bo to ważne, ma petite (ma petite - moja mała - przyp. tłum.). Niebiosa zesłały nam anioła, który zmieni nasze życie.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie Elaine Marie wzruszyła ramionami. Taka skrytość nie leżała w naturze ich ojca, tak samo jak wiara w siły niebieskie. W najbliższej przyszłości i tak się dowiedzą, co było powodem przyjazdu ojca na pole.

Simone przechyliła się do niej i wyszeptała:

- Myślisz, że spadł z dachu?

Marie stłumiła chichot.

- Może kopnął go koń.

Ku ich zdziwieniu podczas karkołomnej jazdy napotykali na inne furmanki z tak samo przejętymi woźnicami. Do Trou - sur - Layne dojechali o niebo szybciej niż zwykle. Ojciec stanął przed największym domem we wsi, należącym do chłopca Luca Serranta.

Marie zauważyła ze zdziwieniem, że przed budynkiem stało już kilka furmanek. Poza tym dostrzegła dużą karekę, którą obserwowała podczas pracy na łące. Konie zostały wyprzęgnięte - pewnie zaprowadzono je za dom, by je napić.

Razem z siostrami zsiadła z wozu i spojrzała wyczekująco na ojca. Ten, zamiast im coś wyjaśnić, poszedł przodem przed córkami i otworzył ciężką, drewnianą bramę. - Pospieszcie się, nie jesteśmy wprawdzie pierwsi, ale na szczęście przybyliśmy jeszcze przed większością mieszkańców.

Marie nadal nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć, a z twarzy swoich sióstr wyczytała, że były one tak samo zdziwione. Przy wypolerowanym stole w najlepszej izbie siedziała kobieta. Była odwrócona plecami do okna, w świetle rysował się więc jedynie kontur jej kręconych włosów, na których znajdował się kapelusz z

szerokim rondem, ozdobiony piórami, spod którego nie było widać twarzy.

Inne dziewczęta ze wsi stały razem w grupie i patrzyły na siebie. W pomieszczeniu panowała dziwna, nieuchwytna atmosfera. Najdziwniejsze było jednak to, że nikt nie wypowiedział ani jednego słowa.

- Przygotowałam izbę, madame la marquise (madame la marquise - pani markizo - przyp. tłum.). W każdej chwili jest do waszej dyspozycji - Francoise, żona Luca Serranta, wyszła z pokoju obok i stanęła przed siołem. - Czym mogę jeszcze służyć?

- Poślę po ciebie, na tę chwilę niczego więcej nie potrzeba - głos kobiety był mocny, starannie wymawiała słowa. Kiwnęła głową na znak, że Francoise może odejść.

Do pomieszczenia wepchnęło się kilkadziesiąt kolejnych dziewcząt, znalazło się ich około trzydziestu. Albo lepiej: zostało przyprawdzonych przez swych ojców. Kobieta przy stole wypła małymi łydkami wino z kieliszka i wstała. Jej ruchy były sprężyste. Gdy podeszła do dziewcząt i stanęła przed nimi, jej brązowa, jedwabna suknia podróżna cicho zaszeleściła.

Jej dekolt był zabudowany gęstą, kremową koronką, która, ciasno przylegając, zakrywała także szyję. Biały puder na twarzy kobiety sprawił, że jej rysy zastygły niczym maska, cynobrowy kolor ust i policzków był zupełnie nienaturalny. Zamiast brwi na jej czole znajdowały się dwie wypukłe, cienkie i czarne kreski.

Była niższa niż większość dziewcząt, miała jednak tak prostą sylwetkę, że sprawiała wrażenie wysokiej. - Jestem markiza de Solange. Przyjechałam tutaj, by niektórym z was dać szansę na lepsze życie - zrobiła przerwę, aby jej słowa wywarły odpowiednie wrażenie na zebranych. - Zamożne, szlacheckie rodziny w Paryżu wciąż szukają pojętnych pokojówek i służących. Rodziny te cenią zapał do pracy przypisywany ludziom ze wsi, uczciwość i czystość.

Serce Marie zaczęło walić jak oszałałe. Paryż. Nazwa ta była muzyką dla jej uszu. Czy to możliwe, że nie będzie skazana na spędzenie reszty życia w tej nędznej dziurze? Uważnie słuchała słów markizy, która miarowymi krokami chodziła wzdłuż rzędu dziewcząt.

- Z tego powodu poszukuję młodych, pojętnych kobiet, które nienagannie się prowadzą. Im właśnie umożliwię rozpoczęcie nowego życia w Paryżu.

Podniósł się szmer. Na twarzach malowały się zarówno nadzieje, jak i obawy. Markiza podniosła dłoń i natychmiast znowu zapanowała cisza.

- Nie mogę zabrać ze sobą wszystkich, nie mogę zabrać nawet połowy z was - oznajmiła, spoglądając na dziewczęta. - W najlepszym razie mogę zabrać do Paryża i umieścić w szlacheckich domostwach trzy młode kobiety. Oznacza to, że muszę rozczarować bardzo wiele z was oraz to, że mój wybór będzie surowy.

Cofnęła się o krok i splotła ręce.

- Te dziewczęta, które mają więcej niż dwadzieścia lat, mogą odejść.

Przez chwilę panowała cisza, następnie od grupy oddzieliła się prawie połowa młodych dziewczyn. Wśród nich znajdowały się także Elaine i Veronique.

Marie kurczowo ścisnęła dłonie i czekała na to, co dalej powie ta kobieta. - Te z was, które kiedykolwiek chorowały na czarną ospę lub płasawicę również mogą odejść.

Markiza de Solange milczała, dopóki czwórka dziewcząt nie opuściła pomieszczenia. Jej oczy przyglądały się pozostałemu tuzinowi. Stłumiła westchnienie. W trakcie tych uciążliwych podróży po prowincji zauważyła, że jej kości starzały się tak szybko jak twarz.

Od jazdy w dusznej karecie bolała ją głowa. Tak źle jak tym razem nie było jeszcze nigdy. Na dodatek przeczuwała, że także w tej dziurze nie znajdzie odpowiedniej dziewczyny. Oznaczało to, iż będzie musiała jeszcze znosić trzęsienie w karecie.

Podeszła do pierwszej dziewczyny, wyciągnęła dłonie w rękawiczkach i wzięła ją za brodę. Pomimo najlepszych chęci jej rysy nie mogły zostać określone nawet jako przeciętnie ładne. Jej sąsiadka miała szorstką cerę z dużymi porami i nieforemny nos, z którego wystawały końcówki czarnych włosów. Następnej dziewczynie brakowało trzech siekaczy, co nie przeszkadzało jej w szerokim uśmiechaniu się. Kolejna miała bladą, klajstrowatą cerę kluchy drożdżowej.

Markiza powstrzymała drżenie i zwróciła się ku kolejnej dziewczynie. Jej wzrost nie odpowiadał upodobaniom jej klientów, którzy woleli niskie, drobne kobiety. Pomimo tego dziewczyna stała prosto, a jej pełne piersi odznaczały się pod cienką sukienką. Jej skóra była spalona słońcem tak jak u reszty dziewcząt, ale taką wadę można

łatwo usunąć. Wzięła brodę dziewczyny, by przyjrzeć się jej twarzy. Smugi brudu zdradzały, że właśnie wróciła z pracy w polu.

Błyszczące oczy nie unikały jej wzroku, co zdziwiło markizę, gdyż była ona przyzwyczajona do tego, że dziewczęta patrzyły na nią ukradkiem z pokorą, strachem i nadzieją. Jeśli ta mała odczuwała coś takiego, to doskonale potrafiła ukryć te uczucia pod osłoną arogancji. Puściła jej brodę.

- Idź do izby i poczekaj tam na mnie. W międzyczasie umyj sobie twarz.

Marie uniosła sukienkę i uczyniła, co jej kazano. Nie wiedziała, czy to był dobry, czy zły znak. W izbie stały miska i dzbanek wody. Francoise naszykowała nawet kawałek kosztownego mydła.

Gdy Marie umyła sobie twarz, dotknęła swoich włosów. Oczywiście zaplecione rano warkocze rozluźniły się. Żałowała, że nie miała grzebienia i wystarczająco dużo czasu, by odpowiednio się przygotować - markiza weszła właśnie do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi.

- Jak masz na imię? - spytała, zdejmując rękawiczki.

- Marie. Marie Calliere - dziewczyna miała nadzieję, że jej głos brzmiał pewnie i mocno.

- A więc, Marie, ile masz lat?

- Osiemnaście. Markiza skinęła głową.

- Dobrze. Rozbierz się, Marie.

W pierwszej chwili dziewczyna pomyślała, że się przesłyszała. Jednak gdy kobieta patrzyła na nią wyczekująco, zaczęła rozpinąć guziki sukienki i ściągnęła drewniaki ze stóp.

- Zdejmij również koszulę i halkę - powiedziała markiza, stojąc obok niej.

Marie próbowała ukryć drżenie swoich dłoni, gdy posłusznie odwiązywała taśmę trzymającą halkę. Stała z opuszczoną głową, jej ręce zwisały bezużytecznie po bokach nagiego ciała.

Markiza milcząc, obesła ją dookoła, jednak jej nie dotknęła. Marie miała wrażenie, że ma usta wypełnione piaskiem. Czowała, jak płonie jej twarz. Zarówno ze wstydu, jak i nadziei.

- Rozpuść włosy.

Posłusznie podniosła ręce i sięgnęła po spinki, którymi przymocowała warkocze do głowy. Rozłożonymi palcami rozdzieliła grube sploty, aż włosy opadły na ramiona i piersi.

Markiza obserwowała ruchy dziewczyny, oparłszy się o łożko. Próbowała stłumić podniecenie, skrzyżowała ramiona, by oprzeć się pragnieniu dotknięcia dużych piersi ze sterczącymi, różanymi sutkami. Ciało Marie było bez skazy. Pod jedwabistą skórą widać było jędrne ciało, mięśnie, które nabrały sprężystości podczas pracy w polu. Żadnego obwisłego tłuszczu jak u wielu siedzących beczynnie szlacheckich córek.

Poruszała się z naturalną gracją, nikt jej tego nie uczył. Twarz, już czysta, przywodziła na myśl malunki Petera Paula Rubensa. Twarz w kształcie serca, nad brodą pełna, dolna warga. Nos mały i delikatny, oczy duże, w kolorze nienaturalnej, intensywnej zieleni. Spojrzenie dziewczyny nie było ani puste, ani naiwne.

Ta mała nie była głupia. Mogło to być zaletą jak również ogromną wadą.

- Umiesz czytać i pisać, Marie? - spytała, wyrrywając się z zadumy.

- Nie, madame la marquise. Moi rodzice nie mają pieniędzy, by opłacić proboszcza, który mógłby nauczyć tego mnie i moje siostry. Moi bracia umieją czytać i pisać, ale my, dziewczęta - nie. Żadna dziewczyna tutaj tego nie potrafi - dodała pośpiesznie, by podkreślić ten fakt i szybko mówiła dalej. - Ale za to potrafię dobrze szyć, pomagam siostronom w zaplataniu włosów i często stoję przy kuchni, by wyręczyć matkę.

Markiza milczała, tłumiąc uśmiech. Jeśli wszystko skończy się tak, jak jej się wydaje, ta dziewczyna nigdy już nie weźmie igły w palce ani nie będzie sterczała w kuchni. Zdecydowała doprowadzić sprawę do końca.

- Marie, jesteś dziewicą? Czy między swoje uda wpuściłaś już kiedyś jakiegoś mężczyznę?

Głowa dziewczyny gwałtownie podniosła się do góry.

- Nie, oczywiście, że nie. Co wy sobie o mnie myślicie? - trochę ciszej mówiła dalej - Mój ojciec by mnie zabił, gdybym wpuściła jakiegoś chłopaka ze wsi.

Markiza zbyt często już słyszała takie i inne poruszające zapewnienia, dosyć często okazujące się całkowitymi kłamstwami. Pokusa wybrania się do Paryża sprawiała, że niektóre prowincjonalne piękności zapominały o większości mężczyzn, którzy w nie weszli.

Tyle, że klienci byli wymagający i otwierali sakwę z pieniędzmi jedynie w zamian za dziewicę.

- Połóż się na łóżku, Marie. Sprawdzę, czy mówisz prawdę - powiedziała więc bez ogródek.

Z twarzy dziewczyny odpłynęły wszystkie kolory. W duchu przypominała sobie wszystkie spotkania z Leonem, każdy pocałunek i każde dotknięcie. Obiecał jej, że poczeka do ślubu. Chciał porozmawiać ze swoim ojcem, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Obsypywali się więc jedynie czułością, by w przyszłości móc dumnie i uczciwie stanąć przed ołtarzem.

Nie wiedziała, co markiza chciała sprawdzić, czy mogła stwierdzić, że Leon dotykał jej ciała i głaskał je. Albo czy mogła się dowiedzieć, że podczas samotnych, chłodnych, zimowych nocy Marie robiła to sama. Cieleśna strona miłości nie była jej obca, widziała, jak parzą się świnię i kozy, założyła więc, że u ludzi odbywa się to podobnie. Nie wiedziała jednak, jak wyglądało to w rzeczywistości. A już w ogóle nie miała pojęcia, co markiza chciała sprawdzić.

Strwożona położyła się na łóżku. Jej palce ścisnęły kurczowo prześcieradło. Utkwiła wzrok w jakimś punkcie na niskim stropie.

- Rozłóż nogi, Marie - markiza podeszła do łóżka i poczekała, aż dziewczyna powoli rozłoży długie nogi, między którymi znajdowało się ciemnozłote runo. Widok sprawił, że kobieta zapłonęła na nowo, ponownie jednak przywołała się do porządku. Jeśli dziewczyna mówiła prawdę, nadarzy się jeszcze dużo okazji do uroczych igraszek, zanim dostarczy ją jej właściwemu przeznaczeniu.

Pogładziła złoty trójkąt i zagłębiła palce w gorący, wilgotny otwór, przy czym trwało to dłużej, niż było to konieczne. Jednocześnie patrzyła na twarz dziewczyny. Marie zacisnęła powieki i przygryzła dolną wargę. Każdy mięsień w jej ciele był napięty. Ta reakcja jednoznacznie mówiła, że kłamała w kwestii dziewictwa. Markiza z zaskoczeniem stwierdziła jednak, że błona dziewicza była nienaruszona.

Niechętnie zabrała rękę i wstała. Dziewczyna natychmiast złożyła nogi i otworzyła oczy.

- Możesz się ubrać, Marie - odwróciła się i podeszła do miski. Zerknęła do tyłu i upewniwszy się, że mała była zajęta, podniosła dłoń do twarzy i chciwie wdychała unoszący się nad nią zapach piżma.

Dopiero gdy usłyszała, że dziewczyna włożyła drewniaki, szybko sięgnęła po mydło i zanurzyła ręce w wodzie.

Wycierając je, podeszła do Marie, która była już całkowicie ubrana i zaczęła zaplatać włosy. - Poczekaj na mnie w izbie. Muszę jeszcze sprawdzić trzy pozostałe dziewczęta.

Mała dygnęła i podeszła do drzwi. Trzymając dłoń na klamce, spytała:

- Weźmiecie mnie ze sobą do Paryża, madame la marquise?

Juliette de Solange spojrzała na młodą kobietę, stojącą przed nią z wysoko podniesioną głową. W jej postawie nie było najmniejszego śladu pokory. Patrzyła swobodnie, jakby rozmawiała z osobą równą sobie stanem. I była tak pewna siebie, jak gdyby znała już odpowiedź.

Przez chwilę markiza chciała zaprzeczyć. Potem przypomniała sobie o tych niezliczonych, otwartych rachunkach leżących na jej hebanowym stolczku w Paryżu, o hrabim de Saint - Croix i o tym wspaniałym zapachu, który wciąż miała w pamięci.

- Tak, Marie, wezmę cię ze sobą do Paryża.

Rozdział 2

- W ogóle nie ma takiej możliwości - powiedział Martin Calliere zdecydowanym tonem, a Marie nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Jej ojciec prawie zakatował batem starą chabete, by na czas dowieźć je do markizy de Solange, a teraz, gdy dowiedział się, że dziewczyna rzeczywiście dostała szansę wyjechania do Paryża, zupełnie niespodziewanie się sprzeciwił.

- Właśnie jesienią potrzebuję do pracy w polu każdej pary rąk Marie jest niezbędna, także w domu. Pomijając fakt - sięgnął po leżącą na stole rękę dziewczyny i demonstracyjnie ją ścisnął - jest mym oczkiem w głowie. Nie wyobrażam sobie, bym mógł ją wysłać tak daleko. Złamałoby mi to serce.

Oczy markizy zwięzły się do szparek.

- A jaka suma ponownie skleiłaby twoje serce? - spytała drwiąco.

- Miłość ojcowska nie bierze udziału w podłych targach.

- Ile? - spytała markiza niewzruszenie.

- Tysiąc liwrów.

Perlisty śmiech przeciął ciszę w najlepszej izbie Luca Serranta. Odsunęła fotel i wstała.

- Zatrzymaj sobie swoje oczko w głowie.

- Ojczy! - krzyknęła Marie z przerażeniem. To nie mogła być prawda. Jej modlitwy wreszcie zostały wysłuchane. A jej uparty, chciwy ojciec obracał to wszystko wniwecz. Wzrokiem odprowadzała markizę idącą w kierunku drzwi i żarliwie modliła się, by ta zechciała jeszcze zmienić zdanie.

- Pięćset liwrów - zawołał ojciec, jednak markiza nawet się nie zatrzymała.

Ręka kobiety wyciągała się już w kierunku klamki, gdy uderzył pięścią w stół.

- Dwieście liwrów, Markiza powoli się odwróciła.

- Sto pięćdziesiąt.

Ojciec nadął policzki i głośno wypuścił powietrze.

- Zgoda. Ale pieniądze dostaję natychmiast. Markiza podeszła do stołu i spomiędzy fałd sukni wyciągnęła sakiewkę z pieniędzmi.

- A ja dostaję twoje oczko w głowie. Jutro rano. Nietknięte. Przy ostatnim słowie spojrzała ostrzegawczo na Marie. - Przyrowadzisz ją tutaj jutro o jedenastej.

- Jutro o jedenastej, madame la marquise - Martin Calliere pospiesznie zerwał się i uklonił, zanim zgarnął leżące na stole monety.

Obserwująca ojca Marie nie wiedziała, czy jego zachowanie powinno ją odpychać, czy po prostu powinna dziękować losowi za to, że wszystko dobrze się skończyło.

Markiza ponownie usiadła. Na noc wynajęła izbę w tym domu. Wprawdzie myśl o niewygodnym łóżku wywoływała u niej drgawki, ale było to tylko na jedną noc, rano wyruszy w powrotną podróż do Paryża. Może nie z trzema dziewczętami, ale przynajmniej z jedną.

Ledwie Marie otworzyła drzwi domu swoich rodziców, a już otoczyły ją jej siostry - No i? Powiedz, Marie, jedziesz do Paryża?

- Jedziesz?

- Naprawdę jedziesz? - dziewczęta gadały jedna przez drugą.

- Oczywiście, że jedzie - powiedziała Elaine, która stała trochę z boku, obserwując scenę z rękami splecionymi na piersiach. - Zobaczcie, jak jej błyszczą oczy.

Marie jako jedyna usłyszała rozgoryczenie w głosie swej najstarszej siostry. W kwietniu Elaine skończyła dwadzieścia jeden lat, a od chwili, gdy jako mała dziewczynka poparzyła się wrzątkiem, część jej twarzy była pokryta guzowatymi, ciemnoczerwonymi bliznami. Nie miała szans ani na wyjazd do Paryża, ani na całkiem przyzwoite małżeństwo. Prawdopodobnie spędzi resztę życia jako darmowa siła robocza w domu rodziców, pielęgnując ich aż do śmierci. Ich lub swojej.

- Masz rację, Elaine. Jadę do Paryża - Marie odparła ze spokojem i z podniesioną głową wytrzymała spojrzenie swojej siostry. Przypomniała sobie o bólu, który poczuła, gdy Antoine obrócił jej dobre zamiary przeciwko niej. Niewytłumaczalne pragnienie przekazania tego bólu dalej kazało jej powiedzieć: - Nie życzysz mi szczęścia, siostro?

Elaine zacisnęła usta i wybiegła z pokoju. Inne dziewczęta nie zwróciły na nią uwagi.

- Naprawdę? Kiedy wyjeżdżasz? Przyjadą po ciebie? W karecie? Dostaniesz nowe stroje? I buty? Prawdziwe buty?

Marie skupiła swoją uwagę na Simone i Veronique.

- Rano muszę być w domu Serranta. Markiza zabierze mnie swoją kareta. Nie mówiła mi nic ani o strojach, ani o butach.

Obie siostry zamilkły rozczarowane, potem Simone powiedziała:

- Nieważne, i tak jedziesz do Paryża.

- Właśnie - wpadła jej w słowo Veronique. - Moja mała siostra jedzie do Paryża. Może zostaniesz pokojówką jakiejś wysoko postawionej damy. Może nawet zobaczysz Wersal.

- Chodźcie teraz do stołu - ich matka stanęła w drzwiach. - Inaczej Antoine i Etienne sami wszystko zjedzą.

Usiadły przy dużym, kuchennym stole i nałożyły na talerze zawartość rondla. Ojciec odkrawał grube pajdy chleba i podawał je dalej. Aby uczcić ten dzień otworzył butelkę wina.

Wszyscy byli weseli. Milczące były jedynie Marie, Elaine i ich matka. Elaine rozgrzebała jedzenie na talerzu, prawie nic nie zjadła. Gdy tylko posiłek dobiegł końca, burknęła, że idzie dojrzeć kur i zniknęła,

Marie wraz z pozostałymi dwiema siostrami pomogła posprzątać ze stołu i przyniosła wodę ze studni, by ponownie napełnić duży kocioł na palenisku. Matka podeszła do niej i ręką objęła jej ramiona.

- Chciałabym, żebyś nie jechała.

- Ależ maman, co mówisz? - Marie odwróciła się i stwierdziła, że w oczach matki pojawiły się łzy.

- Paryż jest tak daleko stąd. Jestem pewna, że wszystko tam jest inne niż tutaj. Ludzie też...

- Ludzie są wszędzie tacy sami, maman - Marie odpowiedziała beztrąsko. - A ty masz jedną gębę mniej do karmienia.

- Boję się o ciebie. Jesteś moją najmłodszą córką, ostatnim dzieckiem, które w moim życiu wydałam na świat. To ciebie chciałam mieć obok siebie, gdy się zestarzeję.

- Ale przecież zostaje Elaine. - Elaine nie jest tobą. Wszystko robi niechętnie. Klóci się z losem, nienawidzi siebie samej i wszystkich ludzi dookoła siebie.

Marie próbowała współczuć, jednak bez skutku. Chciała jechać do Paryża, obojętne jej było, czy sprawi tym ból matce. Claire Calliere nie mogła zrozumieć jej tęsknoty. Nigdy nie wyjechała poza granice Trou - sur - Layne. Urodziła się tutaj, wychowała, poślubiła chłopaka z sąsiedniego gospodarstwa i urodziła mu dzieci.

Marie nie mogła i nie chciała prowadzić takiego życia. Nie, jeśli nadarzyła się taka niesamowita okazja. Nikt nie zabierze jej szansy na lepsze życie.

- Mamo - powtórzyła cicho. - Chcę jechać do Paryża, tatko już wszystko ustalił z markizą. Jutro rano wyjeżdżam razem z nią.

- Boję się o ciebie - głos matki drżał.

- Niepotrzebnie. Dobrze mi tam będzie. Postaram się wykorzystać tę okazję. Jeśli rzeczywiście uda mi się znaleźć dobrze opłacaną pracę, wezwę do siebie Simone i Veronique. Może też uda mi się wysłać wam pieniądze. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Objęła matkę i mocno ją do siebie przytuliła. Jednak gdy poluźniła uścisk, zobaczyła, że twarz matki była wciąż zatroskana. Pomimo tego śmiała się przez łzy.

- Ach, Marie, żeby tylko tak było.

- Nie martw się, maman, będzie mi tam dobrze. Uwierz mi - dziewczyna powtórzyła, próbując pohamować swoje zniecierpliwienie. Dlaczego jej matka nie chciała zrozumieć tego, jaka szansa nadarzyła się jej córce? Dlaczego biadoliła, zamiast się z nią cieszyć?

- Idę pomóc Elaine - wybąkała szybko i odwróciła się, by nie musieć już oglądać zalanej łzami twarzy matki.

Na dworze oparła się o ścianę domu i głęboko oddychała z zamkniętymi oczami. Słońce było już nisko, jednak drewno promieniowało ciepłem upalnego dnia. Słysząc było świerszcze, a z daleka dobywało się szczekanie dwóch psów. Marie otworzyła oczy. Nagle uświadomiła sobie, że jest tu po raz ostatni.

Z domu wyszła Simone. Milczała przez chwilę, w końcu powiedziała:

- Życzę ci szczęścia, Marie. Wykorzystaj tę szansę.

- Dlaczego nie wzięła ciebie? Przecież też byłaś z nią w izbie?

Simone wzruszyła ramionami i zaczęła iść dookoła domu. Marie poszła za nią i w końcu wzięła ją za rękę.

- Dlaczego? A ja już się cieszyłam, że do Paryża pojedziemy razem.

Simone wyswobodziła się z uścisku siostry.

- Nie miałam tego, czego markiza wymagała. Marie patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Przecież nie masz jeszcze dwudziestu lat, jesteś piękna jak jutrzienka i na szczęście nie jesteś tak wielka jak ja.

- Nie bądź taka niedomyślna. Na miłość boską, Marie, co markiza u ciebie sprawdzała? - odparła zniecierpliwiona Simone.

- Masz na myśli... ty... - zamilkła.

- Tak, tarzałam się w sianie z Clementem. I bardzo cię proszę, nikomu o tym nie wspominaj. Ty wyjeżdżasz, ale ja muszę tutaj zostać, a jeśli on mnie nie poślubi... - przerwała i ze wściekłością tupnęła nogą.

- Jaka ja byłam głupia. Nawet nie mogę myśleć o tym, jak zmarnowałam swoją przyszłość.

Marie milczała, najpierw musiała przetrwać tę nowinę. Na to nigdy by nie wpadła. Simone była zawsze poważna i pogrążona w myślach. Nigdy nie zwierzyła się jej, że kochała się z kimś ze wsi.

Oddaliły się od domu i poszły ścieżką prowadzącą do stodoły.

- Jak będziesz w Paryżu, nie popełnij mojego błędu. Zastanów się, przed kim rozkładasz nogi, inaczej wrócisz tutaj szybciej, niż byś chciała. Simone podniosła dłoń i wskazała drzwi stodoły, o które opierał się jakiś mężczyzna.

- Dobry Boże, Leon - powiedziała Marie. - Czego on tutaj chce?

- Pożegnać się? - podsunęła Simone i odwróciła się. - Siostrzyczko, nie zapomnij o tym, co ci powiedziałam.

- Nie zostawiaj mnie samej, nie chcę być z nim sam na sam - wyszeptała spanikowana Marie.

- Z tym musisz poradzić sobie sama, w końcu już wystarczająco długo wodzisz go za nos.

- Co robię...?

- Na pewno wiesz, o co mi chodzi - to powiedziawszy, Simone powoli udała się w stronę domu, podczas gdy Marie wolno szła w kierunku stodoły.

Leon bez słowa otworzył wrota, przeszła obok niego z niemiłym uczuciem w żołądku. Stodoła chroniła przed wścibskimi spojrzeniami, jednak ten rodzaj bycia sam na sam w ogóle jej teraz nie odpowiadał. Dlatego postanowiła złapać byka za rogi, zanim będzie za późno.

- Leon, co za niespodzianka - krzyknęła zbyt radośnie, promiennie się do niego uśmiechając. - Mam nowiny i już nie mogę się doczekać, żeby ci je przekazać.

- Znam twoje nowinki, w końcu markiza nocuje w domu moich rodziców - jego głos był chłodny.

- Czyli wiesz już, że jadę do Paryża? - spytała bez tchu. Skinął głową. - I wcale mi się to nie podoba. Przecież byliśmy zgodni co do

tego, że porozmawiam z moimi rodzicami, jak tylko rozpoczną się żniwa.

Myśli Marie gnały jak szalone. Leon był niewątpliwie przystojny, w dodatku był jedynym synem najbogatszego chłopca we wsi. Był celem wartym starań, jedynym, który znajdował się w jej zasięgu, gdy zdecydowała się osiągnąć w życiu jak najwięcej. Ale to było dawno, jeszcze zanim nadarzyła się okazja wyjazdu do Paryża. Teraz korzystny cel, do którego dążyła, zamienił się w przeszkodę stojącą jej na drodze.

- Leon, to przecież były tylko mrzonki - próbowała naprowadzić rozmowę na właściwy tor. - Twój rodzice nigdy nie zgodziliby się na małżeństwo ze mną. Mój posag jest wart śmiechu, poza tym przede mną wyjść za mąż powinny moje siostry. Marzyliśmy sobie, to wszystko.

- Nie tylko marzyliśmy, Marie. Całowaliśmy się i dotykaliśmy, wtulaliśmy się w siebie, my...

- Leon, milcz, to koniec - wspomnienia ich spotkań były ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała.

- Może dla ciebie, bo dla mnie to nie koniec. Dla mnie to nigdy nie będzie koniec, Marie - szybko zrobił krok w jej kierunku i wziął ją w ramiona.

Zanim zdążyła się obronić, nakrył jej usta swoimi, rzucając na Marie czar. Jego język ślizgał się wzdłuż jej języka, krążył i kusił, aż dziewczyna cicho jęknęła.

Jej ramiona jakby bezwiednie owinięły się dookoła jego szyi, na każdy pocałunek odpowiadała z tą samą namiętnością, która płynęła w chłopaku.

Podniósł głowę, ciężko oddychając.

- Dla ciebie to też nie jest koniec, Marie, nie, skoro tak mnie całujesz.

Marie starała się myśleć jasno, ale każdy nerw w jej ciele płonął z tęsknoty za jego dotykiem. Mimo to nie mogła się poddać. W jej głowie brzmiały zarówno słowa markizy, jak i ostrzeżenia siostry. Nie mogła zmarnować szansy jedynie z powodu jakiejś krótkiej chwili zapomnienia. A wyraz twarzy markizy wskazywał na to, że być może następnego ranka będzie chciała jeszcze raz przekonać się o tym, czy dziewictwo wybranej dziewczyny nadal jest nienaruszone.

Marie próbowała oswobodzić się z jego uścisku, jednak jej nie puścił.

- Leon, zrozum, nie mogę.

Namiętność na jego twarzy ustąpiła czystej wściekłości. - Ja mam ciebie zrozumieć? Przez cały czas powstrzymujesz mnie tak, jak ci się podoba. Uważasz, że jesteś kimś lepszym, a jesteś tylko córką nędzarza, nie zapominaj o tym.

Oczy dziewczyny zwięziły się. Tak mocno wbiła paznokcie w jego ramiona, że w końcu ją puścił.

- Bądź co bądź córka nędzarza była wystarczająco dobra, by spędzać z nią czas.

Zaśmiał się gniewnie.

- Miałaś na myśli, by marnować z nią czas.

- Leon, ta rozmowa do niczego nas nie zaprowadzi. Żegnaj, życzę ci dużo szczęścia - chciała go minąć, ale zastąpił jej drogę.

- O nie, moja kochana Marie, nie uciekniesz mi tak łatwo - w jego głosie brzmiała groźba, dziewczyna stłumiła w sobie narastającą panikę. Nie był dużo wyższy od niej, jednak jego ciało było masywne i umięśnione, jego siła sprawiała, że nie miała żadnych szans.

- Dotknij mnie, a będziesz miał do czynienia z moim ojcem i moimi braćmi - wysyczała, prostując jednocześnie ramiona, by przekonać go o swojej stanowczości. - Koteczek pokazuje pazurki - zaśmiał się szyderczo.

- Założę się z tobą, że ze strony twego ojca i twoich braci nic mi nie grozi, niezależnie od tego, co ci zrobię.

Patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem.

- Co to ma oznaczać?

- To znaczy, że twój ojciec pożyczył od mojego tyle pieniędzy, że spłacać te długi będą jeszcze dzieci twoich dzieci. Nikt z twojej rodziny nie odważy się podnieść na mnie ręki - zrobił przerwę. - A teraz rozbieraj się, mam już dosyć twoich sztuczek.

Marie poczuła, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro zimnej wody. Patrzyła na Leona niewidzącymi oczami, osłupiała i jakby oszołomiona. Jej marzenie o lepszym życiu stopiło się niczym śnieg na słońcu.

- Nigdy nie miałeś zamiaru się ze mną ożenić - powiedziała głucho.

- Myślisz, że jesteś jedyną, która gra w takie gierki?

- odpowiedział. - Nie lubię się powtarzać, rozbieraj się albo zerwę z ciebie te szmaty.

Drżącymi palcami odwiązywała wstążki koszuli. Modliła się o ratunek do wszystkich świętych, którzy przyszli jej na myśl.

Gdy jej ubrania leżały na podłodze, Leon podszedł bardzo blisko i zaczął głaskać jej biodra od dołu do góry.

- Jesteś jeszcze piękniejsza, niż sobie wyobrażałem.

- Objął dłońmi jej piersi, pocierał koniuszki sutków tak długo, aż się podniosły, następnie pochylił głowę. Jego gorące, wilgotne usta zamknęły się na prawej piersi, podczas gdy palce pieściły lewą.

Marie przygryzła dolną wargę. Poczowała, jak miękłą jej kolana i walczyła z tym, żeby się nie poddać.

Jego wolna ręka prześlizgnęła się po jej brzuchu i zanurzyła się pomiędzy udami.

- Proszę - wyszeptała Marie. - Leon, proszę...

- Proszę... o co? - spytał ochrypniętym głosem.

- Proszę, pozwól mi odejść - po jej policzkach popłynęły łzy.

Podniósł głowę i spojrzał jej w twarz. Jego ręka głaskała jej wrota rozkoszy, owo miejsce, które w ciągu najbliższych chwil miało zacząć drżeć.

Wciąż na nią patrzył, gdy jego palce ze zdecydowaniem kończyły swe dzieło. Krzyknęła i poczuła, jak nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Podtrzymał ją, gdy się na niego osunęła. Zamknęła oczy, by nie musieć widzieć jego twarzy, kiedy położy się na niej i wtargnie pomiędzy jej uda.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Trzymał ją w ramionach i czekał, aż się uspokoi. Marie ostrożnie otworzyła oczy.

Twarz Leona płonęła, jego źrenice były rozszerzone, a oddech urywany. Zanurzył w niej ręce, jego erekcja wbijała się przez spodnie w jej biodro.

Marie przełknęła ślinę. Jeszcze nigdy nie widziała na twarzy mężczyzny tak ogromnego pożądania. Nie miała żadnych wątpliwości - oto nadeszła chwila prawdy. Żartobliwe czułości z wcześniejszych spotkań były jedynie beztroskimi potyczkami, których celem był ten właśnie moment.

Nieświadomie wstrzymała oddech, czekając na to, co nieuniknione. Wiedziała, że za chwilę jej plany na dalsze życie zostaną raz na zawsze zniweczone.

Leon zmrużył oczy, jak gdyby nagle musiał odnaleźć się w tej nowej sytuacji. Następnie złapał ją za ramiona i szorstko od siebie odepchnął. - Znikaj - wysapał. - Znikaj, zanim zmienię zdanie.

Marie zatoczyła się do tyłu i starała się złapać równowagę. Nie wierzyła własnym uszom, jednak w żadnym wypadku nie miała zamiaru przekonywać się o prawdziwości usłyszanych słów. Chwiejąc się, złapała sukienkę, nałożyła ją na nagie ciało i zebrała resztę ubrań tak szybko, jak tylko mogła. Wciąż miała Leona w zasięgu wzroku, on jednak odwrócił się do niej plecami i oparł o słup.

Jeszcze raz przystanęła w bramie stodoły

- Dziękuję, Leon. Dziękuję ci - wyjąkała nieporadnie i uciekła na zewnątrz.

Zapięła guziki sukienki i uporządkowała fryzurę jak tylko się dało. Nadal nie mogła uwierzyć, że los był dla niej taki łaskawy. Jednak za każdym razem, gdy się obróciła, widziała, że nikt za nią nie szedł. Zwolniła więc kroku i próbowała się uspokoić.

W bezpiecznej odległości szybko założyła halki i złożyła koszulę tak, że zmieściła się w kieszeń sukienki. Z wielką ulgą Marie zauważyła, że jej rodzeństwo położyło się już spać, tylko matka siedziała przy stole w kuchni i łatała ubrania. W świetle lichej, łojowej lampki w jej siwych włosach połyskiwały gdzieś tam nieliczne blond pasemka.

Ten tak dobrze znany Marie obrazek ścisnął jej serce. Odkąd pamiętała, matka siadała przy tym stole i robiła to, co akurat wpadło jej w ręce. Niewiele myśląc, dziewczyna podbiegła do niej i objęła ją za szyję.

- Będzie mi ciebie brakowało, maman.

- Mnie ciebie też, Marie - jej głos był pełen miłości. - Nie mam prawa odbierać ci radości moimi przemyśleniami. Jestem pewna, że odnajdziesz swoje szczęście.

Marie milcząc, skinęła głową. Po twarzy spływały jej teraz łzy, a w gardle miała kluchę, która nie dawała jej wydobyć z siebie dźwięku. Dlatego przycisnęła do siebie delikatną postać matki i głaskała ją po szczyptych plecach.

- A jeśli nie, zawsze możesz do mnie wrócić, moja córeczko - delikatnie pogłaskała usta Marie i posłała jej pocałunek. - Nie zapomnij o tym. Zawsze możesz na mnie liczyć, cokolwiek się zdarzy

Rozdział 3

Marie przycisnęła nos do szyby karety. Po dniach spędzonych w bujającym się pojeździe nareszcie zbliżały się do celu podróży. Odstępy pomiędzy mijanymi gospodarstwami znacznie się zmniejszyły, aż w końcu, zanim kobiety przekroczyły bramę miasta, jechały wzdłuż rzędów gęsto wybudowanych domów.

To, co ujrzała Marie, rozczarowało ją. Szare fasady budynków nie były zdobione niczym błyszczącym, a małe sklepy, obok których przejeżdżały, wyglądały tak samo jak te, widziane przez nią kiedyś w Le Puy

Nad miastem unosił się śmierdzący smog. Koła pojazdów tarasujących drogi utykały w grząskim podłożu. Kareta z trudem wtoczyła się na wzgórze i zatrzymała się w końcu przed domem na Rue Mouffetard, na której imponujące budynki stały jeden obok drugiego.

W pewnej odległości Marie rozpoznała zarys pałacu. Musiał to być Palais du Luxembourg, jeden z królewskich zamków, o którym mówiła markiza. Pospieszył ku nim lokaj w liberii, otworzył drzwiczki karety i rozłożył schodek.

Markiza wysiadła i bez słowa udała się w kierunku domu. Marie złapała lokaja za rękę i oparła się na niej, gdy schodziła z malutkiego schodka. Przed pierwszym noclegiem markiza dała jej jedną ze swoich sukienek wraz z bielizną i narzutką z cienkiego, wełnianego materiału. Stara sukienka dziewczyny została spalona, a rzeczy, które matka z czułością zawiązała jej w węzełek, pozostały w gospodzie.

Marie podążyła za markizą do domu i rozejrzała się. Wreszcie odnalazła się w otoczeniu, o którym od zawsze marzyła. Wysokie pokoje, grube dywany i drogie meble. Z szacunkiem pogładziła palcami złotą ramę owalnego lustra.

- Mademoiselle Calliere, jestem Florence, markiza poleciła mi zaprowadzić was do waszego pokoju. Proszę, byście zechciały mi towarzyszyć. - Na jasnobrązowych włosach Florence nosiła schludny, szpiczasty czepek. Miała około dwudziestu pięciu lat. Jej oczy szybko prześlizgnęły się po sylwetce Marie, jednak twarz nie zdradziła jej myśli.

Weszły po szerokich, zdobionych arabeskami schodach i szły długim korytarzem. W końcu Florence otworzyła jakieś drzwi. Marie weszła do pomieszczenia i wstrzymała oddech. Większą część pokoju

zajmowało szerokie łoże z baldachimem z różowymi, brokatowymi zasłonami. Oprócz niego w sypialni stało kilka skrzyń, dwa wytworne fotele, stolik z miską do mycia i dwa dzbany z kosztownej porcelany.

- Tu jest... przepięknie - wyjąkała i pogładziła palcami brokat i rzeźbione słupki łoża.

Florence oparła się o drzwi i obserwowała dziewczynę.

- Jest to pokój siostrzenicy markizy.

Marie obróciła się ku niej. - Ach, to naprawdę miło z jej strony, że pozwoliła, bym tutaj zamieszkała. Ale to tylko przejściowo.

Florence chrząknęła i szybko utkwiała wzrok w podłodze.

- Tak, to na pewno przejściowa sytuacja.

- Markiza pomoże mi znaleźć pracę służącej w wysoko postawionej rodzinie - żarliwie wyjaśniła Marie.

Nie zagłębiając się w temat Florence powiedziała:

- Każę przygotować dla was kąpiel, madame zwraca dużą uwagę na czystość. Kolacja jest podawana o ósmej w niebieskim salonie. Madame zwraca szczególną uwagę na punktualność - dygnęła i zamknęła za sobą drzwi.

Marie zatonęła w miękkim łóżku, potem jeszcze raz się na nie rzuciła. Zawsze wiedziała, że musi być inne życie niż harówka w polu, podarte łachmany i obolałe kończyny. A teraz sny zmieniły się w rzeczywistość.

Świetny nastrój nie opuszczał jej przez następne dni. Mogła spać tak długo, jak chciała. Posiłki serwowane w delikatnej porcelanie były nie tylko obfite, ale także różnorodne. Każdego dnia na stole stała pieczeń z najróżniejszymi warzywami. Na koniec posiłku podawano wykwintne słodczyce i kawę. Raz podano nawet słodko - gorzki napój, który właśnie podbijał Paryż: gorącą czekoladę.

Markiza nie pokazywała się dziewczynie poza oficjalnymi posiłkami. Marie nie zastanawiała się nad tym, ciesząc się całym spędzonym tam czasem. Nie wolno jej było wprawdzie opuszczać domu, ale to jej nie przeszkadzało. Florence ją oprowadzała, potajemnie pokazywała jej biżuterię oraz pełne przepychu suknie markizy.

Z początku Marie nie odważyła się nawet dotykać tych eleganckich rzeczy, Florence nie miała jednak takich oporów. Założyła i zasznurowała dziewczynie satynowy gorset, pomogła jej włożyć liczne halki, przymocowała w końcu wkładkę do biustu.

Kilkoma ruchami ręki upięła ciężkie blond włosy, wpięła w nie satynowe kwiaty i ozdobiła klamrami wysadzanymi klejnotami. Hojnie i z wprawą nałożyła dziewczynie róż i przykleiła sztuczne pieprzy - ki markizy. Na sam koniec otworzyła szkatułkę z biżuterią i wyjęła z niej kolię oraz błyszczące kolczyki.

- Spójrzcie, mademoiselle Calliere, odpowiednie ozdoby z każdej kobiety uczynią księżniczkę. A już przynajmniej markizę.

Marie przeglądała się w lustrze. Obca twarz patrzyła na nią z dumą. Jej piersi były tak zebrane i uniesione, że zdawało się, iż wyskoczą z dekoltu przy najmniejszym ruchu. Wydawało się jej, że oddycha z większym trudem. Jednak nie miało to znaczenia wobec tego, że przemieniła się w zapierającą dech w piersiach, zjawiskową postać.

Obróciła się przed lustrem, zakochana w swym odbiciu. Nagle jednak przystanęła, gdyż uświadomiła sobie, że nigdy nie będzie nosiła takich strojów. Ani takiej biżuterii. Spojrzała na Florence. To była jej przyszłość. Prosta, płócienna sukienka z krochmalonym fartuszkim. Popękane dłonie i połamane paznokcie zamiast błyszczących pierścieni.

Rozczarowanie wywołane tą myślą sprawiło, że zdjęła ciężkie kolczyki. Podczas gdy Florence odkładała je do szkatuły, Marie spytała wolno dobierając słowa:

- Czy ciebie też markiza przywiozła do Paryża, byś pracowała w jej domu?

- Nie, do domu markizy de Solange przybyłam z polecenia hrabiny de Villiers. U hrabiny byłam służącą, ale koniecznie chciałam zostać pokojówką.

- Służącą? - powtórzyła Marie, podczas gdy Florence pomagała jej się rozebrać. - A co robi służąca? - Wszystko, co jej każą. Szoruje podłogi, czyści palenisko, pomaga kucharce, robi zakupy, pełni rolę posłańca. Podczas tych wszystkich czynności musi być niewidoczna.

Usłyszała lekceważący ton Florence i zadała sobie pytanie, czego właściwie się spodziewała.

- A w jaki sposób można zostać pokojówką?

- Trzeba znać się na modzie, wiedzieć jaki róż jest en vogue (en vogue - modny - przyp. tłum.) i do czego służą sztuczne pieprzyki, gdzie można dostać najpiękniejsze wstążki i rękawiczki. Cały dzień należy troszczyć się o garderobę państwa, umieć układać fryzury i

nocami czekać na powrót pani do domu, by pomóc jej się rozebrać. A jeśli nie wróci, trzeba być na tyle dyskretnym, by nikt się o tym nie dowiedział.

Nastrój Marie jeszcze bardziej się pogorszył. Nie miała pojęcia o modzie, o tajemnych sztuczkach stosowanych w paryskich sklepach, nie знаła nawet nazw poszczególnych materiałów.

Gdy dziewczyna ponownie miała na sobie swoją sukienkę, Florence posprzątała w pokoju i razem wyszły na koniarz. Marie chciała iść do swojego pokoju, by przykryć się kołdrą aż po głowę.

Florence poczekała, aż zamkną się za dziewczyną drzwi, następnie energicznym krokiem udała się w innym kierunku. Bez pukania weszła do pokoju markizy i stanęła przed biurkiem, przy którym siedziała dama.

- Zrobiłam co trzeba, madame la marquise. Markiza odłożyła na bok gęsie pióro i wysunęła szufladę, z której wyjęła małą sakiewkę.

- Dobrze się spisałaś, Florence. Oto twoja zapłata. Florence sięgnęła po sakiewkę i ważyła ją w dłoni.

- Mała jest nadzwyczaj ładna. Do kogo ją zaprowadzicie? - Jeszcze nie wiem. Może księciu de Montagur albo hrabiemu de Saint - Croix.

Florence obeszła sekretarzyk i stanęła obok hrabiny

- Hrabia de Saint - Croix wyjechał do Londynu z rozkazu króla. Montagur jest za stary, potrzebuje kobiet jedynie do ozdoby. Nie zmieni tego żaden tajemniczy proszek na potencję.

- No i? Czy to byłaby przeszkoda dla Marie? - markiza oparła się o oparcie krzesła.

- Tak, i dobrze o tym wiecie, pani - Florence niedbale odłożyła sakiewkę na stolik i zaczęła odpinać guziki dekoltu.

- Ona potrzebuje ogiera, który będzie ją brał co noc. Jej zmysłowość wydobywa się wszystkimi porami ciała i to teraz, kiedy z żadnym mężczyzną jeszcze nie dzieliła łoża - zdjęła górną część stroju. - Gdy zazna przyjemności, jaką może sprawić jej mężczyzna, stanie się ona jej nałogiem - przechyliła się do przodu, a jej nagie piersi huśtały się przed twarzą markizy. - Ona nie jest taka jak my, nie zadowolili się rozkosznymi czułością, które sobie wzajemnie darujemy

Juliette de Solange podniosła rękę i objęła prawą pierś Florence.

- Będzie można stwierdzić to dopiero, gdy zazna tej czułości.

- Czy oznacza to, że nie wprowadziłyście jej markizo w świat naszych przyjemności? - wymruczała Florence.

- Już się obawiałam, że was straciłam. Od waszego powrotu, pani, minęły cztery dni, a wy mnie tak ignorowałyście, że pomyślałam, iż utraciłam waszą życzliwość. Albo, że obdarzyłyście nią kogoś innego - przycisnęła się mocniej do Juliette, która zaczęła delikatnie skubać jej twarde sutki. - Widzę jednak, że się myliłam - po pokoju rozeszło się jej długie i przeciągłe jęknięcie. - O tak, moja niesforna dziewczyno. Żadna inna kobieta nie ma takich piersi, pełnych i dojrzałych, z sutkami niczym maliny - szczypała mocniej i zobaczyła, jak po ciele Florence przechodzi dreszcz. - Żadna inna kobieta nie szczytuje przez samo ich pieszczenie.

- Jak mam nie szczytować, gdy głaszczesz mnie z taką wprawą, Juliette - przechyliła głowę do tyłu i oparła się o łono markizy, która pieściła skierowane ku sobie piersi tak długo, aż jęk przerodził się w wysoki krzyk.

Przycisnęła mokre czoło Florence do swej szyi i gładziła jej nagie plecy. Obudziła się w niej żądza. Tęskniła za zręcznymi palcami dziewczyny w swej gorącej szczelinie.

- Najdroższa, strasznie cię pragnę. Płonę, a tylko ty możesz ugasić ten ogień.

Florence zaśmiała się i podniosła głowę.

- Nie ugaszę ognia, lecz będę go tak długo wzniecać, aż staniecie pani w płomieniach - wstała i wyciągnęła rękę. - Chodźcie, moja przyjaciółko, sofa już na was czeka.

Poszły razem do drugiej części pomieszczenia, markiza usiadła, podniosła halki, prawą nogę oparła o poręcz krzesła. Jej odkryta, wilgotna kobiecość drżała na samą myśl o rozkoszy, jakiej za chwilę doświadczy.

Florence klęknęła przed markizą i pogłaskała jej uda.

- Jakże piękny kwiat otoczony wilgotną rosą żądy! Tak różowy i jędrny, że nie mogę się powstrzymać przed całowaniem go.

Od słów przeszła do czynów, a Juliette zamknęła oczy. Rozkoszowała się pieszczotami ust Florence i zadrżała, gdy ta wreszcie wsunęła palce w jej spragnioną otchłań. Poruszała nimi, obracała je i gładziła jej ciało od wewnątrz. Żaden mężczyzna nigdy tak nie podniecił markizy, bez żadnego wysiłku doprowadzając ją do granic rozkoszy.

Po raz pierwszy markiza jęknęła głośniej, gdy w końcu Florence włożyła w nią trzy palce. Juliette zauważyła, że palce delikatnie ją rozciągają i pojęła, że tym razem dziewczyna weźmie ją w szczególny sposób. Samo oczekiwanie sprawiało, że słabła z pożądania.

- Rozluźnijcie się, madame, rozluźnijcie, a otrzymacie to, czego tak pragniecie - wymruczała Florence. Podniosła głowę i pieściła ją już tylko ręką. - Podoba się wam to?

Markiza gwałtownie pokiwała głową. Z jej wyschniętych ust wydobyło się słowo, Florence podniosła brwi.

- Nie rozumiem, madame. Mam przestać? - przestała ruszać palcami.

- Nie - krzyknęła Juliette zachrypniętym głosem - nie... ja chcę... chcę... wszystkiego...

Florence podniosła się i zdecydowanym ruchem sięgnęła do dekoltu, by objąć i masować miękką pierś. Jednocześnie jej ręka pieściła rytmicznymi ruchami głębiej ciała leżącej przed nią, na wpół przytomnej z pożądania kobiety.

Juliette starała się nie stracić przytomności. Potworny nacisk w podbrzuszu wzmacniał ekstazę tak, że nie miała nad sobą żadnej kontroli. Teraz składała się już tylko z cudownej rozkoszy, pierwszy orgazm, który się przez nią przetoczył, pozbawił ją energii, jednak pięść nadal żłobiła bez litości, doszła jeszcze raz i jeszcze raz, aż jej głos zamienił się w krzyki.

Po chwili, wykończona, mogła w końcu otworzyć oczy. Florence wciąż przed nią klęczała. Bardzo powoli wyciągnęła swoją rękę z mokrej otchłani, odgłos mlaśnięcia wskazywał na to, że ciało ją wypuściło.

- Jak się czujecie, madame? - Florence spytała ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

Juliette przeciągnęła się leniwie na softe i również się uśmiechnęła.

- Czuję się pusta.

Florence wstała, poprawiła sukienkę i sięgnęła po sakiewkę z monetami.

Dygnęła zalotnie i podeszła do drzwi.

- Madame, wiecie, gdzie mnie znaleźć, w razie, gdybyście już nie mogły dłużej znieść tej pustki.

Rozdział 4

Następnego popołudnia markiza przyjęła Marie w salonie hebanowym. Przed nią, na wytwornym stoliku, stał tak samo wytworny turecki serwis do kawy. Gdy Marie usiadła naprzeciwko niej, napełniła maleńką filiżankę płynem i podała ją dziewczynie.

- A więc, Marie, miałaś kilka dni, by przyzwycząć się do tego miejsca. Jednak nasza umowa nie przewiduje, że pozostaniesz tutaj na zawsze - mówiła przyjaznym, ale zdecydowanym głosem i uśmiechała się do dziewczyny.

- Wiem, madame la marquise, i chciałabym podziękować za waszą gościnność. Czy znalazłyście już gospodarstwo, w którym będę mogła pracować? - starała się, by jej głos brzmiał bez troski i zamaskował jej podenerwowanie.

- W rzeczy samej, hrabina de Wilette szuka służącej. Spotkałam ją dwa dni temu na wieczorku. Jutro złożymy jej wizytę.

- A więc służąca - powtórzyła Marie. Nie zdołała ukryć rozczarowania.

Markiza podniosła brwi.

- Na co liczyłaś, Marie?

Dziewczyna skupiła się na filiżance trzymanej w dłoniach i wdychała aromatyczny zapach.

- Ach, na nic. - Możesz mi zaufać, powiedz, czego chcesz - markiza przechyliła się do przodu i złapała jej zimną dłoń. Ściskając ją, dodała dziewczynie otuchy.

- Opowiedz mi o swojej trosce. Przecież widzę, że coś jest nie tak.

Marie poczuła, jak jej oczy napelniają się łzami.

- Ja także chciałabym nosić piękne stroje i jedwabne pończochy, i biżuterię, i..., - urwała i otarła łzy wierzchem dłoni. - Wybaczcie, nie powinnam mieć takich życzeń. Musicie sobie myśleć pani, że jestem bardzo niewdzięczna.

Markiza milczała, więc Marie mówiła dalej:

- Czy nie mogłabym pracować jako pokojówka? Mogłabym chociaż dbać o stroje, skoro nie wolno mi ich nosić.

- Nie - odpowiedziała markiza. - Na pokojówkę się nie nadajesz.

Marie ze zniechęceniem opuściła głowę.

- Wiem, że niewiele mogę powiedzieć o modzie i nie znam miasta.

- Nie - powtórzyła markiza. - Nie o to chodzi. Jesteś za ładna, by pracować jako pokojówka. Żadna żona nie będzie chciała, abyś kręciła się w bezpośrednim otoczeniu jej męża. Dlatego też żadna nie będzie chciała cię zatrudnić.

Marie walczyła ze sobą, by się nie rozplakać.

- Czy nie ma żadnych wdów szukających pokojówki?

- Rzadko się trafiają. A tak długo nie mogę cię utrzymywać.

- Może w międzyczasie mogłabym się tutaj przydać? - dziewczyna spytała z rozpaczą, gdyż ostra nutka w głosie markizy nie uszła jej uwagi.

- Jestem gotowa zrobić wszystko, madame la marquise, naprawdę wszystko.

Juliette de Solange z powrotem się oparła.

- Być może byłaby ewentualność... która spełnia twoje oczekiwania - powiedziała wolno.

Marie ześlizgnęła się z krzesła i padła przed kobietą na kolana. Niespokojnym ruchem chwyciła jej dłoń i pocałowała ją.

- Jestem gotowa zrobić wszystko - powtórzyła z ogromną żarliwością. - Jeśli będę mogła nosić piękne stroje, buty i biżuterię, jeśli będę mogła chodzić na uczyty i być może nawet trafię do Wersalu, jestem gotowa uczynić wszystko, czego się ode mnie wymaga.

Markiza z pewnym trudem oderwała wzrok od piersi Marie, wznoszących się i opadających w głęboko wyciętym dekolcie.

- Usiądź - rozkazała, by zachować konieczny dystans. Marie uczyniła, co jej kazano.

- Powiedzcie mi pani, co mam zrobić.

Markiza zachowywała się tak, jakby zwlekała i musiała się przemóc, by wypowiedzieć kolejne słowa.

- A więc, Marie, młoda dziewczyna z twoim wyglądem ma możliwość noszenia aksamitów, jedwabów i drogiej biżuterii. Jednak... - podniosła rękę, by uspokoić Marie, która chciała podskoczyć z radości - jednak droga ta wymagać będzie od ciebie wyczucia i absolutnej dyskrecji.

- Oczywiście, w tej sprawie możecie pani na mnie polegać. Proszę, powiedzcie mi w końcu, o co dokładnie chodzi - poprosiła z żarliwością.

- Jak wiesz, większość małżeństw w kręgach szlacheckich jest zawierana z rozsądku, najważniejsze są sprawy finansowe. W takich

związkach panuje często wzajemny szacunek, a gdy na świat przyjdzie odpowiednia liczba dzieci, małżonkowie idą własnymi ścieżkami. Oczywiście dyskretnie, bardzo dyskretnie. W tym momencie do gry wchodzi ty, Marie. Wielu bogatych szlachciców szuka miłości i bezpieczeństwa poza małżeństwem. Są gotowi zapłacić za nie. Zapłacić bardzo dużo, ponieważ nie mogą zapewnić tym kobietom prawowitego miejsca u swego boku ani przypieczętować związku przed wszechmocnym Bogiem. W zamian troszczą się o całą resztę: stroje, biżuterię, mieszkanie, w którym możesz przyjmować gości, wycieczki, teatr - zamilkła i spojrzała na Marie, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na niej te słowa. Ku jej uldze dziewczyna nie wyglądała ani na zszokowaną, ani urażoną. - Rozumiesz już, co mam na myśli? Marie skinęła wolno głową.

- Mam zostać kochanką bogatego, wysoko postawionego mężczyzny.

- Zgadza się. Czy taka myśl przejmuje cię wstrętem? Nadal możemy jutro udać się do hrabiny de Wilette. Jestem pewna, że zatrudni cię jako służącą.

Marie nie zwróciła uwagi na te słowa. Jej myśli krążyły już wokół sedna sprawy. A więc dlatego miała być dziewicą. Propozycja markizy ją rozczarowała. W ostatnich dniach była pogrążona w marzeniach, teraz nagle dopadła ją rzeczywistość. Rzeczywistość, w której jedwabne szaty i biżuteria były w jej zasięgu.

Przypomniała sobie Leona, jego pocałunki i jego dotyk - wszystko to nie było dla niej nieprzyjemne. Miała jednak wrażenie, że ta sprawa jest dla niego o wiele ważniejsza niż dla niej. Czy to była właśnie różnica pomiędzy kobietami i mężczyznami? Czy rzeczywiście mogła wykorzystać ten fakt do osiągnięcia swoich celów? Czy mężczyźni można było aż tak łatwo sobie podporządkować?

Chciała wypróbować ten sposób. Skoro chodziło jedynie o to, by wpuścić między uda jakiegoś mężczyznę i dostanie za to piękne stroje i bez troskie życie, to mogła to uczynić, w dodatku bez większego namysłu. Postara się, by był to odpowiedni mężczyzna. Już nigdy nie chciała marznąć, a głód już nigdy nie będzie wykręcał jej wnętrza. Nigdy już nie poczuje bólu pleców i ramion od ciężkiej pracy w polu. Już nigdy nikt pokroju Antoine i jego wałęsających się kolegów nie będzie stroił sobie z niej żartów.

Była w Paryżu. U samego źródła władzy i pieniędzy. U źródła, które będzie było także dla niej, jeśli dobrze wszystko zorganizuje.

Podjęła decyzję i wyprostowała się. - Możecie pani przekazać hrabinie de Wilette, że musi sobie poszukać innej służącej.

- Dobrze. Jesteś mądrą dziewczyną, Marie. Twoja uroda otworzy przed tobą wszystkie drzwi. Widziałam, jak kilka dziewcząt przed tobą wywalczyło sobie szczęście. Jutro przyjdzie krawcowa, która uszyje dla ciebie kilka dopasowanych ubrań. Będziesz je nosiła na spotkaniach towarzyskich i przyjęciach, na które będziemy razem chodzić. Od dzisiaj jesteś moją osieroconą siostrzenicą z prowincji.

Marie zaśmiała się przebiegle.

- A wy, markizo, jesteście moją najukochańszą ciocią.

Markiza nadzorowała wizytę krawcowej. Wydawała dokładne polecenia dotyczące wyboru materiału i kroju sukien. Miały być gładkie, bez niepotrzebnych zdobień, a według najnowszej mody dekolt powinien nachodzić na ramiona i część pleców.

Marie nawet nie odważyła się pomyśleć o tym, co powiedziałyby jej matka, gdyby ją zobaczyła w tych sukniach - bardziej nagą niż ubraną.

Później jednak skoncentrowała się na tym, że Trou - sur - Layne i jego mieszkańcy znajdowali się bardzo daleko i należeli już do przeszłości. Przed nią natomiast znajduje się droga ku świetlanej przyszłości.

Gdy krawcowa poszła, Marie, w samej koszuli i halkach, odwróciła się do markizy

- Pani, jestem wam dozgonnie wdzięczna za te przepiękne suknie - i z zakłopotaniem dodała: - Nie mam pieniędzy, żeby za nie zapłacić.

Markiza zaśmiała się.

- Och, przecież wiem o tym, moje dziecko. Jednak odpowiednie opakowanie podnosi wartość towaru, jest to więc dobra inwestycja.

Wartość towaru. Marie nie dała po sobie poznać, że te słowa zraniły ją do głębi. Tutaj nie obowiązują wartości, w których ją wychowano, więc im szybciej przyzwyczai się do tego nowego świata, tym większy sukces w nim odniesie. Wyprostowała się i zaśmiała.

Markiza wstała z krzesła obitego zielonym aksamitem i podeszła do niej.

- Przejdźmy do innej kwestii. Wprawdzie twoje dziewictwo jest pewne, jednak żeby zaplanować kolejne kroki muszę wiedzieć, jak bardzo do tej pory pozwoliłaś zbliżyć się do siebie mężczyznom.

- Pani, przecież wiecie...

- Mów prawdę, Marie - markiza jej przerwała. Marie spuściła głowę.

- Figlowałam tylko z jednym.

- Dobrze. Opowiedz mi o tym, każdy szczegół jest ważny. Co z nim robiłaś? I pozbadź się fałszywego wstydu, moje dziecko, muszę wszystko wiedzieć. - Po skandalu w pałacu Collignard zdecydowała, że będzie stawiać swoim podopiecznym bardzo szczegółowe pytania. Florence miała rację mówiąc, że z dziewczyny zmysłowość wydobywa się wszystkimi porami ciała. Nawet sama markiza wyczuwała to promieniowanie, reagowało na nie każde włókno jej ciała.

Marie ociągając się, szukała odpowiednich słów.

- Na początku się całowaliśmy. Oczywiście potajemnie. Głaskał mnie, moją szyję, moje ramiona, później też... moją... moją pierś.

- Podobało ci się to? - Markiza przyjrzała się bieliźnie, w jaką odziana była stojąca przed nią dziewczyna. Rosła w niej chęć uwolnienia Marie z delikatnych, lnianych ubrań i dotykania jej ciała. Dziewczyna była niebezpieczna. Nawet ją, markizę, uwiodła do tego stopnia, że prawie zapomniała o celu i sensie swojego zadania. Pomijając fakt, że dziewczyna nie miała takich samych upodobań jak markiza, co podpowiadało Juliette jej doświadczenie. Nie zapomni się, nie będzie błagała tej małej o nic, czego ta nie mogłaby jej dać lub dałaby wbrew sobie.

- Czasami. Jeśli był delikatny Gdy całował moje piersi i pieścił moje brodawki językiem.

- Gdzie jeszcze cię głaskał? Tutaj? - markiza położyła dłoń w miejscu stykania się ud.

- Tak. Powiedział, że to zabawa, że tak bawią się mężczyźni i kobiety, gdy już są dorośli.

- I miał rację. Dochodziłaś, gdy tak cię dotykał? Czy musiał przy tym całować twoje piersi?

- Czasami dochodziłam, ale szybciej szło, gdy całował moją pierś...

- I ten chłopak zadawał się takimi błahostkami? - markiza spytała z niedowierzaniem i spojrzała na nią badawczo. - Co mu robiłaś, żeby mu ulżyć? - Nic - odparła Marie z zakłopotaniem. - Próbowałam... ale on nie chciał, żebym... - chrząknęła - go dotykała.

Markiza uniosła brwi.

- I rzeczywiście go nie dotykałaś? Ani razu? Widziałaś go chociaż nagiego? W całej okazałości?

Marie potrząsnęła głową.

- Uważał, że to nie przystoi przyzwoitej dziewczynie. Markiza odchyliła głowę i zaśmiała się.

- Biedak musiał cię ubóstwiać.

Marie pomyślała o Leonie, o tym, że widziała, jak był na granicy swego opanowania. Mimo to wypuścił ją. Nagle zrozumiała, że te rzucone przez markizę, pogardliwe słowa były prawdą.

- Rzeczywiście musiało tak być - odpowiedziała cicho.

- On był pierwszym, ale na pewno nie ostatnim, moje dziecko - nie spuszczała oczu z twarzy dziewczyny. - Czy sama także się dotykasz?

Marie skinęła i z zażenowaniem opuściła głowę.

- Nie ma w tym nic złego. Lepiej, żebyś w ten sposób dawała sobie to, czego pragniesz, niż gdybyś miała pieprzyć się z nieodpowiednim mężczyzną. A uwierz mi, będziesz z tego miała więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić - w wyobraźni zobaczyła przed sobą nagą Marie, wyciągniętą na łóżku z palcami zanurzonymi w swym wnętrzu i twarzą wykrzywioną z rozkoszy. Przez ułamek sekundy rozważała możliwość poddania się ogromnej sile przyciągania tej dziewczyny, zapomnienia o pieniądzach, długach i o Florence po to, by włożyć głowę między białe uda Marie.

Poczuła, że staje się mokra i wbiła paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni. Nie, Marie Calliere będzie dla niej pożyteczna w inny sposób. Bardzo pożyteczna - postanowiła i odrzuciła plan pozostania w Paryżu. - Tak, madame la marquise - odpowiedziała dziewczyna.

Juliette de Solange zamrugnęła ze zmieszaniem. Nie wiedziała, do czego odnosi się ta odpowiedź. - Dobrze. Ubierz się - jej ciało cierpiało z powodu żądy. Odwróciła się, gdy poczuła, że traci panowanie nad sobą. - Zobaczymy się na kolacji. Teraz muszę porozmawiać z Florence. Ostatnimi czasy wypełnia swoje zadania w sposób mnie niezadowolający.

Rozdział 5

Wersal. Gdy markiza wyjawiała Marie, że udadzą się na wersalski dwór, dziewczyna nie mogła w to uwierzyć. Jednak Florence bez zbędnych ceregieli spakowała liczne skrzynie i kufry podróżne i wyjechała z bagażami bladym świtem, by poczynić przygotowania przed ich przybyciem.

- Czy to jest takie proste? Każdy może pojechać do Wersalu? - spytała Marie, trochę nie dowierzając.

- Otóż, ja mogę, ponieważ dzięki łaskawości króla mam w zamku jedną małą garsonierę, która zawsze jest do mojej dyspozycji. Zmarły markiz de Solange był mile widzianym gościem na dworze, z tego powodu król nadał mi ten przywilej.

Fakt ten wywarł ogromne wrażenie na dziewczynie. W najodważniejszych snach marzyła o tym, by chociaż raz postawić stopę na zamku. To, że będzie mogła w nim mieszkać, drzwi w drzwi z hrabiami, baronami i księżętami, przekraczało jej najśmielsze oczekiwania.

- A ponieważ jesteś moją siostrzenicą, także ty możesz korzystać z tego przywileju.

- Brak mi słów, madame la marquise, nie wiem, jak wam dziękować.

- Pamiętaj o wszystkim, czego w ostatnich dniach starałam się ciebie nauczyć. Wersal to scena, ty sama ustalasz, jaką rolę na niej grasz.

Pałac wersalski był rozbudowanym przez Ludwika XIV zamkiem myśliwskim jego ojca, znajdującym się na terenach bagnistych dwadzieścia mil od Paryża. Było to najgorsze możliwe położenie dla królewskiej rezydencji oraz rozległego parku. Król jednak zakochał się w Dolinie Galii, wezwano więc budowniczych, architektów projektujących ogrody oraz rzemieślników, by pozbawili mocy wszystkie prawa natury i spełnili życzenie władcy.

By zbudować pałac, mający odzwierciedlać świetność Ludwika XIV Wielkiego, nie zważano ani na koszty, ani na ludzkie życie. Budowla ta miała budzić podziw i szacunek wszystkich regentów i wysłanników wszystkich krajów wobec francuskiego króla. Zatem i dziewczyna z prowincji musiała ulec urokowi pałacu.

Gdy po markizie z karety wysiadła Marie, zapadała już ciemność, światła w latarniach i w oknach sprawiały, że wszystko wyglądało

trochę jak z bajki. Podeszło do nich dwóch lokajów w liberiach. Markiza wyjęła z torby kartę w złotej ramce i pokazała im ją. Mężczyźni skłonili się i poszli z kobietami do wejścia.

Marie nie mogła się napatrzeć na pełne przepychu foyer. Gdzie nie spojrzeła, wszędzie marmury, złoto i lustra. Tu i ówdzie biegali lokaje w liberiach, w powietrzu unosiło się brzęczenie setek głosów. Wstrzymując oddech, weszła za markizą na schody. Zadawała sobie przy tym pytanie, jak będzie wyglądał jej pokój. Już teraz czuła się jak księżniczka.

Ku jej rozczarowaniu garsoniera była małym pokojem we wschodnim skrzydle budynku. Stały w niej dwa krzesła, toaletka z dużym, miejscami podniszczonym lustrem, wysłużona sofa i proste łóżko. Florence zdążyła już otworzyć skrzynie i wytrzepać ubrania.

Markiza kiwnęła na nią, żeby pomogła jej zdjąć suknię podróżną.

- Wmieszam się pomiędzy innych gości. Jest to najlepsza okazja, by się dowiedzieć, kto tutaj jest oraz usłyszeć najnowsze plotki.

Marie usiadła przy toalecie i zdjęła kapelusz.

- Ty zostaniesz tutaj. Zaprezentuję cię, gdy uznam za stosowne - jutro lub pojutrze. Wcześniej nie wolno ci opuszczać pokoju. Czy wyraziłam się jasno?

Marie skinęła głową. Perspektywa spędzenia kilku dni w tym nędznym pokoiku popsukała jej humor. Tutaj wcale nie było lepiej niż w domu rodzinnym w Trou - sur - Layne.

- A co mam robić?

- Czekać - markiza dała znak Florence, by pomogła jej w rozbieraniu się. - Bardzo szybko zauważysz, że jako kochanka ważnego mężczyzny spędzisz większość swego życia na czekaniu - gdy ujrzała w lustrze wyzywający wyraz twarzy Marie, dodała: - Czy wolałabyś nabawić się garbu podczas pracy w polu?

- Nie, madame la marquise - odpowiedziała dziewczyna i spuściła wzrok.

- Dobrze, przyzwyczajaj się więc do myśli, że w przyszłości będziesz musiała czekać z dłońmi zaplecionymi na podolku.

I to właśnie robiła Marie w ciągu kolejnych dni. W końcu markiza poinformowała ją, że nazajutrz mają towarzyszyć królowi w jego porannym rytuale. Następnie zostaną przedstawione kilku szlachcom tęskniącym za towarzystwem młodych kobiet.

Zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach dzień króla zaczynał się od porannego rytuału. Kamerdyner budził króla, następnie przed władcą paradowali szlachcice cieszący się przywilejem wstępu do jego sypialni. Pomagali mu w porannej toalecie. Podawali mu koszule, spodnie i pozostałe szaty, pomagali mu podczas zakładania szpady i wiązali pończochy.

Markiza opowiadała Marie, gdy się szykowały, że także świętej pamięci markiz de Solange kilka razy dostąpił zaszczytu towarzyszenia królowi w jego porannych czynnościach.

Podekscytowana i żądna nowych wrażeń po kilku dniach beczynnego siedzenia Marie została ubrana i uczesana przez Florence. Sukienka wybrana na spotkanie z królem została uszyta z pastelowo zielonego atłasu, miała głęboki dekolt, była jednak prosta, bez ozdób i haftów. Dziewczyna nie miała na sobie żadnej biżuterii, jedynie długi, kręcony lok, zuchwale puszczone z upięcia i ułożony na dekolcie.

Markiza oceniła Marie surowym wzrokiem i włożyła jej w dłoń jeden ze swych malowanych wachlarzy

- Bardzo pięknie, Marie, jesteś świeża niczym wiosenny poranek - stwierdziła. - Chodźmy teraz na spotkanie z królem, moja kochana siostrzenico.

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Nowe, jedwabne pantofelki (markiza kazała wykonać dla niej jedną parę) miały tak wysokie obcasy, że przy każdym kroku musiała łapać równowagę.

A to nie wszystko. Musiała pokonać liczne schody, podnosząc przy tym obiema rękami ciężką suknię, aby nie potknąć się o jej rąbek i nie skrzywić sobie karku jeszcze zanim zobaczy króla i jego świtę.

W przejściach spotykały wytwornie ubranych dworzan. Markiza łaskawie kiwała do nich głową lub wymieniała z nimi jakieś frazesy. Marie stała obok i czuła się zbędna. - Dlaczego mnie nie przedstawicie, pani? - spytała w końcu przygnębiona.

- Nikt z napotkanych dotychczas ludzi nie jest godzien spojrzeć na ciebie, a co dopiero poznać twe imię - odrzekła markiza i uśmiechnęła się do mężczyzny z groteskowo olbrzymim brzuchem.

W końcu przybyły do Galerii Zwierciadlanej, w której zebrało się już wiele osób. Marie wyciągała szyję, by móc patrzeć ponad głowami obecnych. Myślała, że wkroczą teraz do komnat króla, zamiast tego

jednak markiza podeszła do stojącego na uboczu mężczyzny, który niecierpliwie ich wyczekiwał.

- Hrabio Lalande, cieszę się, że ponownie was widzę. Czy pobyt w Rzymie poszedł po waszej myśli? - podała mu dłoń, którą elegancko podniósł do ust.

- Było nie najgorzej pani de Solange. Nic nie może równać się z Wersalem - spojrzał na Marie, a markiza skorzystała z okazji.

- Moja siostrzenica, Marie. Przed dwoma miesiącami to biedne dziecko straciło matkę oraz ojca i znajduje się teraz pod moją opieką.

- jaka to tragedia - wymamrotał mężczyzna. - Taka piękna, taka młoda i taka samotna.

Marie uśmiechnęła się i lekko przechyliła głowę.

- Mam wobec mojej cioci ogromny dług, panie hrabio. Gdyby nie ona, nie wiem, co by się ze mną stało - gdy to mówiła, wędrowała wzrokiem od uszytego z kosztownego, brokatowego materiału justaucorps (justaucorps - szustokor - przyp. tłum.) i haftowanej perłami chusty pod szyją, aż do jego twarzy.

Markiza mu ją przedstawiła, musiał więc być odpowiednim kandydatem. Marie starała się ignorować to, że jego dostojny wygląd nie mógł zatuszować jego wie - ku - miał ponad pięćdziesiąt lat, czyli był starszy od jej ojca. Wzrok dziewczyny padł na pomarszczone dłonie z silnymi palcami, na których połyskiwały liczne pierścienie. Myśl, że miałby ją tymi dłońmi dotykać, wzbudziła w niej głęboką odrazę.

Markiza oddaliła się o kilka kroków, hrabia podążył za nią. Marie wykorzystała okazję, by się rozejrzeć. Radość z nowych sukni przyćmiły wystawne stroje, jakie miały na sobie znajdujące się w sali kobiety. Jak okiem sięgnąć koronki, hafty, aksamity i jedwabie marnotrawione w ogromnych ilościach. Mężczyźni nie byli gorsi. Modne właśnie szerokie, długie do kolan spodnie a la rhingrave (rhingrave - bufiaste, szerokie spodnie - przyp. tłum.) były zdobione szlaczkami i wstążkami; pończochy były haftowane złotą nicią, a buty miały tak samo wysokie jak u Marie, czerwone obcasy - znak, że ten, kto je nosi, należy do szlachty.

Szable z ich cyzelowanymi pochwami i zdobionymi rękojeściami nie były przeznaczone do prowadzenia działań wojennych - były jedynie modnymi akcesoriami. Mężczyźni nosili też prawie groteskowe peruki z lokami i zdobione piórami kapelusze. W Trou -

sur - Layne za takie stroje mężczyzna zostałby obrzucony zgniłymi jajami, jednak tutaj szlachcice chodzili dumnie niczym koguty po gnojowisku.

Markiza zawróciła i rozłożyła wachlarz. Z jej miny można było wywnioskować, że rozmowa z hrabią nie przebiegła według jej planu, a Marie odczuła bezgraniczną ulgę. Markiza jednak nie poddała się tak szybko. Szukała w tłumie odpowiednich kandydatów, którym mogłaby zaprezentować swoją „osieroconą siostrzenicę”.

Marie próbowała pozbyć się niesmaku, który odczuwała, gdy mężczyźni bezwstydnie ją lustrowali. Im dłużej to trwało, tym lepiej jej to wychodziło. Świadomość, że ci wszyscy mężczyźni byli starzy i zniszczeni, już nie wywoływała w niej odrazy, tłumaczyła to sobie swego rodzaju fatalizmem. Żadnego nieżonatego młodzieńca, zdanego na sakiewkę swego ojca, nie stać było na utrzymanie wymagającej kochanki, markiza mówiła jej to kilka razy.

Ograniczyła się więc do kokietowania zza wachlarza przechodzących obok młodych kawalerów, rzucających jej zachęcające spojrzenia. Skończyło się także i to, gdy markiza wzięła ją za ramię i bez słowa wyprowadziła z tłumy. Stała za wejściem na schody i wściekła strofowała Marie.

- To ja wychwalam cię jako nieśmiałą, znajdującą się pod dobrą opieką dziewczynę o niezliczonych zaletach. A ty co? Robisz piękne oczy do każdego mijającego cię galanta.

- Przecież nie zrobiłam nic złego - broniła się dziewczyna. - A wasza taktyka, pani, zdaje się nie odnosić sukcesu. Dlaczego więc się dziwicie...

- Ty impertynencka, mało znacząca dziewucho - wysyczała markiza. - Dzięki mojej taktyce zainteresowanie wykazało wystarczająco dużo mężczyzn. Teraz chodzi tylko o końcowe pertraktacje. Powinnaś być mi wdzięczna, że nie rzucam cię pierwszemu lepszemu, lecz troszczę się o to, który będzie dla ciebie najodpowiedniejszy.

Marie splotła ręce na piersi.

- Macie na myśli pani, kto najszerzej otworzy przed wami swą sakwę.

Markiza podniosła głowę i stwierdziła zwięźle:

- Zapłaciłam za każdą nitkę, którą masz na sobie. Moje zdanie nie powinno więc być ci całkowicie obojętne. Jeśli nie, to wypatruj

tylko powrotu do tej dziury w Owernii (Owernia - kraina, w której leżała wioska Marie - przyp. tłum.). Bez strojów i bez butów, które to ja tobie, nawiasem mówiąc, kupiłam.

Marie wytrzymała chłodne spojrzenie. Chciała mieć siłę, by uczynić to, co mówiła markiza. Jednak po wkroczeniu w ten świat wiedziała, że nigdy dostatecznie się nim nie nasyci.

- Jak brzmi więc twoja decyzja?

Głos markizy uświadomił jej, że kobieta rzeczywiście była gotowa bez skrępowań zabrać jej wszystkie te piękne rzeczy, które podała jej na srebrnej tacy Marie walczyła ze swoją dumą, przełknęła ślinę i w końcu cicho odpowiedziała:

- Przykro mi, madame la marquise, obiecuję, że w przyszłości będę się stosowała do waszych rad.

Markiza przyglądała się jej przez chwilę w milczeniu i w końcu westchnęła.

- Dobrze. I przy tym pozostajemy Koniec końców wiedziałam przecież, że nie będzie z tobą łatwo.

Energicznym ruchem otworzyła wachlarz.

- Jest już późno. Musimy przebrać się na popołudniowy spacer w parku. Nie spotkałam jeszcze wszystkich osób, którym chciałabym cię przedstawić.

Marie powstrzymała się od odpowiedzi i poszła za markizą do komnaty. Florence przygotowała lekką przekąskę, którą głodne kobiety połykały, podczas gdy ona pomagała im w układaniu fryzur i przebieraniu się. Uzbrojone w parasole przeciwsłoneczne i drewniane buty wierzchnie, mające chronić jedwabne pantofelki przed zabrudzeniem, stanęły w końcu przed bramą parku i patrzyły na rozpościerającą się przed nimi rozległą zielenią.

Na zwirowych drogach przechadzały się już gromady ludzi, niektórzy siedzieli na kamiennych ławach stojących wzdłuż drogi i gawędzili. Każdy, kto w eleganckim stroju ukazał się u bram Wersalu, mógł wejść do parku, by na własne oczy przekonać się o jego wspaniałości. Niekiedy w rezydencji, której budowa trwała kilka dziesięcioleci, zatrzymywało się nawet dwanaście tysięcy osób.

Marie z zafascynowaniem przyglądała się wodzie tryskającej z fontann i geometrycznie rozmieszczonym grządkom kwiatów. Nawet żywopłoty i drzewa zostały obdarte ze swoich naturalnych kształtów i przycięte do konkretnych figur. Widziała uformowane z zielonych

krzaków zające, sarny i koty, zdawało się, że biegają one jak dzikie po parku.

- Ależ to piękne - mruknęła Marie, ponieważ dla niej wszystko to było jak jakaś zaczarowana kraina.

Markiza rozłożyła parasol przeciwsłoneczny.

- Nie tylko my, ludzie, musimy podporządkować się woli króla, musi to uczynić także natura - zauważyła sucho i zeszła po schodach do parku.

Szły powoli główną aleją, a Marie wciąż odkrywała nowości. Nie do końca ubrane, naturalnej wielkości marmurowe posągi, przedstawiające antycznych bogów innej kultury, jak wyjaśniła jej markiza. Znajdowały się tam też sztuczne jeziora i długi kanał, ciągnący się przez cały park. Pływały po nim małe, drewniane łódeczki, w których mieściły się co najwyżej dwie osoby. W powietrzu przeważał ciężki zapach jaśminu i ostatnich, późno kwitnących róż.

Marie była tak zajęta tymi wrażeniami, że stanęła zadziwiona, gdy Juliette de Solange niespodziewanie złapała ją za ramię i szybko jej szepnęła:

- Pamiętaj o moich wskazówkach, tam idzie król.

Niewiele myśląc, dygnęła po dworsku tak, jak to wielokrotnie ćwiczyła z markizą. W jej polu widzenia ukazały się błyszczące, zdobione złotymi sprzączkami buty na wysokim obcasie. - Madame de Solange, jakaż to radość, że mogę was przywitać w Wersalu. Jest to przyjemność o wiele za rzadka - powiedział nad nią przyjemny głos.

Gdy markiza się podnosiła, zaszeleścił jedwab.

- Sire, cała przyjemność po mojej stronie. Ważne sprawy rodzinne nie pozwoliły mi przyjechać na dwór. Czy mogę przedstawić wam moją siostrzenicę? Biedne dziecko straciło rodziców i jest teraz całkiem sama na świecie.

- Niech wstanie - powiedział głos i Marie posłuchała. Jej oczy powędrowały po jedwabnych pończochach, szerokich, pokrytych koronkami i falbankami nogawkach, śnieżnobiałej koszuli, pofałdowanej pod haftowanym złotą nicią, brokatowym kubrakiem aż do pomarszczonej chusty, nad którą królowała twarz władcy. Przez chwilę zapomniała o spuszczeniu wzroku, była zbyt zaskoczona widokiem, który ujrziała.

Spodziewała się ujrzeć starego, pełnego godności monarchę, jednak stojący przed nią mężczyzna prawdopodobnie nie przekroczył jeszcze trzydziestego roku życia. Spod zdobionego białymi piórami kapelusza z szerokim rondem spływały na ramiona ciemne włosy, wykonane według panującej mody przez utalentowanego perukarza. Nad górną wargą rosły chwackie wąsiki, podkreślając zmysłowy kształt ust mężczyzny. Królewskie oczy były ciemne niczym nugat z Montelimar w najlepszym gatunku i błyszczały awanturniczo. Jego policzki były wprawdzie naznaczone ospą, jednak nie szkodziło to jego wizerunkowi.

Podniósł palcem jej brodę i patrzył na dziewczynę badawczo. Jego wzrok prześlizgnął się po jej nieskazitelnej skórze, okrągłych policzkach, zatrzymując się na chwilę na lekko rozwartych ustach, zanim przeszedł do przyglądania się dekolтови, który z podekscytowania podnosił się i opadał. - Moja kochana markizo, jak mogła pani tak długo trzymać w ukryciu przed nami swoją siostrzenicę? Jak macie na imię?

- Marie - wymamrotała, próbując uspokoić swe serce, które waliło jak młot. Czyżby zainteresował się nią król we własnej osobie? Nią, Marie Calliere, która jeszcze przed kilkoma dniami biegała boso po polach Trou - sur - Layne?

Jego ciemne oczy iskrzyły. Położył jej rękę na swoim ramieniu.

- Zechciejcie towarzyszyć mi podczas spaceru, piękna Marie.

Marie poszukała wzrokiem pomocy u markizy, a gdy zobaczyła jej prawie niezauważalne skinienie, uśmiechnęła się i zalotnie rozłożyła wachlarz.

- Z przyjemnością, sire.

Podczas przechadzki po parku król wypytywał ją o jej rodziców i przyczynę ich śmierci. Markiza wbiła jej do głowy, że władca brzydził się chorobami i chorymi ludźmi.

- Sire, zginęli podczas burzy. Przewróciło się na nich drzewo.

- I pozostawili panią całkiem samą na tym świecie. Ile pani ma lat?

- Osiemnaście, sire.

- I pierwszy raz tutaj, w Wersalu, jak przypuszczam? Tak nadzwyczajna piękność zapadłaby mi w pamięć.

Marie zarumieniła się i usłyszała jego cichy śmiech.

Spacerowali po parku. Jego Wysokość uroczym gawędził o pogodzie, niezdarności swoich kamerdynerów, stopniowo oddalając się od swej świty. Dotarli w końcu do ukrytej fontanny, otoczonej licznymi, częściowo pokrytymi zielenią lasów, kamiennymi ławami. Na tym oddalonym terenie nie zatrzymywał się nikt oprócz kosów obsiadających drzewa.

Król wyciągnął z szustokoru białą chustkę i teatralnym gestem rozłożył ją na jednej z ławek, następnie poprosił Marie, by usiadła.

Usiadł tuż obok niej i zalotnie przejechał palcami ku górze wzdłuż jej nagiej ręki.

- Twoja uroda uskrzydla me myśli.

Marie skromnie spuściła wzrok, król jednak pochylił się ku niej i dotknął ustami jej policzka.

- Miałaś już kiedyś w sobie mężczyznę, piękna Marie? Potrząsnęła głową. W międzyczasie jej serce zaczęło tak mocno walić, że obawiała się, iż rozerwie jej klatkę piersiową. Czyżby to był moment, na który czekała? Czy był to odpowiedni mężczyzna, mężczyzna, który był wart tego, by rozłożyła przed nim nogi? Jeśli nie był nim król Francji, to któż nim był?

Odważyła się ostrożnie spojrzeć na niego spod swoich rzęs. Poza tym był młody i bardziej niż okazały. Zebrała się na całą odwagę, by zuchwale odpowiedzieć:

- Nie, Wasza Wysokość. Jednak w tym momencie wszystko we mnie tego pragnie. Odkąd pierwszy raz was ujrzałam, sire, chciałam, byście to właśnie wy pokazali mi, co to znaczy być kobietą.

Jego oczy pociemniały. Zaśmiał się z uznaniem.

- Niech więc tak się stanie. Zatańczę w twym rozkoszonym ciele, piękna Marie - mówiąc to, włożył rękę pod jej halkę, głaskał jej pończochy, nagie uda i dotarł do futerka, które pieścił tak długo, aż dziewczyna jęknęła cicho z rozkoszy.

Jego palce były zręczniejsze i nie tak chropowate jak Leona. Marie rozkoszowała się przyjemnością, którą sprawiał jej król. Namietnie całował jej szyję i ramiona, wolną ręką ściągnął dekolt jej sukienki w dół tak, że z wycięcia radośnie wyskoczyły jędrne, młode piersi. Czule je lizał i delikatnie gryzł tak długo, że dziewczyna myślała, że dojdzie jeszcze zanim król spełni swą obietnicę.

Wtedy jednak ściągnął spodnie i złapał ją w pasie. Bez ogródek podniósł ją i nadział na swą długą i twardą dzidę. Pisnęła, otworzyła

nagle ze strachem oczy i wykrzywiła twarz, gdyż markiza powiedziała jej, że pierwszy kochanek będzie tego właśnie oczekiwał.

W rzeczywistości jego wejście było w jej odczuciu wprawdzie czymś nowym, ale na pewno nie nieprzyjemnym. Jej ciało pulsowało wokół jego naprężonego, gorącego penisa. Najpierw siedziała spokojnie, by przyzwycząić się do tego nowego uczucia, podczas gdy on zręcznie kołysał jej brodawki pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem i pieścił je językiem.

Tymczasem bezruch przestał jej już wystarczać, zaczęła się więc instynktownie poruszać. Król śmiejąc się, odrzucił głowę do tyłu i położył się plecami na ławce, nie wypuszczając dziewczyny.

- Bardzo mi się podobasz, słodka Marie. Ujeżdżaj mnie, moja śliczna amazonko, ujeżdżaj do końca świata!

Podskakiwała w górę i w dół. Jego członek był twardy i mokry, sprawiał jej tyle samo przyjemności, co jemu. Od dłuższego czasu trzymał ją za biodra, by w ferworze tej swawoli z niego nie spadła. Położyła swe ręce na piersi i uciskała je mocno. Widok ten zdawał mu się bardzo podobać, gdyż głośno jęczał i pożądliwie oblizywał wargi za każdym razem, gdy jakby przypadkiem dotykała kciukiem swego pączka.

- Pocieraj je mocniej, sprawiaj sobie przyjemność. Chcę zobaczyć twoją rozkosz, podczas gdy twoja niebiańska muszelka wycisnie ze mnie soki. Uciskaj je, uciskaj dla mnie!

Posłuchała, jej brodawki jeszcze bardziej napęczniały, przez jej ciało aż do podbrzusza przenikały palące spirale. Jednocześnie jej mięśnie otaczały jego męskość jeszcze ciaśniej i ciaśniej.

- Dochodzę, dochodzę! - wysapała ochryple, podczas gdy poczuła, że zanurzył palce pomiędzy jej pośladkami, jak gdyby chciał ją rozerwać i poddał się jej. Szczytowali w tym samym momencie, krzycząc i wierzgając tak gwałtownie, że o maty włos spadliby z wąskiej ławki.

Mokre czoło Marie było jeszcze zanurzone w pachnącej jaśminem chuście króla, jej palce wciąż kurczowo ścisnęły rękaw jego brokatowego kubraka. Powoli uspokajał się jej oddech i poczuła, że się z niej wysunął. Mężczyzna podniósł Marie, posadził ją obok siebie i wytarł się koronkową chusteczką, podczas gdy dziewczyna schowała piersi i ułożyła dekolt.

Wstał, drugą chusteczkę zamoczył w fontannie i, ku zdziwieniu Marie, uklęknął obok niej i zaczął wycierać z niej ślady wzięcia w posiadanie z jej ud i narządów płciowych. Jego ruchy były miękkie i dokładne, tak, że Marie najchętniej zaczęłaby mrużyć z czystej przyjemności. Jego ostrożne palce ponownie wywoływały w niej miłe odczucia, zastanawiała się, czy weźmie ją po raz drugi. Uśmiechnął się do niej, przed jej oczami ostrożnie złożył chusteczkę poplamioną krwią i schował do kieszeni kubraka.

- Dobrze strzegłaś swego skarbu, słodka Marie - rzekł przychylnie i wyciągnął ze swojej chusty wysadzaną klejnotami broszę, którą z lekkim ukłonem podał dziewczynie. Jednocześnie zmienił ton głosu i ponownie przywrócił hierarchię między nimi. - Posiadasz naturalny talent dawania przyjemności. Niech brosza ta przywoływa wspomnienie o tym, jak bardzo spodobałaś się królowi - uprzejmie podał jej swe ramię, a jego nugatowe oczy rzuciły jej wiele obiecujące spojrzenie. - Jestem również przekonany, że nie pozostaniemy przy tym jednym wspomnieniu.

Rozdział 6

Gdy tylko Marie otworzyła drzwi komnaty, podbiegły do niej markiza i Florence.

- Co się stało, Marie? Czy król się tobą zainteresował?

- Tak - zaśmiała się zarozumiale i otworzyła dłoń, w której trzymała broszkę.

- O mój Boże! - chórem krzyknęły obydwie kobiety. Markiza wzięła klejnot i podeszła z nim do okna.

- Diamenty i szmaragdy. Dobrze to rozegrałaś, Marie. Zakładam, że nie jesteś już dziewicą.

Dziewczyna opadła na łóżko i wyciągnęła się wygodnie.

- Nie, już nie. A ta cała sprawa jest przyjemniejsza niż oczekiwałam.

- Wcale mnie to nie dziwi - zauważyła sucho Florence, odstawiając na stronę pantofelki i buty wierzchnie.

- Powiedział też, że nie skończy się to na tej jednej pamiątce - dodała Marie, gdy markiza oddała jej broszkę i usiadła przy niej na łóżku.

- Czy to oznacza, że zostanę jego utrzymanką?

- Zostaniesz jego petite amie (petite amie - przyjaciółka - przyp. tłum.). Najpierw. Jego obecną utrzymanką jest Louise de la Valliere. Dopóki nie straci przychylności króla, pozostanie jego faworytą. Tak było w ciągu ostatnich lat. Być może nadejdzie niedługo czas na zmiany, ale nie zastanawiaj się teraz nad tym. Lepiej, żeby cię to nie spotkało. Jestem pewna, że podskarbi wkrótce się ze mną skontaktuje. Wtedy razem z Florence wrócę do Paryża, a ty pozostaniesz tutaj, na dworze w Wersalu.

Marie z rozmarzeniem zamknęła oczy. Zostałaby w Wersalu. Jako kochanka króla. Dostawałaby bez liku klejnotów i strojów. Do tego jeszcze miałyby młodego, wspaniałego kochanka. Los wreszcie się do niej uśmiechnął.

Jeszcze tego samego wieczoru markiza otrzymała wiadomość od królewskiego podskarbiego. Miała się u niego stawić już następnego ranka. Marie, która skrycie oczekiwała małego liściku miłosnego, musiała zaakceptować fakt, że jej nadzieje były płonne. Jednak nie pozwoliła, by to popsuło jej humor. Przecież wszystko mogło się jeszcze zdarzyć.

Następnego dnia markiza wróciła ze spotkania z podskarbin. Miała wyjątkowo zadowoloną miną.

- Wszystko jest już ustalone. Zostajesz tutaj w Wersalu jako dama do towarzystwa księżnej de Demiant. Będziesz mieszkała w jej komnatach, należąc do grona jej dam dworu.

Marie ściągnęła brwi.

- Myślałam... - zaczęła jęklonie.

- Co sobie myślałaś? - spytała markiza. - Może, że zostaniesz zakwaterowana w komnatach króla?

- Nie byłoby to wcale takie złe... Markiza zaśmiała się dźwięcznie.

- Och, dobry Boże, Marie, nawet królowa ma swoje własne komnaty, tak samo jak la Valliere. To jest zamek królewski a nie zagroda chłopska.

Marie starała się patrzeć z godnością.

- Ale w takim razie jak on... - Da ci znać, o to się nie martw - odparła markiza sucho. - I od ciebie zależy, czy będzie o tobie pamiętał lub czy też straci zainteresowanie twoją osobą.

Podeszła do Marie i stanęła przed nią ze splecionymi ramionami.

- To prowadzi do innej kwestii. Jak tylko opuszczę zamek, nasza znajomość się skończy. Nieważne, co cię spotka, ja już nigdy nie otworzę ci drzwi mojego domu, a jeśli spotkam cię na ulicy, nie będę cię znała. Zrobiłam dla ciebie, co mogłam. Twój dalszy los zależy już tylko od ciebie.

Marie skinęła głową.

- Oczywiście, madame la marquise. - Powiedziała to z taką łaską w głosie, że nawet ona sama to usłyszała. Jednak markizie zdawało się to nie przeszkadzać.

- Dobrze. Chcę się tylko upewnić, że zrozumiałaś, że nie ma sensu przybiegać z płaczem pod moje drzwi, jeśli sprawy potoczą się nie tak, jak oczekiwałaś.

Resztę dnia kobiety spędziły na pakowaniu skrzyń. Późnym popołudniem zjawiała się Amelie, jedna z pokojówek księżnej de Demiant, i zabrała dziewczynę.

Komnaty księżnej znajdowały się w innym skrzydle zamku. Strwożona Marie szła za pokojówką przez salony do buduaru. Nie wiedziała, czego będzie się oczekiwać od niej jako damy do towarzystwa. Nie umiała ani czytać, ani pisać, nie znała wytwornego

świata, nie miała także wprawy w lekkich konwersacjach prowadzonych na dworze.

Księżna leżała na łożu z baldachimem, jego zasłony były podciągnięte, odsłaniając delikatną, siwowłosą kobietę w ogromnym czepku. Jej klatka piersiowa podnosiła się prawie niezauważalnie, a ręce leżące na białym prześcieradle były prawie przezroczyste.

Marie stanęła przed łożem i chrząknęła. Kobieta uchyliła zapadnięte oczy.

- Powiedziano mi, że zostanie tutaj zakwaterowana jakaś dziewczyna. Czy to ty? - jej głos był słaby, niewiele mocniejszy od dmuchnięcia.

- Tak, Wasza Łaskawość - odpowiedziała Marie.

- Czyją jesteście protegowaną? Lauzuna? Peripasse'a?

- Król był tak łaskawy i zatroszczył się o mój byt.

Na księżnej słowa te nie zrobiły najmniejszego wrażenia.

- Też dobrze. Jak długo nie zakłócisz mojego spokoju, możesz sypiać z całym orszakiem dworskim - podniosła lekko rękę na znak, że to koniec rozmowy i opuściła ją na kołdrę niczym zwiędły liść.

Marie dygnęła i odwróciła się do wyjścia. Pokojówka zaprowadziła ją do pokoju obok.

- To jest wasza komnata na najbliższy czas, mademoiselle Calliere. Wasze ubrania zostaną przyniesione jeszcze dzisiaj.

- Dziękuję. Czy... czy księżna jest chora? - spytała z zaciekawieniem.

- Jest stara. Ale nie chce umrzeć. Lekarz mówi, że powinna nie żyć już od dziesięciu lat. Jednak ona wciąż zmusza śmierć do ucieczki.

- Co mam dla niej robić?

Usta pokojówki złożyły się w pogardliwy uśmiech.

- Dla księżnej nie musicie robić nic, mademoiselle. Musicie zrobić coś dla tego, kto was tutaj umieścił.

Słowa te brzmiały ubliżająco, pokojówka jednak nie spuściła wzroku. Marie zdecydowała, że nie będzie zwracała na to uwagi.

- Czy jesteście też moją pokojówką?

Lekceważący wyraz twarzy Amelie jeszcze się pogłębił. - Nie. Pracuję tylko dla księżnej. Jest tutaj wystarczająco dużo dziewczyn, które za kilka monet zatroszczą się o waszą fryzurę, jeśli nie macie własnej służby. W każdej chwili mogę wam kogoś przysłać.

Marie skinęła głową.

- Byłoby to bardzo miłe z twojej strony. - Nie miała wprawdzie pojęcia, skąd weźmie kilka monet, ale na pewno znajdzie się na to jakiś sposób.

Gdy niewiele później wróciła do komnaty markizy, ku jej zaskoczeniu była ona już pusta. Popatrzyła na przykryte suknammi meble. Obie po prostu wyjechały, bez słowa, bez pożegnania.

Wzruszyła ramionami.

- I co z tego - pomyślała. - To tutaj to moja przeszłość. Moja przyszłość jest gdzie indziej.

Ledwo weszła do komnaty księżnej, podeszła do niej Amelie z młodą dziewczyną.

- To jest Fanette Brunet. Jest gotowa pracować dla was mademoiselle.

Fanette dygnęła. Nie była starsza od Marie, miała wesołą, okrągłą twarz i tak samo okrągłą figurę. Jej niesforne, rude włosy kręciły się pod czepkiem, a jej oczy błyszczały jak chabry na polach Trou - sur - Layne.

Marie skinęła głową. Jeszcze nie wiedziała, czym opłaci swoją osobistą pokojówkę. Nerwowo gmerała przy dekolcie swojej sukienki, poruszając przy tym broszkę.

- Czy mogę gdzieś sprzedać ten klejnot? - spytała bez ogródek. Obie dziewczyny pewnie od dawna wiedziały o niej wszystko.

- Przed zamkiem czekają właściciele sklepów zastawczych. Siedzą w swoich karetach i skupują biżuterię, dowody długów i inne wartościowe przedmioty. Od nich natychmiast otrzymacie, mademoiselle, pieniądze - wyjaśniła Amelie. - Musicie też zastanowić się, czy potrzebujecie usług Fanette na stałe, czy tylko na godziny.

Marie patrzyła raz na jedną, raz na drugą dziewczynę. - Nie mam pojęcia, jak tutaj jest w zwyczaju?

- Radziłabym wam zatrudnić Fanette jako waszą pokojówkę. Wtedy będzie się troszczyć o wszystko, co wpadnie jej w ręce. Będzie czyścić i cerować ubrania, nosić wiadomości, układać wam włosy i pomagać przy ubieraniu i rozbieraniu. Będzie wam towarzyszyć, kiedy tylko będziecie tego chcieli.

Marie nie była pewna, czy Amelie mówi prawdę ani czy Fanette nie miała być jedynie źródłem zaopatrzenia. Czas miał to pokazać.

- Dobrze. Niech więc tak będzie. Od tej chwili jesteś moją pokojówką, Fanette. Będiesz mi towarzyszyć w drodze do kupców.

- Chętnie, mademoiselle Calliere - dziewczyna dygnęła.

Za broszkę kupiec zaoferował jej tysiąc liwrów, kwotę tak niewyobrażalną dla Marie, że nawet nie przyszło jej do głowy, by się targować.

Jej życie nabierało rozpędu we właściwym kierunku. Pełna radości zapłaciła Fanette za tydzień z góry. U kręcących się po zamku krawców zamówiła suknie i płaszcze, szewcowi kazała zdjąć miarę na trzy następne par)' nowych butów.

Wieczorem założyła swoją najpiękniejszą suknię wieczorową i wmieszała się w tłum ludzi tańczących w Galerii Zwierciadlanej. W jej łaski grzecznie próbowało wkupić się kilku kawalerów - próbowali z nią figlować lub niepostrzeżenie uwieść ją w jasno oświetlonym parku. Śmiała się wprawdzie i tańczyła z nimi, uważała jednak, by nie stawali się zbyt natarczywi. Nie ryzykowała również spaceru po ciemnych częściach parku.

Króla widziała jedynie z daleka. Przychodził późno i znikał krótko po swoim pojawieniu się, nie obdarowując jej nawet spojrzeniem. Marie próbowała nie pokazywać po sobie rozczarowania, jednak nawet jeśli na zewnątrz jej się to udawało, to w jej wnętrzu tkwiła mała zadra.

Zanim ponownie spotkała się z królem, minęły trzy dni. Wysłał jej bilet, w którym wzywał ją do Gabinetu Szmaragdowego. Marie starannie dobrała suknię i kazała Fanette upiąć swoje włosy według oficjalnej mody dworskiej. Gdy podniecona biegła przez długie korytarze, modliła się, by król nie spytał jej o broszkę.

Nie uczynił tego. Gabinet Szmaragdowy był małym, ustronnym buduaem, w którym nie mieściło się nic oprócz szerokiego, przykrytego jedwabnym prześcieradłem łoża. Nie zdążyła jeszcze podnieść się z dworskiego dygnięcia, gdy król gwałtownie wziął ją w ramiona i pchnął na łóżko. Był w niej jeszcze zanim zdążyła powiedzieć słowo lub zdjąć suknię. Jej ciało przyjęło go chętnie - już podczas pierwszego pchnięcia poczuła, jak się do niego dopasowuje.

- Moja słodka Marie, jakże za tobą tęskniłem - wyszeptał jej nad uchem i udowodnił swe słowa mocnym pchnięciem. Jej nogi zwisały z końca wysokiego łóżka, podczas gdy król stał przy nim ze spuszczonej spodniami.

Obezwładniona jego nieskrywaną namiętnością Marie była w stanie jedynie wydobyć z siebie:

- Ach, sire, ostatnie dni były dla mnie prawdziwym piekłem. Bałam się, że już o mnie zapomnieliście.

- Jakże mógłbym zapomnieć twoją wspaniałą muszelkę? - odsunął się dalej na łóżko, by w końcu uklęknąć pomiędzy jej udami. Jego ręce wślizgnęły się pod nią. Podniósł jej miednicę, by móc głębiej w nią wejść. Nowy kąt sprawił jej jeszcze większą przyjemność i jęknęła ochryple, zanim sobie to uświadomiła.

Dźwięk ten ją otrzeźwił, szybko spojrzała na twarz króla. Ten jednak się śmiał.

- Pozwól mi usłyszeć twoją rozkosz, lubię, gdy kobiety dochodzą całym ciałem - rozwiął jej wątpliwości i wchodził jeszcze mocniej, tak długo, aż zaczęła spadać z przejmującym krzykiem na ustach.

Gdy doszła, zauważyła, że leżał obok niej, ubrany jedynie w koszulę oraz kubrak i miał całkowitą erekcję. Wyciągnął rękę i bawił się jej luźnymi kosmykami włosów. Marie spojrzała na niego wyczekująco.

- Marie, chciałbym, żebyś mnie pocałowała.

- Oczywiście, sire! - podniosła się, jednak król potrząsnął głową, gdy się do niego przybliżyła.

- W pewne bardzo szczególne miejsce.

Wziął w dłoń swego penisa i powoli ściągnął napletek, żeby mogła zobaczyć napiętą, koralową żołądz.

- Chcę, żebyś pocałowała mnie tutaj.

Życzenie to na chwilę zbiło ją z tropu. Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, że można całować to miejsce. Pochyliła się z wahaniem. Jej zmysły wypełniła woń piżma, gdy docisnęła swoje usta do wyciągniętej główki.

- Weź go do buzi. Całego.

Niewiele myśląc, posłuchała. Był jedwabisty, instynktownie prześlizgnęła się językiem po nabrzmieniu, aż dotarła do karbowania na dole. Jęk króla dodał jej odwagi. Jej ręka objęła trzon i poruszała się w tym samym rytmie co jej usta, podczas gdy jej język żarliwie lizał nabrzmiały czubek.

Jego jęk stał się głośniejszy, złapał ją za głowę, by trzymała go w ustach, gdy wytrysnie, Marie stłumiła zakrztuszenie, gdy ciepła, słona ciecz wytrysnęła w jej ustach. Ponieważ nie wiedziała, co z nią zrobić,

z pewnym trudem przełknęła jego soki i podniosła głowę, gdy tylko król ją puścił.

- Słodka Marie, naprawdę posiadasz więcej niż jeden talent - wymamrotał bez tchu i sięgnął po jej rękę, by złożyć na niej pocałunek.

- Moim jedynym celem jest sprawić wam radość, sire - odpowiedziała Marie ze skromnością i wyciągnęła się na łożu. Podciągnięte halki odsłaniały jej nogi, a gdy kokieteryjnie położyła ręce za głowę, z głębokiego dekoltu wyskoczyły jej piersi.

Król przyglądał się sterczącym brodawkom i westchnął.

- Chciałbym mieć czas, by w tej chwili odkryć wszystkie twoje talenty. Jednak obowiązki wzywają.

Wstał i założył spodnie.

- Możesz tu pozostać i się uspokoić, Marie. Nikt tutaj nie przyjdzie.

Gdy był już ubrany, ponownie podszedł do łóżka i pogłaskał jej nogi w jedwabnych pończochach.

- Ach, jakżebym chciał... - w jego głosie wyraźnie brzmiał żal. - A co mi tam, każę po ciebie posłać, gdy tylko będę mógł się oderwać na kwadransik od obowiązków. A do tej pory niech to służy ci za pamiątkę - wyciągnął pierścień i podał go jej.

- Piękna Marie, odliczam godziny, by znowu cię ujrzeć.

- Sire, wasze słowa bardzo mnie uszczęśliwiają. - Marie uśmiechnęła się do niego. Gdy zamknęły się drzwi, rozmarzona obracała pierścień w palcach. Więź pomiędzy nią a królem stała się mocniejsza i to już po drugim spotkaniu.

Król rzeczywiście dotrzymał słowa i wielokrotnie wzywał dziewczynę do ukrytego zakątka w parku lub do ustronnych salonów zamku, by na wskroś poświęcić się wszystkim talentom Marie. A ta z całych sił starała się, by go nie zawieść.

Czas pomiędzy schadzками był wypełniony oczekiwaniem, tak jak przepowiedziała markiza. Na początku Marie spędziła dużo czasu na poznaniu zamku z jego niezliczonymi komnatami i salonami. Zapamiętała sobie sztywny rozkład dnia króla, oferujący niewiele przerw na randki oraz ulubione miejsca władcy, w których miał różne upodobania.

W Salonie Porcelanowym miała być pokojówką podającą mu gorącą czekoladę. W innym pokoju odgrywała rolę niewolnicy, która

uciekała z haremu, a w Pokoju Minerwy była złodziejką, którą musiał ukarać.

Cieszyła się na te gierki tak samo jak król i zaczęła wymyślać nowe scenariusze ich spotkań. Z żalem stwierdziła, że już było zbyt zimno na park i jej rola uroczej pastereczki musi poczekać do przyszłego roku.

Zima w Wersalu ukazała wszystkie niedociągnięcia w budowie zamku, który z zewnątrz wyglądał tak okazale. Okna i drzwi się nie domykały. Jeśli szczeliny nie zostały zapchane szmatami a okna zasłonięte grubymi zasłonami, ludzie co rusz się zaziębiali. Ogrzewanie wysokich pomieszczeń wymagało mnóstwa drewna, które osiągało astronomiczne ceny.

Marie stwierdziwszy dawno, że majątek, który otrzymywała za sprzedane królewskie prezenty, rozchodzi się na codzienne potrzeby takie jak suknie, buty, kapelusze, pomady, perfumy i łapówki, ze strachem wyglądała mrozu. Zamówiła sobie futrzaną pelerynę, musiała się na nią zadłużyć. Liczyła na to, że na jej dziewiętnaste urodziny król podaruje jej coś szczególnie wartościowego i będzie mogła tym spłacić długi.

Jednak jej kalkulacje wzięły w łeb, ponieważ król nie podarował jej nic. Nie złożył jej nawet życzeń, chociaż kilkakrotnie dyskretnie wskazywała mu, kiedy ma urodziny.

Nie pozostało jej więc nic innego, jak cofnąć zamówienie na futro i w swoje urodziny owinać się kocem, wpatrując się w słaby ogień w kominku. Fanette podarowała jej własnoręcznie wyhaftowaną wstążkę do włosów, jednak nawet to nie wyciągnęło Marie z melancholii. Po raz pierwszy poczuła się osamotniona. Tutaj, w samym środku przepychu, tego bogatego i wspaniałego świata, czuła się odrzucona i samotna.

Szlachta odcinała się od niej z powodu jej pochodzenia, nie zmieniły tego nawet jej stosunki z królem, będące tajemnicą poliszynela. Dziewczęta, które tutaj w Wersalu były towarzyszkami, petite amies królewiczów i książąt, zmieniały się często i szybko. Zbyt szybko, by mogła rozwinąć się między nimi prawdziwa przyjaźń. Ludzie spotykali się przy grze w karty lub warcaby, z okazji wspólnych wycieczek, wewnętrzne więzi jednak nie powstawały. Oczywiście dziewczęta codziennie całowały się w policzki i wciąż

uroczyście zapewniały, że w towarzystwie swoich przyjaciółek czują się bardzo szczęśliwe. Marie nie była wyjątkiem.

Na dodatek la Valliere wciąż miała mocną pozycję na dworze. Marie nie rozumiała, co króla w niej podniecało, była postacią bezbarwną, często modlącą się i z dumą obnoszącą się z dużym brzuchem. Kuląła i pokornie spuszczała wzrok, gdy król się do niej zwracał, by czegoś się od niej dowiedzieć. Mimo tego podczas przyjęć siadała w jego pobliżu, a gdy nie było królowej, nawet u jego boku.

Oczywiście w przeciwieństwie do Marie la Valliere była mile widzianym gościem podczas prywatnych, liczących do piętnastu osób kolacji w Trianon. Gdyby Marie nie zakradła się pewnego popołudnia do małego zamku, do dziś nie wiedziałaby, jak tam jest. La Valliere była traktowana na dworze z poważaniem i szacunkiem, podczas gdy Marie stała w kącie, obserwując wydarzenia kątem oka.

Król uznał wszystkie dzieci, które do tej pory wydała na świat jego kochanka, aczkolwiek czekał z tym na śmierć swej matki.

Bez wątpienia pian Marie zyskałby na tym, gdyby także ona zaszła w ciążę z królem. Jednak pomimo jej usilnych starań nie udawało się to. Jej krwawienia następowały każdego miesiąca z zegarmistrzowską dokładnością, a jej brzuch był wciąż płaski. Nie zastanawiała się nad tym zbyt, w końcu była jeszcze młoda, a każda chwila spędzona z królem zwiększała prawdopodobieństwo znalezienia się przy nadziei.

Pochlebstwami udało się jej wyprosić od króla konia. Myślała, że będzie wtedy mogła brać udział w regularnych polowaniach. Oczywiście się myliła.

Po wielotygodniowych wyczerpujących treningach jazdy w siodle z gracją i pewnością, nie otrzymała jednak żadnych zaproszeń na polowania czy przejażdżki dworskiego towarzystwa i musiała się z tym pogodzić.

Nie pozostało jej więc nic innego, jak jeździć konno samotnie, z nadzieją, że latem nadejdą lepsze czasy i będzie miała okazję oczarować króla, wcielając się w rolę zalotnej pastereczki.

Rozdział 7

Po mokrym kwietniu nastąpił upalny maj, dzięki któremu zieleń w parku i pożądanie w królu obficie wytrysnęły. Prawie codziennie wzywał Marie na potajemne schadzki, a jej nadzieja, by wreszcie zająć miejsce znieawidzonej la Valliere ożyła, gdyż król coraz częściej zwracał się do niej przy całym dworze. Zauważyła, że lokaje odnosili się do niej z większym szacunkiem, a krawcy i modniarze szybciej realizowali jej zlecenia.

Marie miała lepszy humor i nosiła wysoko głowę. Uda się jej. Zostanie najpotężniejszą kobietą w królestwie. Otrzyma tytuł oraz rozległe dobra ziemskie. Nigdy już nie będzie marznąć, targować się o kilka marnych monet, pracować w polu. Nigdy już nie zostanie wyśmiana, nikt nie będzie z niej szydził ani ignorował.

Przebudzona wiosna sprowadziła do Wersalu szlachtę z całej Europy. Przybyły też nowe, młode dziewczęta mające dostarczać rozrywki wysoko postawionym panom. Podążały one wiernie niczym pieski za Marie, która stała się błyszczącym wzorem do naśladowania. Dziewczyna często oglądała nowo przybyłe osoby, żartując sobie po cichu z zagranicznych kostiumów.

Zwierzyniec wypełnił się egzotycznym ptactwem i małymi zwierzętami, które Marie wraz z towarzyszkami oglądała równie chętnie co licznych, cudzoziemskich posłańców, którzy darowali królowi te cuda w prezencie.

Nudę udawało się Marie przegnać na krótko podczas gry w badminton na gładkich jak aksamit trawnikach w parku. W przeciwieństwie do innych dziewcząt Marie kochała tę grę, ponieważ zaspokajała ona potrzebę ruchu i ucieczki przed rozleniwiającym siedzeniem. Zawsze tak długo przeganiała swoją partnerkę po boisku, aż ta padała bez tchu na miękki trawnik.

Często spacerujący dworzanie przystawali i przypatrywali się ich grze lub aplauzem nagradzali szczególnie udane uderzenia. Marie nie widziała nic niezwykłego w tym, że ich grze przypatrywała się grupa przybyłych paniczów.

Poprzedniego wieczoru w sali tanecznej razem ze swymi przyjaciółkami przyglądała się nowo przybyłym. Przyjechali z południa, z Prowansji i nie starali się ukrywać miękkiego akcentu w swej wymowie. Szybko okazało się, że należeli do świty znanego ze skłonności do własnej płci księcia de Mariasse. Mężczyźni byli

wymuskani niczym wyprowadzane z letniego pastwiska woły w Trou - sur - Layne.

Lalusie z chichotem komentowali grę i głośno śmiali się, gdy grająca nie trafiła w lotkę. Na próżno dziewczęta wołały do nich, by sobie poszli. Stali dookoła, machali swoimi chusteczkami i z manierami poruszali swoimi jedwabnymi wachlarzami. Nie przestawali przy tym stroić sobie żartów z dziewcząt i ich kiepskiej celności.

W końcu Marie miała dość. Wycelowała lotkę w środek grupki. Skrzecząc niczym stado kur, mężczyźni rozpierzchli się i w końcu zaczęli zbierać się do odejścia.

Jeden z nich jednak schylił się i podniósł lotkę. Powoli, ostrożnie wyważając biodra, podszedł do Marie. - Demoiselle (demoiselle - panienka - przyp. tłum.), zdaje mi się, że uderzenie bardzo zboczyło ze swego toru.

Miał czarną, ondulowaną perukę, jej końce spadały aż na pierś, na bżowy szustokor, pod którym widoczny był jasnozielony kubrak. Wbrew panującej modzie twarz młodzieńca była wygolona na gładko, jego oczy miały głęboki odcień owego błękitu, który był charakterystyczny dla porcelany z manufaktur w Limoges.

- Odnieśliście złe wrażenie, monsieur - odparła wyzywająco i wzięła podaną przez niego lotkę. - Uderzenie było idealne.

- Zdradźcie mi swe imię, o niezwykła piękności! - wymruczał, zanim zdążyła się odwrócić. Przechylił się i owinał niesforne blond pasemko jej włosów dokoła swego palca. Poczuela jego pachnący fiołkami oddech, podczas gdy jego oczy spoczęły na jej gwałtownie kołyszających się piersiach.

- Mam na imię Marie. Jestem siostrzenicą markizy de Solange i lepiej będzie dla was panie, jeśli nie wzbudzicie we mnie niechęci. Należę do najwyższego pana Wersalu.

Pogłaskał palcem swoją wygoloną brodę. Jego usta wykrzywił zły uśmieszek.

- Ach, jesteście więc cipką króla?

Wyniośle odrzuciła głowę i odparowała na tę bezczelność:

- Lepiej być cipką króla niż księcia de Mariasse, monsieur.

Spojrzał na nią, a następnie sięgnął do kieszeni i wydobył malutką szkatułkę. Nie odrywając wzroku od dziewczyny, wyjął z pudełeczka fiołkową pastylkę i z rozwągą włożył ją sobie do ust.

Marie czekała, żeby jej coś odpowiedział, jednak mężczyzna pozostał milczący. Odwróciła się, wzruszając ramionami i poszła do swoich przyjaciółek. Gdy krótko potem obejrzała się, on i jego znajomi zniknęli.

Niewiele później dotarła do niej wiadomość Jego Wysokości. Miała na niego czekać w Salonie Aniołów, w ustalonej pozycji. Nie potrzebowała więcej wskazówek, знаła gierkę, którą lubił prowadzić w tym pokoju.

Salon Aniołów był długim pomieszczeniem, od ukrytych w ścianie drzwi do łóżka było około dwudziestu kroków. Koniec łóżka, którego filary były ozdobione pyzatyimi cherubinkami, był skierowany do owych tajemnych drzwi. A Marie miała leżeć naga na brzuchu, z rozłożonymi nogami i czekać na Jego Wysokość.

Przeprowadzali tę gierkę już kilka razy, szczególnie upodobał sobie branie dziewczyny w ten właśnie sposób.

- Gdy tylko przekraczam próg salonu, piękna Marie, widzę twe cudowne, białe pośladki, pomiędzy którymi czeka na mnie raj. Każdy krok zbliża mnie ku niemu, z każdym krokiem moja męskość staje się twardsza i większa. Jeszcze w ruchu uwalniam wyprężoną rękę z jej więzienia i pieszczę ją pełen radości, aż jej gorąca i wilgotna główka wyciągnie się ku tobie.

Następnie wchodził w nią; przeważnie wystarczało tylko jedno pchnięcie, by poczuć całą jego długość. Jęczał, klepał ją otwartą ręką po pośladkach wciąż zapewniając, ile radości sprawia mu jej cipka.

Marie ziewała. Tak długo jak dzisiaj jeszcze nie czekała. Miała nadzieję, że la Valliere nie wpadła jeszcze na trop ich romansu. W końcu ta zazdrosna stara krowa nie sprawiała mu najmniejszej przyjemności.

Jej rozmyślenia przerwał jakiś szmer. Ukryte drzwi. Czekanie się skończyło. Usłyszała stukanie obcasów na gładkim parkiecie, a jej serce mimowolnie zaczęło szybciej bić.

Wyobraziła sobie, jak patrzył na nią, przechodząc przez cały pokój i jak widok ten podniecił go tak bardzo, że jego członek podniósł się natychmiast. Jak włożył rękę do spodni, jak chwycił go i ugniatał, by sprawić, by był dla niej jeszcze twardszy. Jak podszedł bliżej i bliżej.

Jeszcze szerzej rozłożyła nogi i czekała z nadzieją. Zniknęła wszelka senność. Myśl o tym, że idzie przez pokój ze swoim grubym

członkiem w rękę sprawiała, że jej cipka stawała się wilgotna i otwierała się zachęcająco.

Stał za nią. Czowała jego obecność. Nie wolno jej było się odwrócić, była to część gry. Bez tchu czekała na pchnięcie. Materac się poruszył. Zacisnęła palce na jedwabnym prześcieradle.

Palec głaskał jej nabrzmiałą szparkę, jęknęła. Z żądzą wypięła się do niego bardziej. Za pierwszym palcem wsunął się drugi, razem wślizgnęły się do jej gorącego wnętrza, rozciągały je i robiły miejsce na kolejny palec.

Czowała, jak jej soki spływają na prześcieradło. Palce rytmicznie i coraz głębiej w nią wnikały, aż Marie była półżywa z pożądania.

Uklęknęła na czworaka, bezwstydnie wygięła plecy, by mógł w nią wejść jeszcze lepiej, jeszcze głębiej. Jęczała z rozkoszy. W momencie, gdy poczuła, że zbliża się orgazm, wyciągnął z niej palce.

Już chciała z rozczarowaniem zaprotestować, gdy przycisnął swoją ciepłą, wilgotną dłoń do jej gorącej szparki i zaczął rozmazywać jej soki po jej udach i pośladkach. Jego palce jeździły po śliskiej skórze, uporczywie masowały miejsce łączące jej przednią i tylną bramę. Tak długo rozcierał jej soki dookoła różyczki, aż ta z ochotą się otworzyła.

Od długiego czasu nie była niczym innym jak jęczącym, błagającym o ulgę kłębkiem pożądania. Idealnie śliski palec okrążył jej tylną bramę i w tym samym momencie, gdy wślizgnął się do jej odbytu, do jej spragnionej cipki wtargnął gruby, gorący penis. Doszła tak gwałtownie, że z krzykiem wyprostowała się niczym wierzgający koń.

Dopiero gdy jej ciało się uspokoiło i ponownie ułożyła się płasko na łóżku, zorientowała się, że on wciąż w niej był. Uderzał bez przerwy głęboko, był twardy, jego niezachwiany rytm sprawił, że jej podniecenie przywołało kolejny orgazm, który przykrył ją niczym czarny zamsz.

Z zamkniętymi oczami, na skraju świadomości, pozwoliła, by pchał dalej. Jego ręce głaskały jej plecy, szczypały jej pośladki i przytrzymały jej uda pod pasującym mu kątem.

Jego usta i język wędrowały po jej kręgosłupie, pieściły jej kark i ramiona, podczas gdy cały czas napierał, jego członek tańczył w niej po mistrzowsku.

Jeszcze nigdy nie doszła trzy razy - raz po razie, także teraz nie myślała, że to się zdarzy, jednak nagle puścił jej uda i podłożył ręce pod jej piersi. Jej brodawki zareagowały natychmiast na jego dotyk, wysyłając ogień do jej podbrzusza.

Położył się na niej całym ciężarem ciała, rozepchnął jej uda swoimi kolanami najmocniej jak się dało i przez to wszedł w nią jeszcze głębiej. Jego palce pieściły jej twarde sutki, wykręcały je i delikatnie szczypały tak długo, aż zaczęła tracić zmysły z pożądania.

Nie zauważyła, że jego tempo stawało się coraz wolniejsze, a każdemu pchnięciu towarzyszył długi, głęboki jęk. Był tuż przed orgazmem, tak samo jak ona.

Dyszła i napinała swoje mięśnie dookoła niego. Jego członek wydawał jej się dużo grubszy niż zwykle. Jęcząc, próbował się jej przeciwstawić, ale bezlitośnie go trzymała. Był to jej największy talent, jak ostatnio zapewniał ją król, a teraz sprawiała, by poczuł prawdziwość swych słów.

Trzymała go w sobie, naciskała tak długo, aż wypuścił w niej nasienie i drżąc nadal leżał na niej. Jego wysiłki sprawiły, że doszła po raz trzeci. Orgazm - podobny do miękkiej bryzy - przyjemnie ją otulił.

Wypełniło ją głębokie zadowolenie. Zauważyła, że wyszedł z niej, była jednak zbyt zmęczona, by się poruszyć. Położył coś koło jej głowy, pewnie klejnot jak zwykle, pomyślała, zbyt wykończona, by wyciągnąć po niego rękę. Oczy same jej się zamknęły i zapadła w głęboką drzemkę.

Król podszedł do ukrytych drzwi i ostrożnie je otworzył. Nie miał zamiaru kazać na siebie czekać tak długo słodkiej Marie, jednak ministrowie po raz kolejny nie mogli skończyć swoich bezsensownych dyskursów.

Spojrzał na pokój. Marie leżała naga na łóżku tak, jak sobie tego życzył, zwrócona ku niemu swą cudowną cipką.

Ziewając, podchodził coraz bliżej i pieścił swoją dzidę, zmęczoną jak on sam. Stanął przed łóżkiem i zaczął gmerać przy spodniach. Jednak nagle zamarł w bezruchu. Jędrne pośladki Marie były pokryte błyszczącą, kleistą cieczą tak samo jak jej pięknie wyrzeźbione uda. Z nabrzmiałej szparki dziewczyny wypływał kremowobiały syrop.

Zdecydowanym ruchem król z powrotem zasnuował spodnie. Najwyraźniej ktoś ośmielił się zająć jego miejsce. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, któż mógłby być tak bezczelny.

Potem wpadła mu w oczy fiołkowa pastylka leżąca obok głowy Marie. Będzie musiał poważnie porozmawiać z księciem de Mariasse o jego sposobie dobierania sobie gości.

Odwrócił się, kręcąc głową. Dokąd zmierza ten świat, skoro nawet król nie może być pewien swojej cipki?

Rozdział 8

Marie przeciągnęła się, ziewając. Wpadające przez wysokie okno światło słoneczne oślepiło ją boleśnie, musiała zmrużyć oczy. Wtedy zauważyła, gdzie się znajdowała. I po co przybyła do Salonu Aniołów.

Wspominając to, co niedawno przeżyła, uśmiechnęła się bezwiednie. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby król kiedykolwiek był w tak wysokiej formie. Owa rozpalona namiętność była kolejnym dowodem jego coraz większego przywiązania do dziewczyny. Jaki prezent podarował jej tym razem?

Przeturlała się na bok i macała ręką po poduszce, aż znalazła mały przedmiot. Ze zmarszczonym czołem oglądała to, co trzymała w palcach. Gdy się zorientowała, że była to fiołkowa pastylka, jej serce stanęło. To... to nie było prawdą. To nie mogło być prawdą. W myślach przypominała sobie każdą sekundę minionych uniesień miłosnych. Niemożliwe, by nie zauważyła różnicy, by nie zorientowała się, że jej skórę całowały inne usta, a jej ciało pieściły inne dłonie, że przyjemność sprawił jej inny mężczyzna.

Inny mężczyzna, który po prostu w nią wszedł, jak gdyby była jakąś przygodną dziwką, której każdy może użyć. Z obrzydzeniem odrzuciła od siebie pastylkę, jakby chciała tym samym wyrzucić ten cały miniony epizod ze swego życia.

Ogarniało ją zimno. Czowała się upokorzona jak nigdy przedtem. Zęby jej dzwoniły, owinęła się prześcieradłem, na próżno poszukując ciepła i pocieszenia. Po policzkach płynęły jej łzy wstydu i wściekłości.

Na pewno śmiał się z niej. Ten wymuskany chłystek ze świty księcia de Mariasse, poszukujący jednorazowej odmiany od swoich łóżkowych towarzyszy. Próbowwała przypomnieć sobie jego wygląd, ale jego twarz zniknęła w morzu kolorowych piór, koronek i trzepoczących wstążek. Prawdopodobnie siedział teraz ze swoimi kompanami i opowiadał, jak po prostu wszedł sobie do jakiejś komnaty, w której na łóżku leżała naga kochanka króla. Jak bez słowa wsadził jej swojego ptaszka. I jak krzyczała z rozkoszy.

Marie schowała głowę w poduszkach. To najbardziej jej dokuczało. Wbrew jej woli wziął ją obcy mężczyzna, a ona odczuwała przy tym przyjemność. W jej odczuciu nic nie znaczył fakt, iż była pewna, że to król. Po prostu musiała to zauważyć.

Jej klejące się uda były żywym dowodem jej błędu. Jej upokorzenia. Czuła się brudna i wykorzystana. W jej głowie rozbrzmiewały nieprzyzwoite żarty i sprośne uwagi mężczyzn.

Jeśli ten mężczyzna opowiedział innym swoją historię, nie mogła się już pokazać na dworze. Po co w ogóle mówiła mu, kim jest? Po co w ogóle z nim rozmawiała?

Przewróciła się na plecy i spróbowała wszystko sobie poukładać w głowie. Nagle przyszło jej na myśl, że ta historia mogła przecież dotrzeć do króla i w ten sposób Marie na zawsze popadłaby w jego niełaskę. Wszystkie tygodnie i miesiące starań, podczas których próbowała zyskać jego przychyłność, wyczytywać pragnienia z jego oczu, w jednej chwili zostały zniweczone.

Marie poczuła, jak rozpacz ustępuje miejsca niepohamowanej wściekłości. Nie dopuści do tego, by jej plany zostały zniszczone przez jakiegoś przypadkowego paniczyka z prowincji. I zemści się - jak tylko pozna imię tego mężczyzny.

Gdy wróciła do swojej komnaty, rozkazała Fanette wypełnić ceber księżnej de Demiant gorącą wodą i przynieść kawałek pachnącego marsyjskiego mydła. Szorowała się tak mocno, jakby chciała sprawić, by jej ciało zapomniało o ostatnich godzinach. Następnie wyciągnęła się na swym łóżku i pozostała w nim do późnego popołudnia, zapadając w niespokojną drzemkę.

Wieczorem miało miejsce przedstawienie teatralne, a Marie miała zamiar pojawić się na nim z podniesioną głową. Nie będzie się ukrywać, lecz wystawi się na bezpośrednie ataki, szukając jednocześnie możliwości zemsty. W drodze na przedstawienie wszystko było jak zwykle. Nikt nie patrzył na nią w sposób obelżywy ani się od niej nie odwracał. Być może niepotrzebnie się martwiła. Być może mężczyzna nie był zainteresowany rozgłaszaniem swego haniebnego czynu.

Przy schodach spotkała dziewczęta, z którymi przed południem grała w badmintona. Były świadkami przekazania tajemnego listu od króla, dlatego też mrugały do niej filuternie.

- Czy twoje popołudnie było zadowolające, Marie? - spytała Sylvie. Razem z ciemnowłosą Nadine były przyjaciółkami księcia de Contarda, mężczyzny pięćdziesięcioletniego, który najchętniej przyglądał się igraszkom miłosnym młodych dziewcząt, sam jednak do nich nie dołączał. Albo nie mógł dołączyć.

- Dziękuję, było zapierające dech w piersiach. Jak zwykle - odparła z góry, a obie dziewczyny przewróciły oczami.

- Boże, ile bym dała za prawdziwego mężczyznę pomiędzy moimi udami. Żadna kobieta nie może tego zastąpić - powiedziała Nadine i zwróciła się do drugiej dziewczyny. - Nie bierz tego do siebie, Sylvie.

- Nie biorę, mam takie samo zdanie.

Marie wpuszczała tę gadaninę jednym uchem i wypuszczała drugim. Wędrowała wzrokiem po ludziach idących przez park w kierunku ławek rozstawionych na trawniku. Prawie niemożliwym było odnalezienie jednej, konkretnej osoby, na szczęście jednak książe de Mariasse zjawił się jak zwykle ze swoją świtą, a ponieważ wszyscy mężczyźni mieli na sobie bardzo strojne ubrania, nie było możliwości, by ich nie dojrzeć.

Bez ogródek złapała Nadine za rękę.

- Czy wiecie, kim jest ten mężczyzna bez brody, który pojawił się razem z księciem de Mariasse?

Obie dziewczyny wyciągnęły szyje.

- Nie, ale czy to nie są owi młodzieńcy, którzy dzisiaj przeszkadzali nam podczas gry w badmintona? - Nadine rozłożyła wachlarze.

- W rzeczy samej są ponadprzeciętnie przystojni. Żaden z nich nie jest niestety zainteresowany kobietami. Boże, za taką koronkę mogłabym zabić.

Marie stłumiła gniew. Z brzegu tłumu pojawił się Jean Desgrais, jeden z lokajów, znany z tego, że zawsze miał oczy i uszy otwarte. Już kilka razy był dla niej źródłem interesujących informacji - oczywiście w zamian za gotówkę. Podniosła halki i podbiegła do niego. - Mademioselle Calliere, wyglądzie czarująco - powiedział, lekko się kłaniając i szybko dodał: - Czym mogę wam służyć?

- Tam, przy księciu de Mariasse, ten mężczyzna w fioletowym, brokatowym kubraku, kto to jest? Znasz jego imię? - spytała szybko.

Jean zrobił minę sfinksa.

- Być może.

- Nie mam przy sobie pieniędzy. Przyjdź jutro do moich komnat, wtedy wynagrodzę cię jak zwykle - odpowiedziała z niecierpliwością.

Jean zwlekał z odpowiedzią.

- Dobrze, jeszcze nigdy nie rozczarowałyście mnie mademoiselle, więc zrobię wyjątek - znacie moje zasady.

- Tak, najpierw pieniądze, potem informacje - przestępowała z nogi na nogę, nie spuszczać wzroku z kolorowej grupy mężczyzn. W międzyczasie książę i jego towarzysze doszli do ławek i zaczęli zajmować miejsca.

- No powiedz coś w końcu.

Jean strzepnął pyłek ze swojej liberii.

- Kawaler Tristan de Rossac (kawaler - tytuł rycerski - przyp. tłum.), pochodzący z nic nie znaczącej szlachty ziemiańskiej, z posiadłościami w Prowansji. Jest protegowanym księcia.

- Gra? Pije? Jakież nieprzyzwoite afery lub interesy? - spytała Marie, chcąc odkryć jakieś słabe strony swojej ofiary.

- Demoiselle Calliere, takie informacje kosztują dodatkowo.

- Niech będzie, jednak odpowiedz na moje pytanie.

- Gra i pije. Jednak z umiarem, przy stole do gry nie narobił sobie jeszcze długów. A pozostałe sprawy... jest tutaj dopiero trzy dni, na razie nie mam żadnych informacji na ten temat. Nikt się nim nie interesował.

Marie ściągnęła brwi i wzruszyła ramionami. Przecież wszystko mogło się jeszcze zdarzyć.

- Nasłuchuj więc dobrze, wieczór jeszcze wczesny. Nie będziesz tego żałował. Jutro w południe zdasz mi sprawozdanie, chcę wiedzieć o wszystkim, co wiąże się z tym mężczyzną. Nawet jeśli coś wydaje ci się nieważne.

Jean lekko się skłonił.

- Będę się rozglądać, mademoiselle. Możecie na mnie liczyć.

Patrzyła za nim, gdy wmieszał się w tłum, następnie uśmiechnęła się do obu swoich przyjaciółek. Razem usiadły w tylnym rzędzie, by móc mieć na oku księcia de Mariasse i jego świtę.

Pojawienie się króla wraz ze znienawidzoną la Valliere i zajęcie przez nich swoich miejsc odwróciło na krótko jej uwagę. Gdy przechodził, próbowała posłać mu kokietyjny uśmiech, jednak nie patrzył w jej stronę. Rozczarowana usiadła na swym krześle. Również obserwowanie księcia i jego świty nie przyniosło żadnych nowych efektów. Grupa bez wątplenia dobrze się bawiła - w przeciwieństwie do niej samej.

Gdy przedstawienie wreszcie się skończyło, zaproszono na suty posiłek, na który wstęp miała między innymi Marie, lecz jej przyjaciółki już nie. Odkąd w Wersalu zjawiały się tysiące gości, za wielki zaszczyt uchodziło znalezienie się pośród tych nielicznych osób, które mogły brać udział w uczcie. Obojętnym wtedy było, w jakiej odległości od króla ma się miejsce. Marie długo zadowalała się tym, że pośród setek gości była skazywana na najbardziej odległe miejsce przy stole. Ważne, że miała okazję brać w tym udział.

Wkrótce odnalazła karteczkę ze swoim imieniem, z przyzwyczajenia przeczytała również winietki swoich sąsiadów i usiadła. Po prawej stronie miała hrabiego Vyridou, po lewej - markiza Foucheta. Obaj byli starcami, którzy nie posiadali już nawet wystarczającej liczby zębów, by dobrze pogryźć posiłki. Marie westchnęła. Przynajmniej nie musiała prowadzić rozmów z tymi panami, na pewno nie będą też natarczywi.

Po jej ramionach przesunęło się coś miękkiego, wyrwawszy ją z zamyślenia.

- Cóż za przyjemność spotkać tę piękność o celnym oku przy królewskim stole - szepnął jej do ucha chrapliwy głos.

Marie skrzywiła się. Zapach fiołków wywoływał w niej taką samą odrazę co dotyk ciężkiej, ciemnej peruki na jej ramieniu. Nie chciała się odwrócić. Nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała z nim rozmawiać. Jak mógł być na tyle impertynencki, by zbliżyć się do niej tutaj, przy wszystkich?

Była sztywna, wyprostowała plecy i udawała, że go nie słyszy. Czarne włosy ześlizgnęły się z jej ramienia, usłyszała oddalające się od jej krzesła kroki. Z ulgą zmówiła modlitwę dziękczynną ku niebiosom. Jej ulga zniknęła jednak, gdy zauważyła, że sięgnął po winietkę nieobecnego hrabiego Vyridou i odszedł od stołu. Niewiele później wrócił, postawił na stole karteczkę z innym imieniem i usiadł obok niej.

Nie mogła tego pojąć. Na próżno miała nadzieję, że mistrz ceremonii zauważy niesłychane zachowanie młodzieńca. Tymczasem wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Aby ukarać go lekceważeniem, patrzyła demonstracyjnie w przeciwnym kierunku.

- Według mnie przedstawienie było trochę zbyt rozwlekłe - znienawidzony głos rozbrzmiał na nowo tuż obok niej. - Brakowało mu pewnej pikanterii, oczywiście, czego jednak oczekiwać, jeśli

tabuny zdegenerowanych dworzan próbują swoich sił nie tylko w roli komediantów, ale także pisarzy. Jestem pewien, że jeśli przy niektórych scenach zasięgnięto by waszych porad, o niezwykła silna piękności, gra zyskałaby na pikanterii. Marie odpowiedziała, nie odwracając głowy.

- Wasze gusta, kawalerze de Rossac, na pewno nie będą wyznaczały standardów tutaj, w Wersalu.

- Ach, dowiedziałyście się, jak mam na imię, piękna dziecino. Tak, to mi schlebia. Mogę więc założyć, że nasze spotkanie nie było dla was tak całkiem... niezadowolające.

Natychmiast odwróciła głowę. Jak śmiał... Jak mógł... Udając, że nie widzi śmiechu w jego oczach, naskoczyła na niego:

- Nie wiem, o jakim spotkaniu mówicie, monsieur. A wasze imię znam z bardzo prostego powodu - świergocą o nim wróble na wszystkich dachach. Jesteście pupilkim księcia de Mariasse, chętną marionetką dla jego nienormalnych preferencji, jak długo tylko będzie odpowiednio szeroko otwierał swoją sakwę.

Uśmiech w jego oczach zgasł.

- A więc mamy ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka... - Sięgnął po jej winietkę. - Mademoiselle Calliere. Także o was słyszałem, że spełniacie wszystkie życzenia swego pana po to, byście mogły opływać w dostatki w Wersalu.

Z wściekłości Marie straciła zdrowy rozsądek.

- Jestem poważanym członkiem dworu. Me serce należy do króla, który mnie szanuje i ceni, odwzajemniając moje przywiązanie. - Dlaczego więc siedzicie tutaj a nie u jego boku?

- Nadejdzie mój czas. Wkrótce. - Odpowiedziała z godnością i starała się stłumić wściekłość, która się w niej paliła. - Należę do niego. I nie szukam żadnych zmian tak jak inni, którzy z lekkim sercem zdradzają tego, kto zapewnia im ochronę i utrzymanie.

Pochylił się bliżej, tak blisko, że znowu poczuła jego perfumowany oddech.

- Ale przecież zdradziłyście go, mademoiselle. Wytrzymała jego wzrok.

- Nie. Nigdy.

Podniósł brwi i nic nie odpowiedział.

- A każdy, kto twierdzi inaczej, jest kłamcą - ciągnęła dalej ostrym tonem.

- Nazywacie mnie więc kłamcą? - jego głos brzmiał zadziwiająco spokojnie.

Marie poczuła, jak zaczęły palić ją policzki. Nie mogła jednak zmienić raz obranej drogi, by nie stracić twarzy. Poza tym musiała pokazać, że to ona tutaj trzyma cugle.

- Nikt nie uwierzy jakiemuś ziemiańskiemu szlachcicowi, który musi wykupić sobie pobyt tutaj miłosnymi usługami świadczonymi bogatemu księciu. Nie macie świadków, którzy potwierdziliby wasze śmieszne twierdzenia.

- Och, nieprawda, jest świadek.

Spojrzała na niego. Przez szokujący ułamek sekundy myślała, że ukrył w Salonie Aniołów szpiega, jednak później pojęła, że zmyśla. Porzucając wszelką ostrożność, schyliła się ku niemu i zaśmiała się do niego z pogardą.

- Ta groźba jest niedorzeczna. Nigdy nie moglibyście przyznać, że sami zajęliście miejsce króla. Wasz kochanek odrzuciłby was niczym żarzącą się podkowę, gdyby się dowiedział, że nie tylko zaspokajaliście się gdzie indziej, ale że zaspokajaliście się z kobietą.

- Nie muszę niczego przyznawać i niczego udowadniać. W zupełności wystarczy mi, że wiecie - a można wnioskować to z waszych ostatnich słów - co się rzeczywiście wydarzyło, moja niezwykła piękności. To, co próbujecie wmówić sobie, nie zmienia faktu, że krzyczałyście z rozkoszy, gdy w was byłem. Rozpływałyście się z pożądania, a wasza cipka nie mogła się nasycić „jakimś tam ziemiańskim szlachcicem”

- Milczcie. Kłamiecie - wysyczała Marie.

- Nie kłamię i dobrze o tym wiecie. A jeśli chciałybyście to powtórzyć - jestem do waszej dyspozycji, dyskretny i bez żadnych wymagań. Jest mi obojętne, dla kogo rozkładam nogi, mademoiselle Calliere. Dużo bardziej niż nieistniejące zalety, takie jak wierność i szczerość, cenię namiętność i zmysłowość.

Marie nie wierzyła własnym uszom. Romans z tym mężczyzną był ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby jej na myśl. Już sam fakt, że w ogóle uczynił taką propozycję...

- Prędzej piekło zamarznie niż jeszcze raz mnie dotkniecie, kawalerze - odpowiedziała chłodno.

- Tak żarliwa odmowa przekonuje mnie o tym, że stanie się coś wręcz odwrotnego. Ta dyskusja jednak mnie męczy. Lepiej zajmijmy się tym pysznym kapłonem, który właśnie jest podawany.

Rozdział 9

Rozdrażniona Marie chodziła po swoim apartamencie tam i z powrotem. Jean powinien tutaj być już godzinę temu. Jej niecierpliwość rosła z minuty na minutę. Po wczorajszym wieczorze potrzebowała każdej mogącej skompromitować Tristana de Rossaca informacji. Bezcelność kawalera w połączeniu z jego odważnymi awansami wymagała natychmiastowej i zdecydowanej reakcji.

Przez całą noc nie spała, przewracała się z boku na bok i próbowała ułożyć jakiś plan. Jednak nic nie przyszło jej do głowy oprócz poinformowania księcia o skokach w bok jego protegowanego. Zdążyła już jednak poznać zwyczaje szlachty dotyczące romansów i miała uzasadnione wątpliwości co do tego, czy w ten sposób osiągnęłyby swój cel. Bardzo możliwe, że księżę wzruszyłby tylko ramionami, gdyż dla niego spotkanie z kobietą nie liczyłoby się jako zdrada. A kawaler nie tylko nadal pozostałby jego pupilkiem, ale także w duchu śmiałby się z niej. Nie chciała pozwolić, by odniósł taki triumf.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z rozmyślań. Jean Desgrais stanął przed nią w swojej nieskazitelnej liberii i skłonił się lekko. Szybko wciągnęła go do komnaty.

- Czekam na ciebie wieczność. Gdzieżeś był? - naskoczyła na niego podekscytowana.

Lokaj patrzył na nią niewzruszony.

- Waszej uwadze mademoiselle umknął prawdopodobnie fakt, że tutaj na dworze mam jeszcze inne zobowiązania oprócz usług donosiciela - odparł chłodno. - Przygotowałyście pieniądze?

- Oczywiście - zdjęła z komody sakiewkę. - Pięćset liwrow. Jak zwykle, Jean.

- Z uwagi na nasze trwające już długo interesy zrezygnuję z liczenia tych pieniędzy. - Wsunął sakiewkę do kieszeni. - Kawaler de Rossac ma dwadzieścia sześć lat. Ma młodszego o dwa lata brata, przy którego porodzie zmarła matka. Przed trzema laty jego ojciec spadł ze spłoszonego konia i skręcił kark. Od tej pory bracia sami zarządzają posiadłością.

- Posiadłością? Jaką?

- Winnicami i sadami.

Marie patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To znaczy, że jest chłopem?

- Przypuszczalnie - odparł Jean. - Jego posiadłości znajdują się w Prowansji, na północ od Narbonne, w pobliżu miejscowości o nazwie Lassieux. Graniczą z ziemiami księcia de Mariasse, którego kawaler jest protegowanym. Rossac uchodzi za jego największego powiernika.

- Fakt, że ma romans z księciem, jest powszechnie znany. Jak daleko posunąłby się de Mariasse, by chronić swego ulubieńca przed krzywdą?

Jean wzruszył ramionami.

- Tego nie wie nikt. W Wersalu władza księcia jest ograniczona, jednak na własnych włościach rządzi pewnie tak jak nasz król tutaj.

- A co ze skrywanymi sekretami kawalera? Ma coś do ukrycia? - Ma się rozumieć, ogranicza mnie krótki czas, jaki miałem na rozpoznanie sytuacji. Bądź co bądź do tej pory nie znalazłem żadnych nielegalnych interesów ani oszustw. Cieniem na jego nienagannym życiorysie kładą się jedynie długi, ciężące na jego posiadłościach. Według plotek książę zaoferował mu wykupienie tych ziem, jednak kawaler wzbrania się przed tym. Dlatego jest tutaj w Wersalu.

Marie zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem. Dlaczego jest tutaj?

- Rzekomo poszukuje bogatej dziedziczki, z którą mógłby się ożenić, a która uwolniłaby jego posiadłości od długów. Dlatego znajduje się w orszaku księcia de Mariasse - książę ma wykorzystać dla niego swoje koneksje.

Informacje te nie spełniały oczekiwań Marie. Ciężko będzie opracować skuteczny plan zemsty. Czy książę pomagałby kawalerowi, gdyby dowiedział się o jego pozbawionej skrupułów zdradzie? Czy mogła poinformować przyszłą pannę młodą o prowadzeniu się jej przyszłego męża i w ten sposób zapobiec małżeństwu? Możliwe, że udałoby się to raz lub dwa, jednak istniało ryzyko, że zostałaby zdemaskowana jako intrygantka i w ten sposób zaszkodziłaby bardziej sobie niż kawalerowi. Taka intryga powinna być uknuta z precyzją, by nie obciążała jej autorki. Całkiem pogrążona w rozmyślaniach powiedziała do Jeana:

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć, czy to już wszystko?

Jean przejrzał się w lustrze, sprawdzając, czy liberia leży na swoim miejscu.

- Przekazałem wam, mademoiselle, wszystko, o czym się dowiedziałem.

- Dobrze. Dziękuję ci, Jean. Jeśli dowiesz się jeszcze czegoś, powiedz mi o tym, a nie pożałujesz. - Jak sobie życzyście, mademoiselle Calliere. Będę miał oczy i uszy szeroko otwarte. Jednak, między nami mówiąc, kawaler nie jest kimś, kto zdradza w wielkim stylu. Zbyt mało znaczy. Takich jak on jest na pęczki.

Uklonił się i podszedł do drzwi. Z dłonią na klamce dodał:

- Zresztą, kawaler de Rossac nie jest kochankiem księcia. Marie, która stała przy oknie, odwróciła się.

- Nie?

- Nie. Jest kochankiem siostry księcia. Dziewczyna splotła ramiona i podeszła do lokaja. Ogarnęło ją niemiłe uczucie, którego nie potrafiła określić.

- Wiesz o tym coś więcej? Dlaczego nie poślubi tej siostry? Przecież księżę musiałby być zachwycony szwagrem, który podziela jego skłonności seksualne.

- Informacje o innej osobie są płatne dodatkowo.

- Odpowiedź na to pytanie nie jest warta nawet pięciuset liwrów, mój drogi.

- Czteryście.

- Dwieście.

- Trzysta.

- Dwieście pięćdziesiąt albo możesz udławić się swoją wiedzą. - Otworzyła szufladę komody i wyjęła drugą sakiewkę, którą przygotowała przewidująco.

Jean westchnął.

- Ghislaine, siostra księcia, przed dwudziestoma laty została wydana za bogatego, ale upośledzonego na umyśle przyjaciela rodziny. Pomimo choroby umysłowej hrabia du Plesis - Fertoc posiada końskie zdrowie. Nie należy liczyć na jego rychłą śmierć.

Marie nie przypominała sobie, by wcześniej słyszała imię Ghislaine du Plesis - Fertoc. - Czy hrabina również jest tutaj w Wersalu?

- Nie. Musi troszczyć się o interesy za hrabiego, nie może go zostawić samego nawet na kilka dni.

Dziewczyna z rozwagą ważyła sakwę w dłoni. Wzbraniała się przed głośnym zadaniem pytania, które samo się jej nasuwało.

- Mam więc rozumieć, że kawaler nie ma żadnych stosunków z mężczyznami?

- Z nikim ze świty księcia de Mariasse. I żaden z tych ludzi nigdy nie widział go z mężczyzną. Niektórzy byli z tego powodu bardzo zasmuceni. - Z lekkim ukłonem wziął sakiewkę i oddalił się.

Marie opadła na krzesło stojące przed toaletką. Potrzebowała chwili, by przetrwać tę wiadomość, potem zaczęła kipieć ze złości. W Salonie Aniołów nie znalazł się więc przez przypadek. Nie szukał odmiany. Musiał ją obserwować i śledzić, by dać jej nauczkę, ponieważ nazwała go cipką księcia, co bardzo uraziło jego męską dumę. Dlatego też pozostawił fiołkową pastylkę, żeby dobrze wiedziała, kto ją posiadał.

Marie spojrzała w lustro. Jej rysy przypominały zastygłą maskę. Nie zmieniało to faktu, że kawaler będzie musiał zapłacić za swój czyn, jak tylko przyjdzie jej do głowy odpowiedni plan.

Na pomysł wpadła w parku podczas spaceru. Chciała udać się do zwierzyńca, by obejrzeć dziwne zwierzę, prezent dla Jego Wysokości od Piotra II Spokojnego, króla Portugalii. Zwierzę to zwano słoniem, pochodziło ono z dalekiej krainy o nazwie Afryka. Wielkość i straszna morda sprawiały, że zwierzę w Wersalu wywoływało popłoch i panikę. Nadine i Sylvie podziwiała słonia dzień wcześniej i opowiadały jej o nim z przerażeniem.

Marie stanęła przed wybiegiem wzmocnionym masywnymi, żelaznymi słupami i przyglądała się dziwnemu, szaremu zwierzęciu. Potrząsało ogromnym łbem, ruszało uszami i huštało ryjem tam i z powrotem. Za każdym razem, gdy przejechało białymi kłami po kratownicy, zebrani dookoła niego ludzie cofali się z krzykiem.

Marie przez kilka sekund patrzyła w ciemne, smutne oczy zwierzęcia, następnie odwróciła się, by zrobić miejsce dla innych nadciągających gapiów. Ponownie skupiła się na swoim problemie. Odpłaci kawalerowi pięknym za nadobne. Musi tak samo jak ona krzyżeć z rozkoszy i dopiero wtedy, gdy będzie już za późno, zorientować się, że został wykorzystany. Wykorzystany w taki sposób, by nigdy nikomu tego nie mógł powiedzieć. Chciała go tak samo upokorzyć, jak on upokorzył ją.

Przy tej okazji przypomniała sobie jego wyraźną propozycję, by zwróciła się do niego, jeśli będzie chciała powtórzyć spotkanie.

Pomysł już się narodził, teraz chodziło o ustalenie szczegółów i przygotowanie ostatecznego upadku kawalera de Rossaca.

Aby móc zrealizować swój plan, musiała być nastawiona do kawalera przynajmniej przyjaźnie i nie mogła go całkowicie ignorować. Zmuszała się więc do uśmiechu i kokieteryjnie trzepotała rzęsami, gdy spotykała go na korytarzach. Mimo tego uważała, by nie widywać się z nim sam na sam i nie prowokować tematów innych niż pogoda czy słoń.

Podczas wieczornych przyjęć musiała przyjmować jego zaproszenia do tańca, nie dawała mu jednak możliwości wciągnięcia siebie w rozmowę inną niż oficjalna. Wzbudzała zainteresowanie kawalera, jednocześnie jednak trzymała go na dystans. Oznaczało to, że niedługo będzie musiała działać. Poza tym zauważyła, że książę coraz częściej organizował spotkania kawalera z rodzinami, w których były córki na wydaniu.

Przyspieszyła więc przygotowywania, które tak ją pochłoneły, że nie zauważyła, iż od czasu zaproszenia do Salonu Aniołów król nie wysłał do niej i nie powiedział ani jednego słowa.

W końcu wszystko było już przygotowane. Pułapka na kawalera czekała jedynie na to, by zamknąć w sobie swoją ofiarę. Marie spędziła całe popołudnie na układaniu słów, które miałyby zarówno zaciekawić mężczyznę, jak i sprawić, by stał się nieostrożny.

Poleciła Fanette, by przygotowała sukienkę z najgłębszym dekoltem. Zielona tafta podkreślała jej oczy i tak wypychała piersi, że nikt nie mógł przeoczyć zarysu różanych brodawek. Dodatkowo pomalowała usta na czerwono a we włosy wpięła świeże kwiaty jaśminu.

Tak wystrojona stanęła wieczorem na schodach prowadzących do Salonu Zgody. Kawaler zwykł tamtędy przechodzić, gdy udawał się z księciem na przyjęcia.

Z podekscytowania gorączkowo się wachlowała. Nie będzie miała drugiej szansy, by przeprowadzić to, co zaplanowała. Jeśli nie uda się jej wzbudzić zainteresowania kawalera, jeśli ten nie zgodzi się na jej propozycję, może zapomnieć o swoim planie i będzie musiała wymyślić coś innego. Niosło to ze sobą jednak duże ryzyko, ponieważ nie wiedziała, jak długo książę pozostanie jeszcze w Wersalu.

Przestała się wachlować, gdy ujrzała nadchodzącego księcia de Mariasse wraz ze świtą. Nieświadomie ściągnęła łopatki i modliła się,

by nie wyglądała jak wąż obserwujący królika, lecz jak miękka i uwodzicielska kobieta.

Kawaler rozmawiał z innym mężczyzną, Marie żywiła nadzieję, że w ogóle spojrzy w jej stronę i ją zauważy. Zrozpaczona próbowała ułożyć plan awaryjny - myślała, by celowo upuścić wachlarz na swoje lakierki na wysokim obcasie.

Na szczęście nie było to konieczne. Spojrzał na nią, jak zwykle skłonił się lekko z beczelnym uśmiechem i zauważył jej nieznaczny ruch głowy, wskazujący ustronną wnękę. Przybrał pytający wyraz twarzy, następnie powiedział coś do sąsiada i odszedł od grupy księcia.

Zadowolona Marie odwróciła się i poszła w kierunku wnęki. Jej serce waliło jak oszalałe, a na jej czole pojawiły się maleńkie kropelki potu.

Dogonił ją, zanim jeszcze dotarła do celu.

- Mademoiselle Calliere, nie wierzę własnym oczom. Czy rzeczywiście chcecie rozmawiać ze mną... - uczynił ruch ręką, obejmujący wszystkich gości znajdujących się na korytarzach - na osobności? W sukni, która każe mi żywić nadzieję, że wasze skarby zaraz wskoczą w moje dłonie?

Marie pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiała desperacja, co w tej sytuacji nie sprawiło jej trudności.

- Nie drwicie ze mnie - odpowiedziała, dbając o to, by jej piersi odpowiednio unosiły się i opadały, podczas gdy mówiła dalej. - Wygraliście, kawalerze. Nie potrafię zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Tęsknię za tym, by powtórzyć to przeżycie.

Podniósł brwi.

- Czyżby? A więc moja oferta jest aktualna. Zawsze, gdy tylko będziecie miały na to ochotę - ściszył głos i ciągnął dalej: - Także teraz. Znajdziemy sobie jakieś ciche miejsce i... - Nie - przerwała mu Marie. Spojrzała na podłogę, by nie mógł ujrzeć triumfu w jej oczach. - Wszystko przebiegało łatwiej, niż myślała. Okazało się, że wszyscy mężczyźni byli tacy sami. Nieważne, czy urodzili się w chłopskiej chacie, czy w pałacu. - Nie tutaj, na litość boską, kawalerze. To jest dla mnie zbyt niebezpieczne. Jeśli ktoś nas nakryje... To nie do pomyślenia - podniosła głowę i na chwilę otworzyła zachęcająco usta. Następnie ciągnęła dalej:

- Wy nie ryzykujecie niczym, ale moje życie byłoby zniszczone - nerwowo obejrzała się za ramię, jak gdyby już wypatrywała szpiegów.
- Jutro wieczorem. U madame Dessante. Ona prowadzi specjalne miejsce, które nadaje się do takich spotkań. Po kolacji goście mają do dyspozycji wszystkie pomieszczenia.

- Madame Dessante? Ona urzęduje w swoim domu orgie raczej szczególnego rodzaju - odparł kawaler z wyraźnym zdziwieniem w głosie.

Marie szybko przycisnęła palec do jego ust, by zmusić go do milczenia. Zdziwiła się przy tym, skąd on zna to miejsce u madame Dessante, skoro jej samej kilka dni zajęło dotarcie do odpowiedniego adresu.

- Nie tak głośno, ktoś może nas usłyszeć.

Zamiast odpowiedzieć, otworzył usta i polizał jej palec. Natychmiast drgnęła niczym poparzona i zabrała go, tłumiąc jednocześnie impuls spoliczkowania mężczyzny.

Nie spuszczać oczu z jej twarzy, nachylił się i wyszeptał:

- A cóż stało się z miłością waszego młodego życia?

Marie zamrugła zmieszana. Wtedy przyszło jej do głowy, że musi mieć na myśli króla.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Moje serce tak jak wcześniej należy do niego. Ale... - skupiła się na tym, by jej głos brzmiał rozpaczliwie tak jak wcześniej - ale żądza, jaką we mnie rozбудziliście, nie daje mi spokoju nawet w snach. Uwolnić mnie od niej może jedynie ponowne spotkanie.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, następnie odrzucił głowę i głośno się roześmiał. Marie przygryzła wargę - najchętniej kopnęłaby go w goleń. Powoli się uspokajał, a gdy w końcu zaczął mówić, jego głos brzmiał zdumiewająco miękko.

- Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem. Jutro wieczorem u madame Dessante. Przyjdę i nikt się o tym nie dowie.

- Dziękuję wam - nie można było nie usłyszeć ulgi w jej głosie i miała nadzieję, że mężczyzna zachowa dyskrecję tak, jak obiecał. - Notabene, madame Dessante wymaga od swoich gości, by przybywali w maskach.

- Wiem - jego uśmiech przypominał wyraz pyska kocura, który raczył się już śmietanką z rozbitego dzbana.

Speszyło ją to, że nie tylko znał przyjęcia u madame Dessante, ale także (co wywnioskowała z jego reakcji) brał w nich udział. Patrzyła za nim ze zmarszczonym czołem. Myślała, że ma przewagę, ta jednak stopniała tymczasem jak śnieg na słońcu. Marie jednak nie mogła być wybredna, teraz musiała myśleć wyłącznie o zemście. Kawaler dobrowolnie wejdzie w zastawione na niego sidła. A ona miała go w te sidła złapać.

Rozdział 10

Obszar dookoła Wersalu wciąż się powiększał, odkąd król uczynił z zamku swoją główną rezydencję, rzadko odwiedzając Paryż. W okolicy, w której przed kilkudziesięciu laty była jedynie garstka chłopskich chałup, osiedlali się nie tylko wszelkiego rodzaju rzemieślnicy, ale także zamożni mieszczaństwo i szlachta. Zaczęto wznosić imponujące zamki i pałace na cześć króla. Uczty u władcy - przy całym zapierającym dech w piersiach przepychu - przebiegały według surowo przestrzeganych, przewidywalnych zasad, pozostawiając mało miejsca na aktywności wykraczające poza grę w bilard i karty, dlatego powstawały miejsca rozrywek najróżniejszego typu.

Posiadłość madame Dessante była pierwszym miejscem spośród wielu, jakie powstały z uwagi na znudzonych ludzi pożądanym uciechszczególnego rodzaju. Nie byt to zwykły burdel. Można było wprawdzie wynająć do usług miłosnych mężczyzn i kobiety, były tam jednak także pomieszczenia do spotkań prywatnych. Dwa do trzech razy w tygodniu odbywały się wieczorki, podczas których orgie trwały do wczesnych godzin porannych. Nakaz noszenia masek był jedynie formą szarady, ponieważ nawet jeśli skład grup ulegał zmianie, i tak każdy znał każdego.

Marie rozejrzała się po komnacie przyjęć. Umeblowanie było zarówno drogie, jak i przeładowane. Okazałe fotele z aksamitu i skóry, ciężkie brokatowe zasłony, połączane świeczniki, perskie dywany wszelkich kolorów. Za to stroje obecnych ludzi można było określić mianem eleganckich, ale skromnych, w porównaniu z wystawnymi strojami wieczorowymi noszonymi zwykle w zamku.

Już przy wejściu służący odbierali od nowo przybyłych kapelusze i płaszcze, twarze gości były zakryte najróżniejszymi maskami. Sama Marie wybrała prostą, bordową maskę z satyny, której górna część była zdobiona czarnymi piórami, pasującą do jej sukni. Otwory na oczy były wyszywane czarnymi koralami.

Kawalera jeszcze nie było, dlatego wzięła z kredensu lampkę szampana i usiadła na sofie. Jego nieobecność nic jeszcze nie oznaczała; zdenerwowanie dziewczyny nakazało jej przybyć wcześniej, niż to było konieczne. Aby się czymś zająć, zaczęła układać fałdy ciężkiej, taftowej sukni.

- Piękna nieznajomo, czy miejsce obok was jest wolne?

Marie podniosła głowę. Oczywiście poznała głos mężczyzny, który - nie czekając na odpowiedź - usiadł obok niej. Jego głos był jednak jedyną znajomą rzeczą.

Twarz kawalera, od czoła do górnej wargi, zakrywała czarna maska z cienkiej skóry. Po raz pierwszy, odkąd Marie go znała, nie miał na sobie żadnej ze swoich obszernych, fryzowanych peruk, jego gładkie, czarne włosy były związane na karku. Zamiast kolorowego, gęsto haftowanego kubraka i mnóstwa koronek miał na sobie wieczorowy strój z czarnego, brokatowego materiału oraz kunsztownie pofałdowaną chustę z najdelikatniejszego lnu.

Gdy sięgnął po jej dłoń, by przyciągnąć ją do swych ust, zauważyła, że nie miał na palcach tak licznych do tej pory pierścieni.

Próbowała ułożyć sobie jakąś inteligentną odpowiedź na jego pytanie, jednak zupełnie zmieniony wygląd kawalera zbił ją z tropu. Ten mężczyzna był niebezpieczny. Nie był to godny politowania, podlizujący się ulubieniec, który obracał się jak chorągiewka na wietrze. Albo dawał się obracać.

A może nigdy taki nie był - ta myśl zaparła jej dech w piersiach. Czy mogła tak się pomylić? Czy mogła tak źle go ocenić? Czy to możliwe, że od dawna to on pociągał za sznurki, ponieważ dowiedział się o jej planie?

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Powinna zniknąć. Ku swemu przerażeniu Marie zauważyła, że jej dłoń - która wciąż znajdowała się w jego dłoni - drży. Spróbowała zabrać rękę, on jednak trzymał ją mocno. Mocne palce. Ciepłe, mocne palce. Jej własne zdawały się za to być zeszywniałe z zimna.

- Podniecona, piękna masko?

Otrzeźwił ją zapach fiołków. Przecież to był tylko mężczyzna. Mężczyzna, który liczył na dobre pieprzenie. Nieważne, o czym wiedział lub czego nie wiedział, ona wypełni swój plan. Aż do gorzkiego końca.

- Zaskoczona. Nie wiedziałam, że tak daleko posuniecie się z maskowaniem - odrzekła od niechcienia.

- Żaden wysiłek nie jest zbyt wielki, jeśli jest ceną za spodobanie się wam - wyszeptał i po raz drugi podniósł jej dłoń do swych ust. Tym razem jednak przycisnął swoje usta do wewnętrznej jej strony i gorącym językiem namalował na niej ornament.

Gdy podniósł głowę, Marie udało się w końcu zabrać rękę. Tak czuła się pewniej. Utarczki tego rodzaju były jej codziennością. - Nie spotka mnie więc rozczarowanie? - spytała lekko. Unieruchomiło ją spojrzenie jego niebieskich oczu.

O czym wiedział lub nie, głód wyczytany z jego oczu wyjaśniał wszystko. Dziewczyna się odprężyła.

- Zakładam, że w przypadku zwątpienia nie cofniecie swoich wymagań?

Zaśmiała się.

- Oczywiście, że nie.

- Pozostaje mi więc przypomnienie wam, że ta gra jest tak dobra jak biorący w niej udział gracze - bez ogródek wyjął jej z dłoni kieliszek i wypił jego zawartość.

- Ja też nie mam zamiaru cofnąć swoich wymagań, piękna masko.

Niewzruszona Marie odwzajemniła jego spojrzenie.

- Łatwiej byłoby mi na to odpowiedzieć, gdybym знаła wasze wymagania.

- Poznacie je, zapewniam was.

Marie zignorowała groźbę wyczuwalną w jego głosie.

- Być może byłoby więc lepiej, gdybym ja wam odpowiedziała, skoro już do tego doszło.

- Zgoda, i tak zresztą rozpoczyna się kolacja - wstał i podał jej ramię.

Marie nie spojrzała nawet na wniesione przysmaki. Z jednej strony było to spowodowane innymi gośćmi, którzy tak samo bezceremonialnie zaglądali do kieliszków z winem, jak wkładali ręce pod suknie swoich sąsiadów; z drugiej strony stawała się coraz bardziej podenerwowana, a stres sprawił, że była bardzo wrażliwa na atmosferę przepelnioną erotyką. Zjadła tylko parę kęsów i pozostała przy winie.

Za to kawaler jadł i pił tyle, jakby głodował cały dzień. Mimo wszystko jednak trzymał ręce przy sobie i ograniczał się do przeciągłych spojrzeń oraz dwuznacznych wypowiedzi, Marie nie wiedziała, czy powinna być wdzięczna za taki rozwój sytuacji, czy nie. Jeśli się nażre do syta, może będzie miała z nim łatwiej. Ale jeśli zaśnie, zanim ona doprowadzi sprawy do końca...

- Weźmiemy udział w ogólnej orgii czy macie jakieś inne plany?
- kurzym udkiem wskazał drugi koniec stołu, przy którym usiadła jakaś kobieta i podniosła wszystkie halki do góry Natychmiast pojawił się zalotnik, który zanurzył twarz pomiędzy jej udami. Kobieta opadła do tyłu z wymuszonym krzykiem na ustach. Szklanki i porcelanowe miski się przewróciły, część zawartości sosjerki wylała się na biały obrus, a piersi kobiety wyskoczyły z dekoltu.

Jakiś mężczyzna wykorzystał sposobność, złapał sosjerkę i wylał resztę jej zawartości na nagie piersi, a następnie schylił się i dokładnie je wylizał. Gdy był tym zajęty, kobieta odchyliła się do tyłu i w sposób lunatyczny odnalazła wypukłość pod kubrakiem innego mężczyzny, którą pewnie uwolniła z jej więzienia i chciwie wsadziła sobie do ust.

- Uwielbiam takie desery - zaskrzeczała kobieta i oblizwała usta. - Kto da mi jeszcze?

Dwóch mężczyzn nie dało się długo prosić i w jej niecierpliwe wyciągnięte ręce włożyli swoje twarde członki. Pocierała je, na przemian brała nabrzmiące końce do ust i okrążała je językiem tak długo, aż mężczyźni zaczęli jęczeć z rozkoszy.

W międzyczasie mężczyzna zanurkował pomiędzy jej udami, również uwolnił swoje przyrodzenie od przeszkadzającej odzieży i zanurzył się w kobiecie. Większość osób przy stole uznała to za sposobność do przejścia do swobodniejszej części wieczoru.

Król odwiedzał Marie zawsze samotnie, jednak ona znała plotki o odbywających się wszędzie orgiach, ale pogłoski te nie robiły na niej większego wrażenia. Bezpośredni udział w takim spotkaniu wzbudził w niej odrazę. Mimo to nie potrafiła oderwać wzroku od tych baraszkujących osób, ogarnęła ją swego rodzaju przejmująca fascynacja. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą w cywilizowany sposób siedzieli przy stole, zamienili się w dzikie, pozbawione hamulców bestie, kierujące się jedynie popędem.

- Jeśli chcecie brać w tym udział, jest to odpowiedni moment. Jeśli macie inne plany, to również jest to dobra chwila - usłyszała obok siebie suchy głos kawalera.

Odwróciła się do niego jak w transie. Odłożył na bok obgryzioną kość, zanurzył ręce w miseczce z wodą i dokładnie je wytarł materiałową serwetką. Błysk w jego oczach mógł być wynikiem działania wina, Marie pomyślała jednak, że był zachęcony tym, co się

dookoła niego działało. Przypomniała sobie, że gdy tylko wymieniła nazwę tego miejsca, on dobrze znał tutejsze zwyczaje. Na pewno brał udział w takich orgiach jak ta. Jej wzrok ślizgał się od wyraźnej linii jego szczęki podkreślonej przez maskę do zmysłowego kroju jego ust. Kobiety przypuszczalnie biły się o to, by się nim zająć.

- Co wolicie? - pytanie wymknęło się jej, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć.

Odpowiedział nie spojrzawszy na zdarzenia, mające miejsce przy stole:

- Jeśli byłem tutaj sam, wziąłbym sobie tę małą w białej masce. A jeśli nie wytrzymałaby tego, co obiecuje jej godna uwielbienia buźka, wziąłbym jeszcze to śliczne dziecko z rudymi lokami.

Odwrócił się do niej.

- Ponieważ jednak moją towarzyszką zdecydowała się być najbardziej olśniewająca kobieta w tym pomieszczeniu, będę czynił to, czego ona sobie życzy. Jeśli jednak macie ochotę mi się przypatrywać, ja się godzę.

Marie pomyślała. Nie planowała czegoś takiego. Zdarzenia w sali budziły w niej wstręt, jednak takie specjalne przedstawienie miało w sobie coś podniecającego. Nigdy jeszcze nie widziała kobiety z mężczyzną. Być może mogłaby się przy tym nauczyć czegoś nowego. Czegoś, co sprawiłoby, że król jeszcze bardziej się do niej przywiąże.

- Chcę patrzeć, jak ją bierzecie - odparła gardłowym głosem.

- Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem. Która to ma być? - wstał.

- Ruda - odpowiedziała Marie spontanicznie i mocno przytrzymała kawalera za ramię, gdy chciał odejść. Uświadomiła sobie, że przecież jej plan mógł wyjść tylko wtedy, jeśli on nie zazna tutaj zaspokojenia. - Jeden warunek. Ona niech szczytuje. Wy macie się powstrzymać.

Jego oczy zaczęły jeszcze mocniej błyszczeć.

- Powstrzymam się. Dla was. Moja piękna masko, każda kropla należy do was.

Ochryply głos wywołał niepożądane drzenie w jej podbrzuszu.

- Mówię to na poważnie. Jeśli wytryśniecie w niej, nasz wieczór się kończy. Przemyślcie sobie, co jest dla was ważniejsze.

Pochylił się i poczuła na uchu jego gorący oddech.

- Zabrońcie mi wytrysnąć w niej, piękna pani, a tak się stanie.

Podniecenie zafalowało w Marie niczym jasne światło. Do tej pory władała mężczyznami jedynie za pomocą swego ciała. Teraz pojęła, że musi być jeszcze coś innego. Coś, co znajdowało się w szarej strefie pomiędzy słowem i wolą. Ochota na odkrycie tego nowego obszaru uderzyła jej do głowy mocniej niż ciemne wino w rżniętych kieliszkach.

- Zabraniam wam szczytować w innej kobiecie - wymruczała ochryple. Odległość pomiędzy ich oczami była prawie żadna. Napięcie między nimi sprawiło, że skóra Marie zaczęła mrowieć. Jednocześnie miała nadzieję i obawiała się, że on wybuchnie śmiechem i w ten sposób zniweczy całą tę sytuację. On jednak tylko odetchnął głęboko i złapał ją za rękę. Gdy szli przez salę, ich palce się ze sobą splotły.

Rudowłosa dziewczyna siedziała z rozłożonymi nogami na krześle, jej halki były wysoko podwinięte. Bawiła się swoją gładko wygoloną muszelką.

Kawaler stanął przed nią.

- Mam to, czego potrzebujecie, drogie dziewczę. Spojrzała na przednią część jego spodni. - Też mi się tak wydaje. Co z waszą towarzyszką?

- Chce popatrzeć.

- Nie przeszkadza mi to - dziewczyna przechyliła się i rozpięła spodnie mężczyzny. - Och, w rzeczy samej jest ogromny. Zobaczymy, czy damy radę schować go całego.

Marie gapiała się na długiego, grubego penisa pomiędzy krótkimi, ozdobionymi w pierścienie palcami. Patrząc na to, Marie trudno było uwierzyć, że w niej był. Dziewczyna zręcznie go masowała i spojrzała na kawalera szelmowsko.

- Nic z tego, ten mały nie chce już urosnąć.

- Nauczyłem się żyć z tym przekleństwem - mężczyzna odparł sucho.

Ruda już się szykowała, by wziąć główkę w usta, gdy Marie ocknęła się z odrętwienia.

- Nie - jej głos był ostry niczym uderzenie batem. Oboje spojrzeli na nią pytającym wzrokiem, ale Marie jedynie potrząsnęła głową.

Kawaler wzruszył ramionami i pochylił się, by podnieść dziewczynę i położyć ją na stole.

- W takim razie zaczynamy.

Stanął pomiędzy jej udami, podniósł jej spódnicę tak wysoko, że była obnażona aż do pępka i pogłaskał jej gładką muszelkę.

Patrzyła na niego przez fałdy ubrań z szeroko otwartymi ze strachu oczami.

- Bądźcie ostrożni, monsieur, mój delikatny zamek nigdy jeszcze nie miał w sobie tak ogromnego klucza - w jej głosie słycać było strach, jednak jej błyszcząca, otwarta muszelka mówiła zupełnie innym językiem.

Marie stała obok kawalera ze splecionymi rękami. Jej piersi napięły się, o gorset ocierały się stwardniałe sutki.

Kawaler wziął do ręki swoje przyrodzenie i odciągnął napletek. Końcem przejechał wzdłuż muszelki dziewczyny, nie wchodząc w nią. Westchnienie z przyjemności zdradziło, jak bardzo jej się to podobało.

- Chcecie tego? - spytał Marie i ruchem głowy wskazał swoją rękę trzymającą penisa.

Marie przytaknęła głową, pożądanie odebrało jej mowę.

Kontynuował podniecanie żółdzą nabrzmiałej muszelki i wysuwającej się perły, aż dziewczyna zaczęła się pod nim wiercić z niecierpliwością. Dopiero wtedy wprowadził główkę i puścił penisa. Marie patrzyła, jak wchodził w ciało dziewczyny milimetr po milimetrze. Patrzyła, jak pochwa się rozciągała i jak nabrzmiewały wargi sromowe, gdy powoli wchodził w nią coraz głębiej.

Od dłuższego czasu nie była jedyną obserwatorką. Stali dookoła niej wszyscy, którzy sami nie kopulowali. Marie słyszała szepty, gardłowe jęki i ciche śmiechy, nie była jednak w stanie oderwać wzroku od miejsca, w którym kręczone, ciemne włosy spotykały się z wygoloną cipką.

- Gotowa na jazdę, droga pani?

Dziewczyna z zapalem pokiwała głową, bała się odezwać z uwagi na swój delikatny zamek.

Wziął głęboki oddech, prawie całkowicie z niej wyszedł i w tym samym momencie wykonał pchnięcie. Ruch był tak silny, że Marie pomyślała, iż rozerwie dziewczynę. On jednak kontynuował pchnięcia, a z jęków i szybko wyduszanych słów jego partnerki można było wywnioskować, że chętnie podda się takiej śmierci. Marie wciąż patrzyła na wejście do pochwy, które układało się niczym futerał dla jego rękojści i ślizgało się przy każdym ruchu.

Ciało Marie zaczęło reagować. Z jej cipki sączył się sok, nieświadomie zaczęła pocierać jednym udem o drugie. Z zamkniętymi oczami bezgłośnie powtarzała, że nie może się skompromitować, nie może mu pokazać, jak bardzo...

- Stań na krześle. Otworzyła oczy.

- Słucham?

Jego czoło błyszczało.

- Rób, co ci mówię - zgrzytnął zębami.

Sytuacja była tak niespodziewana, że Marie o nic nie pytała. Podsunęła krzesło bliżej, ściągnęła buty i weszła na nie. Może miała popatrzeć na te zdarzenia z innej perspektywy. Zorientowała się, że nie taki był jego cel, gdy jego ręka wślizgnęła się pod jej halki i podążyła wzdłuż jej nóg. A wtedy było już za późno, bo znalazł to, czego szukał.

Jego palce bez wahania wślizgnęły się w nią i pieprzył ją w tym samym tempie, w którym pchał dziewczynę leżącą na stole. Nawet gdyby chciała - a wcale przecież tak nie było, gdzieś głęboko i podświadomie o tym wiedziała - nie mogła już zejść z krzesła. Aby nie stracić równowagi musiała położyć rękę na jego ramieniu i zacisnąć palce na grubym materiale. Gdy doszła, wsparła czoło o jego skroń i ugryzła wierzch swojej dłoni.

Nie zauważyła ani tego, że zestawił ją z krzesła, ani tego, że wyszedł z dziewczyny. Pojęła, co się wydarzyło dopiero wtedy, gdy stanęła obok niego i ujrzała szeroko rozchyłoną muszelkę rudej dziewczyny, leżącej odurzonej na stole.

Dobry Boże, jeśli reszta jej planu przebiegnie w ten sam sposób, to mogła się już pakować. Objął ją w talii i odprowadził kawałek od stołu. Inni mężczyźni natychmiast zwrócili się ku rudej dziewczynie.

- Zadowolona, piękna pani?

Jego głos do końca sprowadził ją na ziemię. Jego spodnie były spuszczone do kolan, jego członek był błyszczący i twardy. Nie poczynił żadnych przygotowań do tego, by się zakryć i skłonił się teatralnie.

- Rozkaz wykonany, piękna pani. Teraz czekam na obiecaną zapłatę.

Rozdział 11

Marie zebrała myśli. Musiała działać, zanim znowu wydarzy się coś, co przeszkodzi w zrealizowaniu tak starannie ułożonego planu.

- Otrzymacie swoją zapłatę - powiedziała więc szybko. - Chodźcie.

Opuścili sale nienagabywani przez inne osoby. Marie zwróciła się do lokaja pełniącego straż przed drzwiami.

- Zarezerwowałam Salon Artemidy. Zaprowadźcie nas tam - wydała krótki rozkaz.

Kawaler prowizorycznie założył spodnie, jednak guziki jego kubraka były odpięte, co Marie zauważyła, spoglądając na powieszony na drugiej ścianie lustro. Przynajmniej jej fryzura i stroje znajdowały się w nienagannym stanie.

Nawet jeśli lokaja zdziwił jej wytracony z równowagi towarzysz, nie dał tego po sobie poznać. Marie przypuszczała jednak, że widział już gorsze rzeczy. Z niewzruszonym wyrazem twarzy otworzył drzwi. Dziewczyna minęła służącego i rozejrzała się po pomieszczeniu. Zwiedzała je kilka dni wcześniej i stwierdziła, że nadaje się do jej celów. Teraz ostre światło dzienne zostało zastąpione miękkim światłem świec i misą z ogniem, w której trzeszczały aromatyczne zioła, wypełniając powietrze swym ciężkim zapachem.

Pośrodku pomieszczenia, na podeście, stało szerokie łóżko, jednak nie dlatego wybrała Salon Artemidy. Zdecydowała o tym inna atrakcja: dwa zwisające z sufitu łańcuchy, zakończone skórzanymi mankietami. Na ścianach wisiały lustra o wysokości przeciętnego mężczyzny, odbicia w nich zwiłokrotniały widok ze wszystkich stron.

- Dziękuję, jesteśmy zadowoleni - kiwnęła do lokaja, który oddalił się z ukłonem.

Kawaler stanął na podeście i oparł się o słup łoża. Zdjął kubrak i maskę.

- Wciąż mnie zadziwiacie, piękna pani. Ogień, łańcuchy i... - wziął z łóżka jakiś przedmiot - pejcz.

Cienki rzemień przeciął powietrze.

- A ja uważałem was za słodkie stworzenie, preferujące miękką stronę miłości. Tu buziaczek, tam buziaczek, trochę jęków pozbawionych tchu...

Wyjęła mu z dłoni pejcz. Nie zwracała uwagi na ten przedmiot, nie miała go w planach. Jakby się bawiąc, obracała trzon małego bicia w palcach.

- Pierwsze wrażenie często jest mylące - powiedziała.

- A nikt nie wie tego lepiej niż wy - odpowiedział gładko. - A więc, macie zamiar mnie skuć i pokryć me ciało pręgami?

Powinna przerwać tę dyskusję. Natychmiast.

- Podobałoby się to wam? - spytała zamiast tego. Spojrzał na pejcz.

- Jeszcze nigdy tego nie próbowałem. Jednak kto wie, może gdy trafię na mistrzynię w tej dyscyplinie, będę skłonny to wypróbować. Ból wywołujący rozkosz to interesujący pomysł, nie sądzicie?

Podniósł głowę. Intensywność jego spojrzenia odebrała jej oddech, a gdy zaczął rozpinąć koszulę, jej palce zacisnęły się na pejczu. Łamała sobie głowę, w jaki sposób namówi go do rozebrania się, podczas gdy ona sama pozostanie ubrana. Los był dla niej łaskawy.

- W rzeczy samej, interesująca myśl - wymruczała, patrząc na odrzuconą na bok koszulę i chustę.

- Naprawdę macie odwagę, by przez to przejść? - spytał.

- Moja rola jest bez wątpienia przyjemniejsza. Z zamyśleniem kiwnął głową.

- Jesteś pewna, pani? Zdecydowanie łatwiej wyobrazić sobie, że moja rozkosz staje się silniejsza poprzez mój ból, niż poprzez sprawianie bólu innym.

- Oznacza to, że nie wychłostalibyście mnie pejczem?

W międzyczasie zdjął wszystkie ubrania. Podszedł bliżej, w ogóle nieskrępowany swoją nagością i popatrzył na jej ramiona.

- Nie. Oszpecenie waszej wspaniałej skóry czerwonymi pręgami byłoby grzechem, którego nikt nie mógłby mi odpuścić.

Szczerłość w jego głosie ponownie zbiła ją z tropu. Wykorzystał jej zmieszanie i wziął ją w ramiona.

- Każdy centymetr waszej skóry błaga o pocałunki.

O to, by być ozdabianą aksamitami, jedwabiami i najszlachetniejszą biżuterią. - Jego usta wędrowały od jej ramion aż do ucha. - Nie tylko wy nie możecie zapomnieć naszego spotkania. Ja mam to samo. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie sprawiła mi tyle

przyjemności, jesteście stworzone do miłości, Marie Calliere. Wenus zazdrości wam waszego ołtarza.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, jego usta już były na jej. Przez jej żyły przepłynął ciekły ogień, gdy jego język pieścił wewnętrzną stronę jej dolnej wargi i zaczął wnikać głębiej. Pejcz wyslizgnął się z jej dłoni, które powędrowały wzdłuż jego ramienia, by opleść jego szyję. Nie mogła już myśleć o niczym innym, ani o swoim planie, ani o zemście, ani o królu, wszystko zlało się w zmieniający się kalejdoskop błyszczących kolorów. Jej zdradzieckie, gotowe ciało przyciskało się do niego, zarówno chciwie, jak i bezwstydnie ocierało się o jego erekcję. Jęknął jej do ust, a każdy nerw w Marie drżał.

- Muszę cię mieć, nie mogę już czekać - jego głos był surowy i urywany i w końcu sprawił, że oprzytomniała.

- Będiesz mnie miał - odpowiedziała bez tchu i odwróciła się, by odejść od niego o krok. - Będzie lepiej niż możesz sobie wyobrazić w swoich najśmielszych snach.

- Ach, Marie - spojrzał na nią wzrokiem, w którym frustracja mieszała się z pożądaniem.

- Chodź - podeszła do miejsca, w którym z sufitu zwisały łańcuchy. Czekwała z bijącym sercem. Poszedł za nią i bez słowa włożył ręce w skórzane mankiety.

- Czy tego chcesz, Marie? Zakuć mnie, zakneblować i wybiczować, podniecając się w ten sposób? Uczyń to więc, jestem twoim niewolnikiem.

Słyszała jego słowa, ale nie dotarły do niej. Jedyne, co się liczyło, to jego nadgarstki w skórzanych mankietach. Podeszła bliżej i ściągnęła pas. Stał teraz przed nią z rękami wyciągniętymi poziomo. Łańcuchy były tak napięte, że nie miał żadnej swobody ruchu.

- Nie będę cię biczować, masz rację, brzydzę się przemocą. Nie chcę niczego innego, niż sprawić ci taką samą przyjemność, jaką ty sprawiłeś mi. Uwierz mi, nie zapomnisz tej nocy.

Nic nie odpowiedział, jedynie na nią patrzył. Z głębi swoich halek wyciągnęła czarny, jedwabny szal. - Zamknij oczy. I poddaj się swoim doznaniom.

Nie mógł się bronić, jednak ona poczekała z założeniem opaski, aż zamknął oczy i pochylił głowę. W jego ruchach widać było wyraźną rezygnację, jednak Marie ją zignorowała.

Ledwo związała końce szala, gdy bezszelestnie otworzyły się ukryte drzwi i tak samo bezszelestnie do komnaty wkroczyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był olbrzymim Nubijczykiem, nagim od pasa w górę, z gładko wygoloną czaszką, miał na sobie błyszczące, czerwono - pomarańczowe pludry. Drugi był chudym Arabem z cienką, saraceńską bródką. Jedyńm jego ubraniem była przepaska na biodrach. Zbliżyli się, milcząc i skinęli głowami do Marie. Podczas pierwszej wizyty dziewczyna wybrała ich sobie i poinformowała o ich rolach. Zgodzili się na to tak obojętnie, jak gdyby zażądała od nich, by zamietli w komnacie. Bez widocznych uczuć pozwolili po prostu, by monety wpadły do ich kieszeni. W pomieszczeniu obok, w którym czekali, znajdowały się ukryte wizjery, przez które obserwowali rozwój sytuacji i weszli, gdy nadszedł odpowiedni moment.

Obcasy Marie stukały po kamiennych płytach, wyznaczających duży okrąg pod łańcuchami. Gdy pomyślała, dlaczego te płyty mogły tutaj leżeć, ogarnęło ją obrzydzenie. Stała blisko kawalera, tak blisko, że mogła czuć ciepło jego ciała i delikatny zapach drzewa sandałowego, z którym mieszały się pot i podniecenie mężczyzny.

Jego skóra gładko opinała mocne ciało. Nie było na nim żadnego zbędnego tłuszczu, odznaczały się jedynie twarde mięśnie. Jego przedramiona i pierś były pokryte delikatnymi, czarnymi włoskami, łączącymi się pod pępkiem w wąski pasek, który kierował wzrok obserwującego - albo obserwującej - na jego męskość. Nadal w stanie całkowitej erekcji.

Zauważyła, że jego nozdrza poruszyły się, gdy poczuł perfumy, którymi obficie spryskała suknię. Bardzo uważała na to, by rąbek jej sukni dotykał jego nagich stóp, aby wszystkie jego zmysły odbierały jej obecność.

Na jej znak Arab wyciągnął rękę i głaskał bok kawalera ku górze. Jednocześnie Marie zaczęła mówić.

- Nie możecie nic zobaczyć, ale wszystkie wasze doznania będą przez to głębsze. Rozluźnijcie się i rozkoszujcie się tym. Wasza skóra poczuje najdelikatniejszy dotyk, jeden oddech wystarczy, by wprawić was w zachwyt.

Wierzchołek kciuka pocierał brodawkę mężczyzny i okręzał ją tak długo, aż ściągnęła się i stwardniała.

- Czujecie to?

Zanim odpowiedział, jego grdyka wyraźnie się poruszyła.

- Tak, czuję to.

Arab przycisnął swe usta do zagłębienia w szyi kawalera i powędrował nimi przez jego pierś. W międzyczasie jego dłonie głaskały brzuch i biodra. Arab powoli klękał. Jego język zanurzył się w pępku, okrążał go i drażnił, aż z jego ofiary wydobył się przeciągły jęk.

Gdy w końcu usta zamknęły się na nabrzmiętym członku, znajdujące się w skórzanych mankietach dłonie kawalera zacisnęły się w pięści. Język Araba powoli, ruch za ruchem, lizał go wzdłuż, ręce położył na udach swej ofiary i pieścił ich delikatną, wewnętrzną stronę.

Marie, przyglądająca się temu z oczarowaniem, wykrzywiła się, gdy łańcuchy niespodziewanie zabrzęczały. Kawaler odrzucił głowę do tyłu i przerzucił część ciężaru ciała na łańcuchy. Jego usta były lekko otwarte, klatka piersiowa szybko się podnosiła, a jego ciało pokrywała cienka warstwa potu. Całkowicie poddał się rozkoszy.

Łańcuchy znowu zabrzęczały. Z krtani kawalera wydobył się nieartykułowany dźwięk. Jego miednica wysunęła się do przodu, następnie wytrysnął w ustach Araba, który miał problem z ogarnięciem wszystkiego. Gdy skończył Arab usiadł na piętach i spojrzał wyczekująco na Marie.

Dała mu znak i bezszelestnie się oddalił, by usiąść po turecku obok podestu. Bez skrupowania odsunął opaskę na biodra i zacisnął pięść na swoim twardym członku.

Marie odwróciła się. Pomiedzy piersiami i pod pachami czuła krople potu. Jej ruchy były chwiejne, a mięśnie jej nóg zdawały się zmieniać w drewniane słupy. Zniknęło podniecenie, które czuła na początku, zastąpiły je napięcie i nerwowość. Z pewnym wysiłkiem obeszła kawalera dookoła i skinęła do Nubijczyka, by podszedł bliżej.

- Dobrze było? - szepnęła od tyłu w ucho swej ofiary i nie musiała modulować głosu, by brzmiał ochryple.

- Dobrze? - odpowiedział tak samo ochryple. - Och, tak, rzeczywiście było dobrze.

- A to dopiero początek - dała znać Nubijczykowi, by pocałował kawalera w kark. Podczas gdy jego usta zsuwały się po kręgosłupie, sięgnął ręką po lekko zwiotczałego, ale wciąż na wpół podniesionego penisa.

- Marie - jęknął kawaler. - Miejcie litość. Zróbcie mi przerwę.

Zanim odpowiedziała, odepchnęła na bok głowę Nubijczyka, aby podtrzymać wrażenie, że to ona pieściła swoją ofiarę.

- Nie znam litości. Nigdy. A już na pewno nie dzisiejszej nocy.

Nubijczyk patrzył na nią pytająco, ona jednak potrząsnęła głową i znowu pochyliła się nad uchem kawalera. - Pamiętacie, co mi robiliście, w jaki sposób doprowadziliście mnie do niemal niewiarygodnego szczytowania?

- Było kilka sztuczek, może mogłybyście naprowadzić moją pamięć na właściwe tory.

- O, tak, mam taki zamiar - skinęła na Nubijczyka, który wolną ręką zręcznie wyjął z pludrów pojemniczek, otworzył go i włożył palec wskazujący w oleistą substancję. Tempo, z jakim to zrobił, zdradzało rutynę, tak samo jak fakt, że pojemniczek ponownie zniknął w fałdach pomarańczowych spodni.

Nie puszczając członka kawalera, Nubijczyk włożył palec między jego pośladki.

- A więc, wraca wam już pamięć? - spytała Marie i ciągnęła dalej, nie czekając na jego odpowiedź. - Zastanawiam się, czy dla was jest to równie podniecające.

Palec wskazujący wślizgnął się głębiej i zaczął poruszać się w tym samym tempie co ręka, która jeździła po nabrzmiałym członku.

Dłonie w skórzanych mankietach ponownie zwinęły się w pięści. Cienka strużka potu spływała z jego barków, przez biodra do ud.

- Tak, moja piękna pani.

- Chcecie jeszcze więcej? - szepnęła Marie do jego ucha.

- Weźcie mnie znowu do buzi, wtedy będziecie mogli włożyć we mnie tyle palców, ile tylko będziecie chcieli.

Marie dała znak Arabowi. Sprężył się wstał i uklęknął przed kawalerem.

- Więc proście mnie, żebym sprawiła wam rozkosz. Błagajcie, bym doprowadziła was do szczytowania.

Zaczął zgrzytać zębami, jego grdyka poruszała się, gdy próbował się przewyciężyć. - Weźcie mnie do ust. Sprawcie mi rozkosz i pozwólcie mi dojść.

- Nie powiedziałam: rozkażcie mi. Powiedziałam, żebyście prosili.

Odrzucił głowę.

- Proszę cię, byś wzięła mnie w swoje gorące, aksamitne usta i pozwoliła poczuć swoją magię. Proszę cię, byś pozwoliła mi dojść.

Marie drżała. Widziała pokrytą strugami potu kreaturę, oszpecone pożądaniem rysy twarzy, żyły, które wystąpiły z szyi i rąk. To było to. Tego właśnie chciała.

Powinna teraz czuć się zwyciężczynią, ale zamiast tego jej żołądek się skurczył. Jakiś głos w niej wołał, że już starczy, żeby odesłała mężczyznę i pozostawiła go po prostu do rana w tych łańcuchach. Także to byłoby wystarczającą zemstą i upokorzeniem.

Inny głos jednak krzyczał, żeby to dokończyć. Nie okazywać słabości. „Macie odwagę, by przez to przejść?”

Dopiero teraz pojęła głębszy sens tego pytania. Wbiła paznokcie w dłoń. Nie była słaba. Nigdy już nie będzie słaba.

Skinęła do Araba. Złapał przyrodzenie kawalera, trochę je potarł i w końcu pochylił się, by wziąć je do ust. Kawaler jęknął.

- Tak - dyszał - mocniej, Marie, proszę, szybciej, dobrze... dobrze... tak...

Marie stanęła za nim i odwiązała czarny, jedwabny szal, który niezauważony spadł na ziemię. Następnie obeszła mężczyznę i stanęła przed nim ze skrzyżowanymi ramionami.

Zamrugał, gdyż niespodziewanie zrobiło się jasno. Marie widziała, jak jego oczy się zwęziły, gdy ją zobaczył. Jak szybko pochylił głowę, a potem znowu ją podniósł. Na jego twarzy w miejsce rozkoszy odmalowało się zrozumienie.

Spojrzał na lustra, które tysiącokrotnie odbijały obsceniczną scenkę. Klęczący przed nim mężczyzna, pieszczący z oddaniem jego penisa ustami. Stojący za nim Nubijczyk, z ręką zanurzoną pomiędzy jego pośladkami, drugą ręką obejmując go w talii, oparł czoło na jego ramionach. I w końcu stojąca przed nim Marie, chłodna i nieskalana. Bordowa tafta otaczała jej postać niczym ciemna krew.

Szarpnął się na łańcuchach. Oczywiście nie puściły, jego dłoń otwierały się i zamykały w geście całkowitej bezradności.

- A więc, kawalerze, jak to jest, gdy czuje się rozkosz, chociaż zostało się oszukanym, zdradzonym i wykorzystanym? Jak to jest, gdy ciało wybuchuje, chociaż posługuje się nim ktoś obcy?

- Zapłacicie za to - wydusił z siebie.

- Już za to zapłaciłam, kawalerze de Rossac. Teraz jesteśmy kwita. Teraz nie tylko wiecie, co oznacza słowo upokorzenie. Teraz

wiecie również, jakie to uczucie. - Stała tuż przed nim. Ze wściekłości na skroniach wystąpiły mu żyły. Jej usta wykrzywiły się szyderczo. - Czy mam zaprzestać wydawania rozkazów? Chętnie to uczynię - jeśli mnie o to poprosicie. Macie już w tym wprawę.

Podniosła brwi. Jego bezradność dawała jej władzę i taką pewność, że dalej z niego drwiła.

- Oczywiście zrozumieć również, jeśli ci dwaj będą chcieli zakończyć to, co zaczęli.

Zamiast odpowiedzieć, splunął na nią. Poczowała, jak jego ślina spłynęła po jej policzku i kapłała jej na dekolt. Zastygnął w niej każdy nerw. W tej chwili chciała mieć w ręku pejcz, by tak długo biczować znienawidzoną twarz, aż zamieni się w krwawą masę.

Głęboko oddychając, cofnęła się o krok, otarła policzek wierzchem dłoni i wytarła ją o suknię. Obaj mężczyźni, którzy przerwali swoje czynności, spojrzeli na nią wyczekująco. Wyprostowała ramiona i powiedziała głosem, który ze świstem przeciął ciszę.

- Plany się zmieniły. Należy do was. Użyjcie go sobie. Zróbcie z nim co chcecie.

Następnie podeszła do drzwi. Kątem oka dostrzegła w lustrach, jak Arab ponownie pochylił się nad obwiśniętym w międzyczasie członkiem kawalera, a Nubijczyk spuścił pomarańczowe spodnie.

Rozdział 12

Następnego ranka Marie zajęła się wszystkimi sprawami, które zaniedbała z powodu przygotowań do realizacji swego planu. Należało do nich sprawdzenie stanu finansowego, które nie uśmierzyło jej bólu głowy.

Koszty zemsty na kawalerze pochłonęły wszystkie jej rezerwy. Nie miała już praktycznie żadnej prawdziwej biżuterii, którą mogłaby spieniężyć. Zauważyła również, że król nie odwiedzał jej już od trzech tygodni, od zdarzenia w Salonie Aniołów. Czyżby coś słyszał? Czy były plotki na jej temat? Przerażała ją myśl, że mogłaby stracić życzliwość króla. Koniecznie musiała z nim porozmawiać.

Podczas popołudniowej przechadzki po parku czekała na odpowiedni moment, by sprowokować spotkanie, jednak nie było żadnej sposobności ku temu. Król wałęsał się po parku w otoczeniu swoich dworzan i licznych dam. Marie znała je wszystkie. Oprócz wysokiej blondynki, z którą bezceremonialnie flirtował.

Miała na sobie głęboko wyciętą suknię uszytą według najnowszej mody i poruszała się z ospałą zwinnością dużego kota. Cieszyła się uwagą króla, jednak w jej postawie nie było poddańczości ani skromności. Z każdego jej gestu tryskała chęć życia i zmysłowość. - Kim ona jest? - spytała Marie, gdy wraz z Nadine stanęły przy fontannie. Wyczuwała promieniowanie obcej dziewczyny aż po czubki palców. - Jeszcze jej tutaj nie widziałam.

- To markiza de Montespan, przyjechała tutaj przed tygodniem, ale ty byłaś całkowicie pochłonięta kawalerem de Rossac - usłyszała ostrą odpowiedź.

Marie gniewnie odrzuciła głowę do tyłu.

- Ten cretin (cretin - kretyn - przyp. tłum.) na pewno mnie nie pochłoniął. Byłam zajęta, to fakt. Jednakowoż nie miało to zupełnie nic wspólnego z kawalerem, jasne?

Nadine przewróciła oczami.

- Oczywiście, Marie.

Głęboko dygnęły, gdy przechodził obok nich król. Marie posłała mu swój najbardziej czarujący uśmiech, jednak władca nie zareagował.

Tak samo jak nie raczył zauważyć jej wieczorem ani następnego ranka. Patrzył na nią, jakby była przezroczysta albo jakby nie istniała.

W rozpaczy poprosiła Jeana, by napisał za nią wiadomość i potajemnie przekazał ją kamerdynerowi króla. Zgodził się na to, chociaż nie mogła go wynagrodzić za tę przysługę i musiała zbyć go obietnicami.

Także i to śmiałe posunięcie pozostało bez efektu. Jean dawał się wodzić za nos z zapłatą przez trzy dni, następnie otwarcie postawił ultimatum:

- Jutro dostanę pieniądze, mademoiselle Calliere, albo był to ostatni raz, gdy wykonałem dla was jakieś zlecenie. Dodatkowo postaram się, żeby już nikt z Wersalu wam nie usługiwał.

Marie nie wątpiła w jego słowa. Takie znajomości jak ta były konieczne, by przetrwać w bagnie, jakim był Wersal.

Musiała znaleźć sposób, by zdobyć pieniądze. W myślach doszła do konia podarowanego jej przez króla. Zwierzę musiało posiadać jakąś wartość. Ta suma pozwoliłaby jej utrzymać się na powierzchni przez jakiś czas.

W stajni podeszła do klaczki i przywitała ją prztyczkiem w nos. Z zadumą głaskała miękkie nozdrza. Jak można zorganizować sprzedaż konia? Poczekała na koniuszego i po zwyczajnym pozdrowieniu wciągnęła go w rozmowę, podczas której napomknęła, że chciałyby sprzedać konia.

- To niemożliwe, mademoiselle Calliere - odpowiedział pewnie mężczyzna.

- Dlaczego?

- Król w swej dobroci zapewnił wam prawo użytkowania klaczy, jednak zwierzę wciąż znajduje się w jego posiadaniu. Jeśli chcecie, możecie sprawdzić w księgach.

Wiadomość ta poruszyła Marie do głębi. Zawsze uważała zwierzę za prezent.

- Czy istnieje możliwość, że zaszła pomyłka? - spytała z trwogą.

- Nie. Król daruje konie jedynie członkom panujących dynastii.

Marie poddała się. Koń nie należał do niej, nie mogła więc go sprzedać. Wróciła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko i gapiła się z melancholią na jedwabny baldachim.

- Którą suknię mam wam przygotować na dzisiejszy wieczór? - Fanette wyrwała ją z rozmyślań.

Marie najchętniej przykryłaby głowę kołdrą i w ogóle nie poszła na przyjęcie, musiała jednak utrzymać swe miejsce. Przyjrzała się

więc obu sukniom trzymanym przez pokojówkę. - Czy stroje też można sprzedawać? - spytała.

- Dowiem się. Jednak nie da to wielu dochodów, otrzymacie jedynie jakąś część ich wartości - przełożyła suknie przez oparcie krzesła i wolno podeszła bliżej.

- Czy macie problemy z pieniędzmi, madame Calliere? Ja... ja coś zaoszczędziłam... jeśli wy... - urwała.

- Dziękuję, Fanette - Marie poruszona ścisnęła dłoń dziewczyny.
- Nie będzie to konieczne, wpadnę na jakiś pomysł. Dzisiaj wieczorem założę niebieską suknię.

Także w niebieskiej sukni nie miała okazji do rozmowy z królem. Pod wpływem rozpaczy podążyła za nim, gdy wraz z towarzyszami opuścił ucztę i w pobliżu jego komnat ze zdecydowaniem odcięła mu drogę.

- Sire - zaczęła i podniosła się z głębokiego dygnięcia, nie czekając na jego pozwolenie. - Od wielu dni próbuję uzyskać audiencję. Muszę z wami porozmawiać, błagam, byście mnie wysłuchali. Proszę o tę łaskę.

- Mademoiselle Calliere w odpowiednim czasie uzyska audiencję. Do tego czasu musi być cierpliwa.

Marie ponownie głęboko dygnęła. Słysząc było, że głos króla był chłodny, ona jednak uczepliła się treści jego słów.

- Dziękuję wam, sire. Odliczam minuty do naszej rozmowy.

Dni mijały, a ona nie uzyskała audiencji. Fanette udało się sprzedać dwie suknie, jednak pieniądze za nie były śmiesznie małe. Marie nie opuszczała już pokoju. Na zmianę przeklinała bezczelność kawalera, swoją własną głupotę i zamkowe plotki.

W końcu, gdy przestała już w to wierzyć, król wysłał jej wiadomość, w której zapraszał ją na audiencję. W Pokoju Narad, jego gabinecie. Nie było więc wątpliwości, że faktycznie chodziło o oficjalną rozmowę.

Tym jednak się nie przejmowała. Liczyło się jedynie to, iż otrzymała okazję, by porozmawiać z królem w cztery oczy. Przekona go. Przypomni mu, co ich łączyło.

Uwiedzie go.

Wyruszyła w drogę energicznie, w sukni podkreślającej jej atuty. Wszystkie ciemne myśli odfrunęły. Wszystko będzie dobrze.

Mistrz ceremonii zaprowadził ją z antichambre (antichambre - przedsionek - przyp. tłum.) do gabinetu króla. Wszedł i zapowiedział ją jej nazwiskiem. Wziąwszy głęboki wdech Marie stanęła przed nim i natychmiast wykonała głębokie, dworskie dygnięcie.

- Możesz się podnieść - rzekł król, siedzący za wytwornym, wykonanym z polerowanego drzewa orzechowego biurkiem, zdobionym intarsjami z masy perłowej.

Marie podniosła się z promiennym uśmiechem na twarzy. Jej uśmiech zamarł, gdy stwierdziła, że nie była z królem sam na sam oraz że na jednym z dwóch krzesel audiencyjnych siedział mężczyzna, którym był kawaler de Rossac.

Pozbierała się i z gracją podeszła do wolnego krzesła. Od nocy u madame Dessante nie widziała kawalera ani w parku, ani podczas uczt na zamku. Po cichu miała nadzieję, że wyjechał. Nieważne, nie pozwoli, by wyprowadził ją z równowagi.

- Sire - powiedziała gardłowym głosem - dziękuję za audiencję, którą mi zapewniliście.

- Znany jestem z mej dobroci - odparł król z odrobiną sarkazmu.
- Niestety przez niektórych mych podwładnych moja dobroć jest mylona ze słabością albo z głupotą.

Marie otworzyła szerzej oczy

- Sire, nie potrafię sobie tego wyobrazić pomimo najszczęśliwszych chęci, ja... - Nie? - ostro przerwał jej król. - Czyli dodatkowo uważasz mnie za tępego.

Ton, którym do niej mówił, był nowy i niespodziewany. Żadnego uroczego przekomarzania się, żadnych ukrytych czułości. Jej plany, by przypomnieć mu słowami i czynami o ich wspólnych godzinach, spaliły na panewce.

Jej los był bardzo bliski upadku, każde włókno w jej ciele to czuło. Strach kazał jej zaniechać wszelkiej dyplomacji.

- Sire, cokolwiek słyszeliście, to tylko złośliwa plotka, mam wrogów, którzy posuną się do wszystkiego, by mnie oczernić.

Król uderzył dłonią w stół.

- Słyszałem? Raczysz sobie żartować. Widziałem waszą nikczemną zdradę na własne oczy.

Z twarzy Marie odpłynęła krew.

- Na własne oczy? - powtórzyła, białe były nawet jej usta.

- Na własne oczy - potwierdził król, a każda sylaba ociekała szyderstwem. - Jak już napaliłaś się na schadzki, nie powinnaś przyjmować swego zalotnika w miejscu, które wybrał król.

Marie nie chciała wierzyć, że król ją nakrył, gdy była z kawalerem. Nie można było jednak odrzucić tej możliwości. W końcu to król wybrał Salon Aniołów na miejsce spotkania. Dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego tak długo milczał? Gdyby nie nalegała na spotkanie, nigdy by się o tym nie dowiedziała. Gorączkowo myślała, jak może wybrnąć z tej sytuacji.

- Kobietom takim jak ty płacę za lojalność i wierność. Albo przynamniej za złudzenia. Tak bezczelnej zdrady nie mogę zapomnieć ani nie chcę wybaczyć.

Marie zdecydowała się na łzy. - Nie zdradziłam was, sire. Zostałam wykorzystana. Wykorzystana wbrew mej woli. On... - wyciągnęła rękę i drżącym palcem wskazała kawalera - on wziął mnie od tyłu, nie wiedziałam, że zajął wasze miejsce. Nic nie wiedziałam... - szlochała - do momentu, gdy znalazłam tę odrażającą, fiołkową pastylkę. A wtedy chciałam już tylko umrzeć. Czułam się taka brudna. Jeśli ktoś tutaj zasługuje na karę, jest nim ten diabelski pomiot, który zbliżył się do mnie bez mej wiedzy.

Skoczyła na nogi, obiegała sekretarz i padła przed królem na kolana, zanim zdążył zareagować.

- Sire, jestem najbardziej lojalną poddaną, jaką możecie sobie wymarzyć. Kocham was, przecież wiecie o tym. To do was należy moje serce. To do was należy moje życie. Błagam was, by wasza bezgraniczna dobroć umożliwiła mi przekonać was o tym. Okażę się być godną waszego zaufania.

Po jej policzkach wciąż płynęły łzy, a jej dolna warga drżała. Mimo tego wytrzymała wzrok króla.

- Możesz wstać i wrócić na swoje miejsce. Podjąłem już decyzję. A jeśli chodzi o niego i jego rolę w tej przykrej farsie...

Marie rzuciła kawalerowi spojrzenie przepelnione nienawiścią, następnie wstała i ponownie usiadła na swoim krześle.

- Pytam się więc, jak, po tym wszystkim, co się wydarzyło, on może mieć czelność wnosić prośbę o zwolnienie z podatków na dziesięć lat i odroczenie płatności zaległego długu wynoszącego dziesięć tysięcy liwrów. Moi przodkowie kazaliby powiesić was na najbliższym drzewie, kawalerze de Rossac.

- Jedna sprawa nie ma nic wspólnego z drugą, sire - mężczyzna odparł ze spokojem. - Ta dziewczka mnie sprowokowała. Gdybym ja jej tego nie zrobił, sięgnęłaby do spodni najbliższego lokaja, aby się obsłużyć. Ja na miejscu znalazłem się jedynie przez przypadek.

Marie wymownie zatrzepotała mokrymi rzęsami.

- Widzicie, sire, w ten sposób jestem oczerniana. Przez lalusia, który nie potrafi się zdecydować, czy woli towarzystwo mężczyzn czy kobiet.

- Z tego, co widziałem, potrafi się zdecydować - władca zauważył sucho. - Chcę już zakończyć tę niemiłą sprawę - przeniósł wzrok z Marie na kawalera i kontynuował. - Opuśćcie wam, monsieur de Rossac, wasze długie podatki i dam wam kolejne pięć tysięcy liwrów. Moje warunki: opuście Wersal w ciągu trzech dni, nigdy tutaj nie wróćcie i weźmiecie ze sobą mademoiselle Calliere. Jako swoją prawowitą małżonkę.

Marie nie wierzyła własnym uszom.

- Sire...

- W żadnym wypadku nie poślubię królewskiej dziwki - przerwał jej kawaler. - Musicie sobie poszukać innego głupca, sire. Jestem gotów przyjąć każdą inną propozycję, ale do tego nie możecie mnie zmusić.

Król nie zareagował na tę uchybiającą odpowiedź.

- W takim wypadku wasze długie podatki muszą zostać zapłacone w gotówce do końca miesiąca lub cały wasz majątek, ruchomy bądź nie, stanie się własnością korony.

Marie, która wbiła palce w poręcze krzesła, miała wrażenie, że to koszmar, i że natychmiast musi się z niego obudzić. Najgorszy w tym wszystkim był fakt, iż król mówił o niej w taki sposób, jakby w ogóle nie było jej w tym pomieszczeniu. Jak gdyby była to sprawa pomiędzy nim a kawalerem.

- Decyzja należy do was, monsieur de Rossac - król dodał złośliwie i złożył palce.

Marie zdecydowała się wkroczyć. - Sire, nie możecie na poważnie rozważać tego, by wyrzucić mnie do tego... tego... bezczelnego... grubiańskiego... bezwstydnego... buca. Pomijając wszystko inne... on jest chłopem! - krzyknęła oburzona.

Król zwrócił się ku niej i obdarzył ją aroganckim spojrzeniem.

- A kim jesteś ty?

- Jestem siostrzenicą markizy de Solange - odparła dumnie, a kawaler obok niej głośno się roześmiał.

- Jesteś gościem w moim domu - skonstatował król. - I nadużyłaś mej gościnności w sposób najbardziej ordynarny. Opuść Wersal w ciągu trzech dni, z kawalerem bądź bez niego. Zabraniam wam kiedykolwiek ponownie przekroczyć próg mego domu.

Marie miała wrażenie, że ziemia pod jej nogami zamieniła się w ruchomy piasek. Król ją wygnał, jej marzenia o beztrudnym życiu w dostatku i luksusie przysły niczym bańka mydlana.

- Sire - wyszeptała - nie możecie mi tego zrobić. Wszystko, tylko nie to. Nie mogę was opuścić, ja... - jej głos się złamał. - Dokąd mam się udać?

- Do swojej dobrej cioci - zamiast króla odpowiedział kawaler.

Marie spojrzała na niego z oszołomieniem. Cynizm w jego głosie całkowicie uszedł jej uwadze.

- Nie mogę tego uczynić. Już mnie do siebie nie przyjmie, nieważne, co się stanie. Przed swoim wyjazdem powiedziała mi, że już zawsze będę zdana tylko na siebie.

- Przyzwyczajajcie się więc lepiej do myśli, że poślubicie chłopca - powiedział król.

- Nie chcę się z nią żenić - kawaler ze zdecydowaniem zabrał głos. - Ani za pięć, ani za pięćdziesiąt tysięcy liwrow. Ta dziewczyna jest przebiegła, bez skrupułów, cwana i nienasycona. Pod każdym względem.

- Mogłeś to sobie wcześniej przemyśleć, zanim na nią włąłeś. Męczy mnie ta dyskusja. Pojutrze, o piątej po południu w kaplicy zamkowej będą na was czekać ksiądz i adwokat. W przypadku zawarcia małżeństwa przekaże on kawalerowi szkatułę z pięcioma tysiącami liwrow i dokumentem potwierdzającym zwolnienie z podatków na następne dziesięć lat.

Podczas gdy kawaler wciąż kręcił głową, Marie nie mogła się powstrzymać od pytania:

- A co dostanę ja?

Król zmierzył ją od góry do dołu wzrokiem, który sprawił, że do policzków z powrotem napłynęła jej krew.

- Dobre nazwisko i status kobiety zamężnej. Nie osiągniesz tego własnymi siłami, jeśli wygnam cię z Wersalu.

Marie nie wątpiła w prawdziwość tych słów. Nikt nie będzie się o nią troszczył. Nie miała żadnego schronienia, żadnych przyjaciół, żadnych pieniędzy. Była tak pewna, że zostanie w Wersalu na zawsze, że w ostatnich miesiącach w ogóle nie zabiegała o znajomości, które mogłyby ją poratować w takim przypadku jak ten.

Zerknęła z boku na kawalera. Był on ostatnią osobą, z którą chciałaby spędzić jeden dzień, nie mówiąc już o reszcie swego życia. Nie miała już jednak żadnego wyboru. Wnioskując po jego wścieklej minie, nie miała wyboru nawet w tej sytuacji.

- Myślę teraz o tym i chcę zdecydowanie więcej niż dziesięciu lat zwolnienia z podatków - powiedział kawaler.

- Nadwerężasz moją cierpliwość i przeceniasz swoje szczęście - zauważył król z cieniem zdenerwowania w głosie. - Czego jeszcze chcesz? - Zwolnienia z podatków dla mnie i wszystkich następnych pokoleń.

Król potrząsnął głową i przejechał palcem wskazującym po wąsach.

- Dlaczegoż miałbym się na to zgodzić?

- Bo się jej pozbędziecie, sire. Chociaż nie rozumiem, dlaczego w ogóle zawracacie sobie tym głowę.

- Nie dziwi mnie to. Po osobie o takim charakterze jak wasz nie spodziewałem się niczego innego. Jestem świadom mojej odpowiedzialności. Troszczę się o kobiety, które podarowały mi swoje dziewictwo. Troszczę się o dzieci, które mi rodzą. To takie proste.

Marie usłyszała głośny wdech kawalera.

- Czy spodziewa się dziecka?

Król skierował na nią wzrok.

- Czy jesteś przy nadziei?

Marie starała się błyskawicznie podjąć decyzję. Być może był to ratunek. Jeśli oczekiwałaby dziecka, król może jeszcze raz rozważyłby swoją decyzję. Albo i nie. Atmosfera w gabinecie nie pozwalała wysnuć wniosków co do jego postępowania.

Spuściła głowę, mając nadzieję, że robi dobrze.

- Nie wiem.

- Fantastycznie - prychnął obok niej kawaler. - W tych okolicznościach zwolnienie z podatków dla wszystkich potomków

noszących nazwisko Rossac nie jest zbyt wielkim żądaniem - jego słowa brzmiały jak oszczerstwo.

Król wziął z biurka leżące przed nim białe, gęsie pióro i przeciągnął je przez palce.

- Ta dyskusja mnie męczy. Nie chcę się upierać przy tym, że dziecko, które mademoiselle Calliere ewentualnie nosi pod sercem, może być również wasze. Jestem królem, nie kupczykiem. Zapewniam jemu i wszystkim jego potomkom zwolnienie z podatków, jeśli weźmie ją za żonę. Wszystko inne zostało już powiedziane, jaka by nie była wasza decyzja, w ciągu trzech dni macie opuścić mój dom. I ona również. Rozmowa zakończona. Możecie się oddalić.

Rozdział 13

Marie leżała na swoim łóżku i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wciąż nie mogła uwierzyć, jak szybko karta się odwróciła. Czekala ją nicość. Jej życie było zniszczone. Nie wiedziała, czy ma sobie życzyć, żeby kawaler po prostu odjechał, nie przyjmując oferty króla.

W takim przypadku pozostałyby jej tylko przytułki dla ubogich w Paryżu. Myśl, by wrócić do Trou - sur - Layne odrzuciła w tej samej chwili, w której się ona pojawiła. Nie wystawi się na pośmiewisko i drwiny. Ta perspektywa nie była lepsza od żebrania na ulicach Paryża. Albo sprzedawania ciała.

Objęła się rękami i przewróciła na bok. Myśl o poślubieniu kawalera de Rossac sprawiała, że w jej ciele drętwiał każdy nerw. Już on się bez wątpienia postara o to, by zapłaciła za swój postępek. Nie puściłby jej tego płazem żaden mężczyzna, który miałby okazję odpłacenia się za takie upokorzenie. W jego oczach widziała chłód i pogardę.

Jako jej mąż miałby do niej wszelkie prawa, nikogo nie będzie obchodziło, jeśli pewnej ponurej nocy poderżnie jej gardło lub przykuje ją do wilgotnych ścian lochu. Łzy, które popłynęły jej po policzkach i wsiąknęły w poduszkę, były tym razem tak prawdziwe jak jej rozpacz. - Nie chcę się z nią żenić - prawdopodobnie po raz setny powiedział Tristan de Rossac.

- Mogłeś o tym pomyśleć wcześniej, mon cher (mon cher - mój drogi - przyp. tłum.) - odparł spokojnie Henri de Mariasse i włożył sobie do ust plasterki szynki. Siedział w czerwonym, jedwabnym szlafroku á la chinoise (a la chinoise - przypominający chiński - przyp. tłum.), haftowanym w złote smoki, przy bogato nakrytym stole śniadaniowym, stojącym w jego komnacie. - Z urywków twoich opowiadań można wnioskować, że sam wmanewrowałeś się w tę sytuację.

Wziął talerz z masłem i posmarował brioszkę. Śniadanie było dla niego świętością i nie widział powodu, dla którego miałby je przerwać czy też nie poświęcić mu odpowiedniej uwagi. Nożem wskazał dzban z mlekiem.

- Wypij kubek gorącej czekolady, Tris. Nic lepiej nie ogrzewa serca i duszy w tak przygnębiający poranek.

Tris przestał chodzić po pokoju i usiadł naprzeciwko Henri'ego.

- Już na samą myśl, że będę musiał ją oglądać każdego ranka, moje trzewia zamieniają się w lód.

- Jesteś zbyt romantyczny, Tris. Nikt nie wymaga od ciebie, byś jadał śniadania ze swoją żoną. Nie musisz z nią ani rozmawiać, ani jej widywać, w ogóle nie musisz jej spotykać. Mimoza - twój majątek - znajduje się co prawda w opłakanym stanie, ale jest wystarczająco wielka, byś nie musiał się zbytnio starać o unikanie spotkania. W dzisiejszych czasach śluby są udzielane przez adwokatów, a nie przez Amora i jego cwanych kompanów.

- Łatwo ci mówić. Przecież nie chodzi o ciebie - Tris również wziął brioszkę i sięgnął po słoik z marmoladą malinową. - I nie wiesz też... - O nieba, nie chcę nic wiedzieć. Mnie wystarczą spojrzenia, które wymieniałeś z demoiselle. To prawdziwy cud, że meble w komnacie nie stanęły w płomieniach. A gdy w świetnym humorze i odświętnym stroju, z dumnie wypiętą pierśią wybrałeś się do madame Dessante, bez twojego potwierdzenia byłem przekonany, że spotykasz się właśnie z nią. Wnioskując ze stanu, w którym znalazłem cię następnego ranka w twoich komnatach, sprawy potoczyły się nie tak, jak sobie wymarzyłeś.

- Można tak powiedzieć - wymruczał Tris. Henri podniósł brwi.

- Zakładam, że cię oszukała, urażając w ten sposób twoją męską dumę. To smutne, jednak nie stanowi to powodu do zamknięcia oczu na brutalne fakty o wiele brutalniejszego życia - przechylił się. - Żadna z rodzin, z którymi cię poznałem, zachwalając cię jako idealnego zięcia, nie chciała nawet pomyśleć o tym, by zaakceptować ciebie jako męża swej zachwycającej córki. Twój tytuł nie wystarczy, by zrobić tutaj na kimkolwiek wrażenie. Wszyscy, którzy posiadają odpowiednio dużo pieniędzy, by pomóc ci wyjść z kłopotów, wydają swoje córki jedynie za ludzi z herbami hrabiowskimi lub książęcymi koronami. Pomijając już całkiem fakt, że być może część życzliwości całkiem utraciłeś przez schlebianie kochanicy króla. Z tego punktu widzenia twoja misja nie powiodła się. Pomimo najszczerzych chęci, nie mogę ci pomóc znaleźć bogatej żony. A ponieważ nadal wzbranasz się przed przyjęciem ode mnie pieniędzy, najmądrzejszym posunięciem byłoby pojęcie za żonę mademoiselle Calliere. Pięć tysięcy liwrów to nie jest ogromna suma, ale wieczyste zwolnienie od podatków to przecież dużo więcej, niż zwykle można oczekiwać.

Tris parsknął ze wściekłością.

- Król nie robi prezentów. Mam mu pomóc się jej pozbyć. I to w możliwie jak najszybszy i nieskomplikowany sposób.

- Coś w tym może być - zgodził się z nim Henri. - Ludzie przebąkują o tym, że król ma dosyć la Valliere i zaczął sobie szukać nowej kochanki. Nową gwiazdą, która właśnie niedługo rozbłyśnie na firmamencie Wersalu, jest Athenais de Montespan, nawet jeśli posiada wyjątkowo zazdrosnego małżonka, który w razie wpadki sprawi trochę kłopotów. Królowi oczywiście zależy teraz na tym, by w elegancki sposób pozbyć się wszystkich świadków swoich cielesnych żądz.

Tris wzruszył ramionami.

- Jest mi to absolutnie obojętne. To jednak tłumaczy, dlaczego postawił mi ultimatum. Poza tym przecież jest możliwość, że ona nosi jego dziecko.

- Nic strasznego się nie wydarzy - odparł Henri pragmatycznie. - Jeśli wychowasz królewskiego bękarta, możesz być pewny życzliwości Jego Wysokości.

- Ach, Henri, nic nie rozumiesz. Chodzi o honor.

O moje przekonania. Jeśli się zgodzę, sprzedam i jedno i drugie. Za garść liwrow.

- Jeśli się nie zgodzisz, stracisz swoją posiadłość. I honor na dokładkę. Oczywiście pozostaną ci wtedy jeszcze twoje przekonania. One jednak cię nie nakarmią, nie ubiorą i nie ogrzeją w chłodne noce. Ani ciebie, ani twego zakochanego w melancholii i winie brata.

- Troy jest moim bratem i moim problemem - przerwał mu Tris, protestując. - I nie chcę mieć w swoim otoczeniu tego babsztyla.

- Powtarzasz się, Tris. Mnie jest to w sumie obojętne. Jeśli rzeczywiście stracisz swój majątek, jesteś u mnie zawsze mile widziany. Dotyczy to również Troya, chociaż wiem, że uważa moje skłonności za równie godne potępienia co naszą przyjaźń, mon cher. Po raz kolejny oferuję ci każdą sumę, której będziesz potrzebował. Żadne pieniądze świata nie wystarczą, by wynagrodzić ci to, co uczyniłeś dla Ghislaine. Gdy cię spotkała, była martwa. Wewnętrznie, jak i na zewnątrz - książę patrzył na Trisa z sympatią, następnie się zasepił. - Jeśli spotkam w piekle tego bydlaka, który mnie spłodził, zapłaci za to, co jej zrobił. Moją piękną, mądrą, obytą w świecie siostrę ożenił z takim cretin jak Plessis - Fertoc. Jakież to marnotrawstwo wdzięku i uroku.

- Mówisz tak, jakbym złożył się w ofierze na ołtarzu miłości bliźniego - Tris wyciągnął długie nogi. - Lubię Ghislaine, jej bystrość, jej dowcip i w nie mniejszym stopniu także jej ciało. Nasz związek podoba mi się tak samo jak jej.

- Być może. Dla mnie liczy się to, że sprawiasz, iż jest szczęśliwa. Że znowu się śmieje, wychodzi do ludzi, interesuje się tym, co się dookoła niej dzieje. I że odwiedza mnie regularnie, zamiast zamykać się w swoim domu - do gorącego mleka dosypał trochę tartej czekolady i zamieszał. Przeciągle spojrzął na swego rozmówcę.

- Nikogo nie chciałbym widzieć na miejscu zięcia tak bardzo jak ciebie, Tris.

- Przecież wiesz...

- Tak, wiem - przerwał Henri gorączkowo. - Plessis - Fertoc od dawna byłby już martwy, gdybym nie wiedział, że nie sprawi to żadnej przyjemności Ghislaine. Dała mi jasno do zrozumienia, iż wyda mnie w ręce kata, jeśli będzie miała chociaż cień podejrzenia, że maczałem palce w ewentualnym zgonie jej małżonka. Wierzy w boską sprawiedliwość oraz wieczne potępienie i w te całe żalodne kazania - dodał, potrząsając głową. - Gdybyś jednak się nie pojawił, wcześniej czy później wysłałbym go na tamtą stronę, nieważne jakie konsekwencje by to za sobą pociągnęło.

- Wierzę ci na słowo, Henri. Nie możesz skryć swojego nastawienia w piórach i perukach, przynajmniej przede mną.

Henri przejechał dłonią po krótko przyciętych włosach.

- Dziękuję ci za zaufanie. Jednak nie jestem na tyle bohaterski, by wyzwać na pojedynek mężczyznę, upośledzonego bądź nie. Chodziło mi raczej o zasadzkę i jakiś przykry wypadek.

Wziął filiżankę i wygiął mały palec z tak przesadną afektownością, że Tris zaczął się śmiać.

- Tak, już cię widzę, jak w środku ciemnej nocy kopiesz grób łopatą i wypełniasz go gnojówką, machając jednocześnie swoją perfumowaną chusteczką.

Ruchem pełnym godności Henri odstawił filiżankę na stół.

- Nie jest to bardziej zabawne od twojego zwyczaju żucia fiołkowych pastylek. Prawdziwy mężczyzna żuje tabakę.

- W tym przypadku wolę, by uważano mnie za twojego kochanka, niż miałbym pluć na wszystkie strony tym odrażającym,

zielonkawym zielskiem. Nie wszystko, co przychodzi do nas z kolonii, jest godne naśladowania.

- Tak czy inaczej wróćmy do tematu. Czy właściwie jesteś świadomy tego, że dziecko Ghislaine będzie jednocześnie moim spadkobiercą? Czy chociażby to nie mobilizuje cię do działania?

Tris sięgnął po kubek z tartą czekoladą, nasypał jej trochę do swojej filiżanki, a następnie zalał ciepłym mlekiem. - Ghislaine pije jakiś tajemniczy napój. Nie chce dziecka. Boi się, że Plessis - Fertoc je zabije, może je chociażby przydusić z czystej miłości.

- Ten cretin zawsze stanie mi na drodze - zawołał Henri ze wściekłością. - Jeśli Bóg byłby wyrozumiały, powinien zabić go piorunem.

- To się prawdopodobnie nie wydarzy, dlatego powinieneś rozejrzeć się za innym spadkobiercą swoich latyfundiów. Jeśli wybierzesz sobie jedną z tych córek pochodzących z rodzin, które mnie odrzucają, ponieważ za zięcia koniecznie chcą mieć księcia, możemy iść razem do ołtarza.

Henri nadał policzki.

- Jeszcze nigdy nie byłem w łóżku z kobietą i to się nie zmieni, jak długo będę trzeźwo myślał - powiedział zdecydowanym głosem, a potem się zdziwił. - To oznacza, że ożenisz się z demoiselle Calliere?

Tris westchnął.

- Nie wiem, po tym, jak w tak drastyczny sposób rozwiąłeś moje romantyczne wizje, przynajmniej o tym pomyślę.

Uczył to, chociaż gardził samą myślą o tym. Czysta chęć mordy, którą odczuwał bezpośrednio po wydarzeniach u madame Dessante, zmniejszyła się wprawdzie, jednak przez długi czas nie zniknęła.

On, który chwalił się, że jest otwarty na wszelkie eksperymenty seksualne, został doprowadzony przez tę bezczelną dziewczkę do swoich granic oraz upokorzony. Chłodna kalkulacja pozwoliła jej znaleźć jego czuły punkt, by zaatakować bez wahania. Gdyby nie chodziło o niego samego, jej pomysłowość i brak skrupułów, z którymi zwabiła go do pułapki, wywołałyby w nim pewien rodzaj podziwu.

Przeklinał dzień, w którym zagadnął ją przy śmiesznej grze w badmintona. Winna temu musiała być nuda, którą zawsze odczuwał, gdy znajdował się pośród piejących kogucików otaczających

Henriego. No i ta ładna buzia, nieprzychylnie kręcąca na niego noskiem. W normalnej sytuacji takie oszczerstwa, jakie mu mówiła, nie robiły na nim żadnego wrażenia. Gdy widziano go pośród dworzan Henriego, takie uwagi były na porządku dziennym i w ogóle nie reagował na nie.

Jednak jej niczym nieusprawiedliwiona arogancja, połączona z ogłupiającą nudą podczas jego pobytu w Wersalu oraz niekończącym się oczekiwaniem na decyzję króla dotyczącą jego prośby o obniżenie podatków sprawiła, że był pobudzony i zdenerwowany.

Tak więc potajemnie podążył za mademoiselle Calliere i z niedowierzaniem patrzył, jak się rozbiera i w zapraszającej pozycji kładzie się na łóżku. Wtedy było już za późno, ponieważ opuścił go wszelki zdrowy rozsądek. Sytuacja go podnieciła.

Pieprzenie się z kobietą, która w świetle dziennym i przy zdrowym rozsądku uważała go za kogoś innego, było bardzo podniecające. A ujawnienie swej tożsamości po akcie było jeszcze większą podniętą. Jakże mógł przeczuć, że jedna lekkomyślna chwila zniszczy całe jego życie?

Ze zniechęceniem myślał o tym, że w jakimś niewytłumaczalnym przypiływie uczuć u madame Dessante rzeczywiście przyznał, że żadna kobieta nigdy nie sprawiła mu takiej rozkoszy. Robiło mu się strasznie, gdy pomyślał, co ona mogłaby zrobić z tą wiedzą, gdyby rzeczywiście zdecydował się z nią ożenić. Była tak wybuchowa jak ogień bengalski, była dzieckiem, które trzymało w dłoni broń, o której sile rażenia nie miało pojęcia.

Raz udało jej się obnażyć głębię jego duszy i zmieszać ją z błotem, ale drugi raz z pewnością nie nastąpi. Już on się o to postara.

Rozdział 14

Marie bezradnie chodziła po kaplicy tam i z powrotem. Ksiądz siedział w pierwszym rzędzie, przebierał palcami po koralikach różańca, a jego usta bezdźwięcznie się poruszały'. Obok niego siedział adwokat, starszy mężczyzna we wspaniałej peruce, który uznał, że nie warto się przedstawiać.

Nie wiedziała, czy kawaler się zjawi. Nie widziała go od audiencji u króla. Porzuciła pomysł wysłania mu wiadomości. Bała się rozmowy. Dlatego też ustaliła sama ze sobą, że jeśli on się pojawi, to go poślubi. Później będzie wystarczająco dużo czasu na rozmowę. Jeśli się nie zjawi, będzie mogła jedynie spakować swoje rzeczy i opuścić zamek następnego ranka, udając się w kierunku Paryża. W tej chwili nie chciała myśleć, co będzie dalej.

Jej obcasy stuknęły na marmurowej podłodze, dźwięk ten działał jej na nerwy. Mimo to nie potrafiła się przemóc i usiąść w jednej z wyściełanych, drewnianych ław.

Spojrzała na kolorowe witraże. Gdy wchodziła do kaplicy, światło słoneczne rozświetlało wszystkie kolory. Teraz barwy stały się nieostre, a ministrant zaczął zapalać kolejne świece. Nie wiedziała, jak długo ksiądz będzie czekać, ani jak długo sama chodziła po kaplicy.

Skrzypnięcie zdradziło, że drzwi kaplicy zostały otwarte. Marie przestała chodzić, jej wzrok prześlizgnął się wzdłuż środkowego korytarza. Nieświadomie splótła palce.

Kawaler miał na sobie ten sam strój co u madame Dessante. Żadnego kapelusza, żadnej peruki, żadnej szpady, żadnych rękawiczek. Stał krok od niej, smród wódki odebrał Marie dech. Walczyła ze sobą, by się nie wycofać i wypięła pierś. Patrzyła na niego bez słowa.

Nie uklonił się, nie przywitał jej, nie wziął jej ręki. Zamiast tego głosem, który przeciął ciszę w kaplicy, powiedział:

- Miejmy to już za sobą, mademoiselle Calliere.

Słowa się zlewały, skóra ponad jego kośćmi policzkowymi błyszczała, a jego oczy były szklane. On nie był po prostu pijany. On był spity jak bela.

Gdy jej się przyjrzał, jego usta wykrzywiły się drwiąco.

- Zadowolona z tego, co wam wnosi ta transakcja, mademoiselle?

Marie odwróciła się i spojrzała na księdza, który przyczepiał różaniec do pasa. Bez słowa wyszedł z ławki i podszedł do ołtarza. Ministranci przestali zapalać świece i również podeszli do przodu.

Marie nie zapamiętała ceremonii. W którymś momencie z wdzięcznością zauważyła, że już jest po i ksiądz poprosił ich wraz z adwokatem do zakrystii. Postawiła swoje krzyżyki w odpowiednim miejscu i patrzyła, jak kawaler zamaszyście gryzmolił swoje nazwisko na papierze. Potem adwokat podał mu inny dokument.

- Jest to królewski rozkaz dotyczący zwolnienia was i wszystkich następnych pokoleń z podatków, kawalerze de Rossac, tutaj... - kawaler podpisał, podczas gdy adwokat mówił dalej - dodano warunek. Zechciejcie przyjąć go do wiadomości: jeśli madame de Rossac umrze przed swoimi 35 - tymi urodzinami, zwolnienie z podatków zostanie cofnięte.

Marie potrzebowała chwili, by połączyć madame de Rossac ze swoją osobą. Potem pojęła, że król sprawił jej jeszcze jeden prezent. Jej małżonek nie mógł skrycie jej zamordować już podczas nocy poślubnej, nawet jeśli bardzo tego pragnął.

Głowa kawalera podniosła się.

- Mam ją znosić przez szesnaście lat?

Adwokat skinął głową a Marie, poczuwszy nieodpartą chęć wybuchnięcia głośnym śmiechem, odparła:

- O nie, nie tylko musicie mnie znosić przez szesnaście lat. Musicie troszczyć się o to, bym w ciągu następnych szesnastu lat cieszyła się dobrym zdrowiem, kawalerze de Rossac. I chronić me życie swoim życiem.

Spojrzenie, jakie jej rzucił, przegnało resztki wesołości i ścięło jej krew w żyłach.

- Możecie postawić na to swój czarujący tyłeczek, madame - rzucił pióro na stół i nie zaszczycił spojrzeniem ani księdza ani adwokata. - A teraz chodźmy, madame, goście weselni już czekają na nas z niecierpliwością.

- Wesele? - spytała zaskoczona Marie. O tym nie pomyślała. Może wszystko zmieni się na lepsze, skoro kawaler chce świętować ślub w wielkim stylu. - Gdzie odbędzie się przyjęcie?

Oczy kawalera błyszczały.

- Niedaleko stąd. Nie było wprawdzie łatwo znaleźć miejsce odpowiednie dla tego wydarzenia, jednak udało mi się. Chodźcie.

Marie stała jak przygwożdżona. Ogarnęło ją niejasne przeczucie.

- Dokąd idziemy?

- Pozwólcie się zaskoczyć.

Niechętnie poszła za nim przez kaplicę do Drzwi Tytanów, gdzie czekała jego karetka. Kawaler - wciąż wzbraniała się przed traktowaniem go jako swojego małżonka - przytrzymał jej drzwiczki. Podczas jazdy milczał.

Marie wyglądała przez okno. Latarnie przed domami zostały już zapalone i rozświetlały ciemności. Gdy pojazd się zatrzymał, mężczyzna wysiadł przed nią, jednak nie wysilił się, by jej pomóc. Marie złapała się drzwiczek i drugą ręką podwinęła halki, by nie stracić równowagi na malutkim, składanym schodku. Poznała, gdzie się znajduje, dopiero gdy stanęła na trotuarze.

Spojrzała na mężczyznę obok niej.

- Nie - wydyszała - nie, nie... nie możecie tego zrobić.

- Oczywiście, że mogę - złapał ją za przegub dłoni i szarpnął ją ku wejściu do posiadłości madame Dessante.

Nie zważając na to, że się broniła, brutalnie ciągnął ją za sobą i w końcu wepchnął do jakiegoś salonu. Ubrania znajdujących się tam ludzi były w większej mierze zdjęte. Goście sprawiali sobie przyjemność na leżankach, poduszkach i dwóch okrągłych łóżkach. Śmierdziało perfumami, potem i seksem.

Marie patrzyła na splecione ciała, na nogi w pończochach, kołyszące się piersi i owłosione tyłki. W jej uszach rozbrzmiewały jęk i ochryple krzyki wydobywające się z tuzinów gardeł.

Jedyna myśl, jaka przyszła Marie do głowy, to ucieczka. Zawróciła do drzwi, by stwierdzić, że przed nimi, w rozkroku, stanął kawaler. Uśmiechnął się do niej z bardzo złym wyrazem twarzy.

- Więc nie chcecie nawet pozdrowić naszych gości?

Po raz pierwszy w życiu Marie poczuła, co to strach. Jej mąż ma zamiar zostawić ją na pastwę tej zgrai i cieszyć się z jej mąk. Bez litości. Z rozpaczą zaczęła rozglądać się za inną możliwością ucieczki. Nie było drugich drzwi. Trzy okna były zakryte grubymi zasłonami. Zanim dopadnie do któregoś z nich, zostanie złapana. Znajdowała się w pułapce.

- Panie, panowie - nad jej głową rozległ się krzyk kawalera skierowany w tłum. - Jak obiecałem, przyprowadziłem sensację dzisiejszego wieczoru. Gościa honorowego - złapał Marie za ramię i

zaciągnął ją do jednego z dwóch łóżek, na którym właśnie jakaś tęga brunetka w szybkim tempie ujeżdżała jakiegoś mężczyznę. Jego policzki były tak czerwone jak burgundowe narzuty na pościel, a oczy wytrzeszczone.

Kawaler popchnął Marie na łóżko i wyciągnął jej ręce nad głowę. Zanim zdążyła zareagować, zanim w ogóle pojęła, co on ma zamiar zrobić, przykuł jej nadgarstki do słupa, na którym w tym właśnie celu wisiał pierścień ze skręconym, jedwabnym sznurem. Marie krzyczała.

Jej jasny głos przeciął dźwięki komnaty

- Ty potępiony przez Boga psubracie. Co ci przyszło do głowy? Rozwiąż mnie. Natychmiast! - zapiszczała.

- Bez fałszywego wstydu, kochanie. Przecież wiem, jak bardzo pożądasz byle kutasa pomiędzy swymi nogami. A jako twój prawowity małżonek zadbam o to, byś otrzymała swoją przyjemność.

Zsunął się z łóżka i złapał jej halki. Gdy próbowała go skopać, dał znać stojącemu na boku młodziutkiemu chłopakowi w pasiastych pludrach, by podszedł bliżej.

- Trzymaj jej nogę mocno, tak mocno, jak tylko możesz.

Chłopiec posłusznie złapał jej kolano mocno jak imadło, podczas gdy kawaler podniósł jej halki do góry i obnażył jej srom.

- Chodźcie zobaczyć cipkę króla. Teraz należy do mnie, ale dzisiaj jestem bardzo szczodry. Może ją wypróbować każdy, kto ma na to ochotę. Każdy, kto ma na to ochotę, może dzisiaj zostać królem!

Marie ścisnęła palce na linie. Jej bezbronność, obnażone podbrzusze, najdelikatniejsze miejsce wystawione na widok pożądliwych spojrzeń, zredukowały wszystkie jej uczucia do panicznego strachu. Zaczęła szcząkać zębami, na jej czoło wystąpiły krople potu. Słyszała słowa, jednak jej umysł nie chciał ich przetworzyć. Jej mąż wzywał tych ludzi, by ją gwałcili, podczas gdy on sam będzie się temu beczynnemu przypatrywać. Jego ręce zanurzyły się w jej miękkim udzie, gdy przesuwiał jej nogę jeszcze bardziej na bok.

Podeszło do niej trzech mężczyzn, którzy stanęli przed łóżkiem,

- Naprawdę pieprzyła się z królem? - spytał pierwszy i podrapał się po brzuchu.

- Jak często chciał. Od przodu, od tyłu, ujeżdżała go, królewski kutas brał ją na wszelkie sposoby, jakie tylko potraficie sobie wyobrazić - głos kawalera brzmiał tak chłodno, że ramiona Marie

pokryły się gęsią skórką. Jej ostatnie wątpliwości zostały rozwiane. To nie było zainscenizowane przedstawienie, mające na celu zastraszenie jej i upokorzenie. On to uczyni. Pozwoli, by gwałcono ją na jego oczach.

- Jest młoda - powiedział drugi mężczyzna. - Lubię poczuć w dłoniach delikatne ciało.

- Chcę zobaczyć jej piersi, pokażcie mi jej piersi - zażądał trzeci, czule pieszcząc swojego na wpół podniesionego penisa.

Kawaler bez słowa sięgnął do dekoltu Marie i zdarł materiał, aż wylały się jej piersi. - Zadowolony?

Stali teraz tak blisko niej, że mogła zobaczyć kolor ich oczu pod maskami. Fakt, że w komnacie wszyscy nosili maski, wszyscy oprócz niej i kawalera, wzmagał poczucie bezbronności. Czubkiem języka zwilżyła wyschnięte usta i nagle mężczyźni zaczęli się agresywnie uśmiechać.

Po jej udzie przejechała jakaś ręka.

- Ja chcę zacząć - powiedział jeden z mężczyzn. - Ja chcę być pierwszym, który w niej wytryśnie. Ja chcę być pierwszym, który będzie królem.

Marie była u kresu sił. Z jej oczu płynęły łzy, chociaż bardzo starała się je powstrzymać, by kawaler nie triumfował. Jej stawy barkowe bolały tak samo jak jej pachwiny, wciąż brutalnie rozdzielone. Przełknęła ślinę. Jedyne, na co mogła mieć nadzieję to utrata świadomości, zanim mężczyzna zamieni swoje słowa w czyn.

- Nie - wyszeptała i spojrzała błagalnie na kamienną twarz swego męża. - Nie rób mi tego. Wszystko, tylko nie to.

- Czyżbyś prosiła o łaskę? - drwił. - Jestem chłopem, patrzę, jak moje bydło się parzy. Nadszedł czas, żebyś się do tego przyzwyczaiła, moja kochana.

Łóżko za nią poruszyło się i Marie się wykrzywiła. Uklęknął na nim mężczyzna, jego podniesiony członek przeżył się tuż przed jej twarzą. Nie tylko mogła zobaczyć zaschniętą na jego penisie spermę, mogła ją także poczuć. Jej żołądek ścisnął się i z obrzydzeniem zamknęła oczy, jednak natychmiast ponownie je otworzyła, gdy jakaś dłoń grubiańsko objęła jej pierś i uszczypnęła ją we wrażliwy koniuszek.

Mimowolnie wrzasnęła i spróbowała złożyć uda. Nie dała jednak rady, uchwyty mężczyzn były żelazne. - Proszę, kawalerze de Rossac,

błagam was, zakończcie to. Bądźcie bardziej łaskawi niż... - zacięła się, zanim z trudem powiedziała - niż byłam ja.

Wpatrywała się w niego, by nie przeoczyć żadnego ruchu, jednak kamienny wyraz twarzy nie zdradzał niczego. Marie nigdy już nie miała się dowiedzieć, czy jej błaganie poruszyło go na tyle, by przerwał to wszystko, ponieważ nagle rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, a zaraz po nim głucho uderzenie, gdy na dywanie wylądował kamień wielkości pięści. Dwie kobiety głośno krzyknęły.

Po nim wleciały następne kamienie, podłoga była pokryta odłamkami szkła. Na zewnątrz było słychać głośne krzyki, skierowane do wnętrza komnaty.

- Dziwkarska hołota, wynoście się, tutaj mieszkają porządni obywatele! Świntuszcie sobie w zamku lub w Paryżu, my was tutaj nie potrzebujemy!

Ludzie w komnacie zaczęli bezładnie biegać niczym kury, do kurnika których dostał się lis. Gorączkowo szukali swej odzieży. Rozlegały się krzyki bólu, gdy odłamki szkła wbijały się w nagie podeszwy stóp.

Rozszerzonymi ze strachu oczami Marie patrzyła na okna. Jej koszmar osiągnął nowy poziom. Gdy oburzony tłum szykował się do szturm na dom, pociski zerwały już zasłony.

Wszyscy, którzy mieli na ciele więcej niż jedną część garderoby, podbiegli do drzwi salonu i otworzyli je. Jednak nie uszli daleko, skandujące głosy dowodziły, że intruzi zdążyli już zaatakować drzwi frontowe i zaganiali gości madame Dessant, by uniemożliwić im ucieczkę.

Mężczyźni, którzy stali przed Marie, już dawno skoczyli na równe nogi, by uciec. Zniknął również chłopak, który trzymał jej nogę. A także kawaler.

Marie ścisnęła uda. Udało jej się uniknąć jednego zagrożenia tylko po to, by znaleźć się w drugim, o wiele gorszym, Mężczyźni, których ożywione głosy słyszała w domu, nie zadowolą się zgwałceniem jej. Oni ją zabijają.

Rozpaczliwie szarpała kajdany, nie mogąc ich poluzować ani o jotę. W międzyczasie intruzi całkowicie pozrywali zasłony i wtargnęli do środka. Ku zdziwieniu Marie nie byli to mężczyźni, lecz cztery kobiety, które stanęły przed nią z widłami i cepami w dłoniach. Pojawiła się iskierka nadziei.

- Proszę, pomóżcie mi. Przywiązano mnie tutaj wbrew mej woli, nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. Proszę, rozwiążcie mnie - znowu błagała.

Jedna z kobiet podeszła bliżej. Tak jak inne miała na sobie proste ubranie i czepek na głowie, mogła mieć równie dobrze trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat.

- Wierzę ci na słowo, mała - powiedziała kpiąco i potarła materiał jej sukienki. - Jesteś jedną z nich, rozkoszujesz się zwyrodniałymi gierkami.

- Nie, nie jestem taka, proszę... pomóżcie mi... jestem jedną z was, uwierzcie mi - Marie z rozpaczą szarpała kajdany.

- Ta nam nie ucieknie, chodźcie, poszukamy Claude'a, może potrzebuje wsparcia przy dawaniu tym świniom nauzki.

Reszta kobiet przytaknęła. Przeszły przez salon, uderzając przy tym cepami w meble i obrazy, tłukąc wazony i lustra oraz rozpruwając nakrycia leżanek widłami. Gdy wszystko zniszczyły, wybiegły z salonu.

Marie drżała. Konieczność oglądania bezsensownego aktu zniszczenia, czystej przemocy, zdradzającej skumulowaną nienawiść wraz z groźbą, że powrócą, zamieniły ją w drżący kłębek nerwów. Gdy wróca, wbijają w nią widły.

Z zamkniętymi oczami, zrezygnowana, opuściła głowę do tyłu na zdrętwiałe ramiona. Jej los był przesądzony.

Ktoś złapał ją za nadgarstki, chwilę później ból w ramionach ustał i kajdany spadły na ziemię. Oszołomiona otworzyła oczy. Obok niej stał kawaler.

W rękę trzymał nóż, jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Nie musicie mi dziękować, wasza śmierć mi nie wystarczy. Chcę, żeby wasze życie zmieniło się w niekończący się ból. Mam na to szesnaście lat i nie zmarnuję żadnego dnia - jego czysty głos zdradzał, że alkohol już wyparował z jego umysłu.

Marie patrzyła na niego. Była zbyt wycieńczona, by odpowiedzieć. Powoli poruszała ramionami i pocierała nadgarstki. Jej wzrok padł na przymknięte, tajne drzwi. Kawaler pewnie się tam ukrył.

- Jeśli nie chcecie zmarnować ani jednego dnia, to musimy opuścić to gościnne miejsce - powiedziała zmęczona. Strach pozbawił ją wszelkich innych doznań.

- Za ukrytym pokojem jest wejście dla służących, może tamtędy uda nam się uciec - nie wysilił się, by pomóc jej wstać czy wygładzić sukienkę.

- Co tylko zaproponujecie, kawalerze - na sztywnych nogach podążyła za nim do izby z wizjerami i zauważyła, że zaryglował za nimi drzwi. Za pomocą szpilki do włosów prowizorycznie spięła rozerwany przód sukienki.

Rzeczywiście z pomieszczenia prowadziły drzwi do korytarza, który z jednej strony łączył się z tylnym wejściem. Niezauważeni wydostali się na zewnątrz, wydarzenia w domu przeniosły się na piętro. Marie jeszcze na ulicy słyszała krzyki i odgłosy roztrzaskiwanego drewna i szkła. Nie chciała myśleć, co dzieje się z gośćmi domu madame Dessante. I nie miała najmniejszej ochoty, by temu zapobiec.

Rozdział 15

Fanette oczekiwała Marie w komnacie księżnej de Demiant. Siedziała na jednej ze skrzyń, w której spakowany został cały dobytek na jutrzejszy wyjazd. Gdy ujrzała Marie, złapała się za głowę.

- Madame, co się stało? Jesteście ranne? - zawołała z przerażeniem.

- Nie, Fanette, wszystko dobrze. Chcę się tylko położyć spać - odparła Marie ze zmęczeniem i padła na łóżko. Pokojówka pomogła się jej rozebrać, rozczesała jej włosy i napełniła wodą miskę do mycia.

Podczas gdy Marie się myła, Fanette stała obok z ręcznikiem i przygryzała dolną wargę. W końcu nabrała odwagi.

- Madame, proszę was, weźcie mnie ze sobą. Marie znieruchomiała.

- Fanette, nie wiem, co przyniesie przyszłość. Tutaj, w Wersalu, z pewnością będzie ci lepiej. Na pewno znajdziesz kogoś, kto cię zatrudni. Nie mam już pieniędzy, we wszystkim, co uczynię, jestem zdana na kawalera de Rossaca.

- To nic, madame. Oszczędziłam trochę. Nie chcę tutaj zostawać, nie czuję się dobrze w Wersalu. Proszę, weźcie mnie ze sobą - spojrzała na Marie szczerym wzrokiem. - Być może byłoby dla was lepiej, gdybyście pośród obcych osób miały kogoś zaufanego.

O tym Marie jeszcze nie myślała. Odsunęła od siebie wszystko, co miało nastąpić po ślubie. Teraz jednak musiała stawić czoło rzeczywistości, a rzeczywistość kazała przypuszczać, że Fanette mogła mieć rację. Potrzebowała kogoś, kto będzie stał po jej stronie, gdy znajdzie się na ziemiach kawalera. Nawet jeśli nie mógł poderżnąć jej gardła, jego słowa nie pozostawiały wątpliwości, że ma zamiar urządzić jej piekło na ziemi.

Spontanicznie objęła Fanette.

- Jeśli mimo wszystko chcesz jechać ze mną, to oczywiście bardzo się z tego cieszę. Na pewno będzie mi łatwiej, jeśli zaczynając nowe życie, będę miała u swego boku zaufaną twarz.

W karecie było gorąco i duszno, a gdy oddalali się od Paryża, drogi z każdą milą stawały się coraz gorsze. Marie i Fanette siedziały w pojeździe, podczas gdy kawaler wołał powozić. Bez wątplenia było mu w ten sposób wygodniej, pomyślała Marie z niezadowoleniem, gdy po raz kolejny zrobili postój, by zmienić konie, a obie kobiety wykorzystały sposobność i rozruszały zeszywniałe mięśnie.

W zasadzie ignorowała kawalera. Jeśli nie dało się uniknąć rozmowy, na przykład podczas kolacji czy przy śniadaniu, wymieniał z nią jedynie najpotrzebniejsze informacje. Bądź co bądź nie czynił żadnych wyrzutów, gdy mu powiedziała, że Fanette jedzie z nią jako jej pokojówka.

W gospodach zamawiał zawsze dwa pokoje i nie próbował się do niej zbliżyć tak jak czynił to wcześniej.

Marie ulżyło z tego powodu, cieszył ją również fakt, że Fanette zaakceptowała rzeczy takimi, jakimi były i nie zadawała zbyt wielu pytań.

Gdy po niemal niekończącej się podróży karetą wreszcie zatrzymała się przed dwupiętrowym, kamiennym budynkiem, Marie wysiadła ciekawa, by obejrzeć swój nowy dom.

Zasklepione przejście prowadziło do patio, z którego po pięciu stopniach wchodziło się przez drzwi wejściowe. Pośrodku placu znajdowała się fontanna, dookoła której stało kilka drewnianych wiader. Marie oparła się o brzeg fontanny i rozejrzała dookoła.

Niektóre dachówki były innego koloru, co wskazywało na to, że dach był częściowo remontowany. Tak samo niektóre okiennice połyskiwały świeżą zielenią.

Kawaler przeszedł przez plac długimi krokami. Wciąż miał na sobie strój jeździecki, a więc prawdopodobnie zaprowadził właśnie swego konia do stajni. Nie zaszczycił Marie nawet jednym spojrzeniem. Poszła za nim do drzwi wejściowych, których prawe skrzydło było otwarte.

Wewnątrz panował przyjemny chłód. Pod jej stopami trzeszczały deski sieni, poza tym panowała cisza. Marie szła dalej. Doszła do dużego pomieszczenia z wysokimi, szklanymi drzwiami skrzydłowymi, prowadzącymi na taras, przez które rozpościerał się widok na okolicę.

Nieliczne meble nosiły ślady użytkowania i były tak samo brudne jak wyblakły dywan. Gdzie nie spojrzeć, kurz leżał grubą, szarą warstwą. Bez wątplenia z każdego kąta wyzierał brak pieniędzy.

Stanęła przed drzwiami na taras. Dom znajdował się na wzgórzu, widać było z niego miękkie pagórki i nieskończone równiny, na których niczym palce wskazujące wznosiły się cyprysy. Gdzieś w oddali widać było pojedyncze domy, a w oddali połyskiwała wstęga jakiegoś potoku.

Oddychała głęboko. Idylliczny obrazek w najmniejszym stopniu jej nie uspokoił. Tutaj ma spędzić resztę życia. W ciągu pół roku znikąd zjawiała się w Wersalu, cieszyła się łaską króla i w końcu ponownie wszystko straciła. Do oczu napłynęły jej łzy. Jej marzenia prysły niczym bańka mydlana. Ani nie została maitresse royale en titre (maitresse royale en titre - królewska kochanka - przyp. tłum.), ani nie otrzymała tytułów czy posiadłości. Poza tym nie miała możliwości odkładania pieniędzy na zabezpieczenie przyszłości ani nawiązania ważnych kontaktów osobistych, które wyciągnęłyby ją z opresji.

Mogła o tym rozmyślać na wszystkie sposoby, jak tylko chciała. To tutaj było wszystkim, co jej pozostało, czy jej się to podobało, czy nie. Drżącymi rękami otarła łzy i ze zdecydowaniem wyprostowała plecy. Nie będzie już płakać. Nie będzie lamentować. Z tego, co oferował jej los, wydobędzie to, co najlepsze.

Marie odwróciła się i zaczęła zwiedzać pozostałe pomieszczenia. W nich także meble były staromodne i zniszczone, bez ozdobnych serwetek i innych bezużytecznych dekoracji. Nie do przeoczenia był brak kobiecej ręki.

W jednym z pokoi wisiały obrazy przedstawiające twarze surowo spoglądającego mężczyzny oraz znacznie młodszej i znacznie bardziej przyjaznej kobiety. Czy byli to rodzice kawalera?

Usłyszała głosy i poszła w ich kierunku.

- Czyli to oznacza, że podczas mojej nieobecności nie zrobiłeś nic z tego, co ci poleciłem?

- Ceglarz oświadczył, że dostarczy nam cegły dopiero wtedy, gdy spłacimy długi. W jaki sposób mam go przekonać, żeby uczynił coś wprost przeciwnego?

Mężczyzna, który odpowiadał z takim spokojem, siedział przy stole, nalał sobie do szklanki cieczy ze stojącej przed nim butelki i beztrąsko odwzajemniał złe spojrzenie kawalera opartego o kominek naprzeciwno.

- Ponieważ wykonałeś swoje zadanie, nie musimy już w przyszłości martwić się takimi przeciwnościami - dodał i spojrzał na Marie. - Nie przedstawisz nam naszego gościa?

Kawaler podążył za jego wzrokiem. Nie zmieniając pozycji ani tonu głosu, powiedział:

- To jest moja... - przerwał - to jest nowa madame de Rossac. Marie, mój brat Troy.

Skinęła głową, jednak mężczyzna wstał, podszedł do niej i w znaczący sposób podniósł jej dłoń do ust. Podobieństwo do brata było uderzające, jednak jego rysy zdawały się być bardziej miękkie, a jego oczy były koloru chłodnego, listopadowego nieba.

- Witam serdecznie w Mimosie, szanowna bratowo. Jestem wam bardzo wdzięczny, że przywróciście temu domowi jego dawną świetność.

Marie wyczuła wino w jego oddechu i odrobinę się cofnęła.

- Dziękuję, szwagrze, za wasze powitanie. Jeśli chodzi o resztę... zakładam, że wasz brat wszystko wam wyjaśni.

Troy podniósł brwi.

- A cóż miałyby być do wyjaśnienia? Wasz posag sprawi, że nasz dom, który w przyszłości będzie także wasz, będzie tym, czym był dawniej.

Marie odwróciła się, by nie reagować na jego słowa.

- Gdzie będę mieszkała?

- Wystarczająco dużo pokoi stoi wolnych, wybierzcie sobie taki, który się wam spodoba. Ja muszę sprawdzić, czy w piwnicach wszystko w porządku - odpowiedział jej mążonek i zwrócił się do swego brata. - Oprowadź ją.

Troy patrzył to na jedno, to na drugie.

- Co tylko sobie życzysz, Tris - nie wysilił się, by ukryć sarkazm w swoim głosie. - Chodźcie, bratowo, czy w przyszłości mogę cię nazywać Marie?

- Oczywiście - złapała za oferowane ramię i opuściła pomieszczenie. Fanette, która czekała z dużą walizką w salonie, także się do nich przyłączyła. Rzeczywiście dom był tak duży, że bez problemu można było się w nim zgubić. Marie zdecydowała się w końcu na amfiladę składającą się z dwóch pokoi, których okna wychodziły na łagodne wzgórza.

Razem z Fanette odsłoniły przykryte materiałami meble. W skrzyniach znalazły bieliznę pościelową. Gdy już powlekły pościel, Troy wraz z parobkiem wnieśli do pokoju ich bagaże podróżne.

- To jest Nicolas, również tu mieszka. Poza nim w Mimosie mieszka jeszcze trzech parobków. Z Lassieux codziennie przybywa kucharka, ale z reguły zostaje tutaj tylko do południa. Wieczorem jemy zimne dania. Kolacje są znacznie wcześniej niż jadałyście w Wersalu.

- Będzie mi to odpowiadać - w tym momencie Marie chciała jedynie pozbyć się przeпоconych ubrań i ciasnego gorsetu.

- Dobrze. Widzimy się więc o wpół do ósmej.

Fanette oparła ręce na biodrach i stanęła przed oknami. - Trzeba zdjąć zasłony. Są zakurzone i założę się, że spadną, jeśli je zaciągnę. To dobry dom, tyle że zupełnie zaniedbany.

- Jutro, Fanette. - Marie zaczęła rozpinąć guziki sukienki. - Należy również wyszorować podłogi, a dywany solidnie wytrzepać. Ale to jutro. Teraz przynieś mi wodę, chcę się umyć. - Po prostu zbyt często się myjcie, madame. Wybaczcie mi moją szczerоść, ale to nie może być dobre dla waszej delikatnej skóry - nadmieniła Fanette, pogardliwie marszcząc nos. - Mam nadzieję, że się nie rozchorujecie. Znaleźć tutaj doktora...

- Pozostaw to mnie - nie chciała dyskusji, bardzo dobrze znała zarzuty Fanette. - Chciałabym, żebyś zajęła pokój obok.

- Ten... ten... z łóżem z baldachimem? - wyjąkała oszołomiona dziewczyna. - Ale przecież to nie jest pokój dla służby.

- Nieważne. W ten sposób zawsze będziesz na miejscu, kiedy będę cię potrzebować. A wnioskując z tego, co widziałyśmy, trzy czwarte tego domu stoi puste. Jeśli ktoś będzie miał obiekcje, wyjaśnię to. Nie martw się o to.

- Dziękuję, madame, dziękuję wam z całego serca.

- Już dobrze. A teraz przynieś mi wodę.

Tris pochylił się nad szyją konia, gdy długim skokiem pokonał żywopłot oddzielający jego ziemię od ziemi hrabiego du Plessis - Fertoc.

Spotkanie jak zwykle pijanego Troya i przyłapanie go na tym, że - jak zwykle - nie dopilnował spraw, nie poprawiło mu humoru. Poza tym liczył na to, iż Marie, gdy zobaczy swój nowy dom, wpadnie w histerię i ucieknie, gdzie pieprz rośnie. Z rozmowy z Troyem wynikało jednak, że - o dziwo - nic takiego się nie stało. Mimo wszystko nie miał najmniejszej ochoty usiąść z nią i swoim bratem przy stole.

Poza tym tęsknił do Ghislaine. I to bardziej, niż mógłby się spodziewać. Rzucił lokajowi cugle i przeskakując po dwa stopnie na raz, pospieszył po schodach do zamku. - Gdzie znajdę hrabinę? - spytał ochmistra, który oczekiwał go przy drzwiach. - Chcę sprawić jej niespodziankę, nie zapowiadaj mnie.

- Bardzo dobrze, kawalerze de Rossac. Hrabina znajduje się w swoich komnatach.

- Dziękuję, Lefevre - znał drogę już od sześciu lat, tak samo długo znał również sztywne zwyczaje mężczyzny, na którego twarzy nie zobaczył nigdy nawet cienia uśmiechu.

Stojąc przed drzwiami Ghislaine, jeszcze raz przejechał dłonią po włosach, następnie nacisnął klamkę i bezszelestnie wszedł do komnaty. Siedziała przy małym sekretarzyku i coś pisała. Z gracją przechyliła głowę na bok, złotobrazowe włosy spływały miękkimi falami po jej plecach. Miała na sobie jasnożółty, uszyty z najcieńszej koronki szlafrok i, jak miał nadzieję, pod spodem jedynie cienką koszulę nocną. Patrzył na nią bez ruchu, oczarowany niezwykłą perfekcją jej wyglądu, prawie pożałował chwili, w której spojrzała w górę i go zobaczyła. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, rosnący z sekundy na sekundę.

- Tris! - podskoczyła, wypuściła pióro i podbiegła do niego, by rzucić mu się w ramiona. Wyszedł do niej, zakręcił nią w kółko i w końcu postawił ją na podłodze. - Tęskniłam za tobą - powiedziała bez tchu i otoczyła rękami jego szyję.

Schylił się do niej i przycisnął swoje usta do jej ust, które natychmiast się otworzyły. Ogarnęło go przyjemne uczucie i poczuł, jak opuszcza go napięcie.

Tutaj odnalazł powitanie, którego brakowało mu w Mimosie. Usta Ghislaine miały bliski smak powrotu do domu, ojczyzny, tęsknoty i pożądania.

Pogłębił pocałunek i podniósł ją przy tym. Jej palce przeczesywały jego włosy, podczas gdy jej mały język zgrabnie tańczył z jego ustach, rozniecając w nim namiętność tak długo, aż stanął w płomieniach. Z jękiem podniósł głowę.

- Ja także za tobą tęskniłem. Czujesz, jak bardzo?

Oparła ręce na jego ramionach i spojrzała na niego szelmowsko.

- Byłabym przerażona, gdybym tego nie czuła, mon cher. Jednak masz na sobie zdecydowanie zbyt dużo.

- Tej niedogodności można zaradzić - postawił ją na podłodze i zaczął zdejmować ubranie. Ghislaine przyglądała mu się, a nietajone pożądanie na jej twarzy jeszcze bardziej wzmagało jego pożądanie. Gdy zdejmował spodnie, gładziła go po ramionach i plecach.

- Uwielbiam cię dotykać - wymruczała przytłumionym głosem. - Jesteś taki miły w dotyku. Twoja skóra, twoje mięśnie, jesteś piękny jak posąg.

Zaśmiał się ochryple.

- Mam nadzieję, że jestem bardziej żywy.

- Och tak - wymruczała. - O wiele bardziej żywy - zdjęła koronkowy szlafrok i upuściła go na podłogę. Pod nim znajdowała się prosta, biała koszula nocna z cienkiego płótna, zapinana na niezliczone guziczki z masy perłowej. - Nie wiedziałam, że przyjdiesz - dodała przepraszająco.

- Kocham wyzwania - odpowiedział tylko i zaczął odpinać guziki. Jej dłoń głaskała jego biodra i dotarła do jego naprężonego członka. Pocierała kciukiem główkę, tak jak lubił, następnie przesunęła rękę do jąder, które delikatnie pieściła, aż odciągnął jej rękę gwałtownym ruchem. - Nie jesteś jeszcze naga, ale jeśli nie przestaniesz, dojdę w twojej dłoni.

- To byłoby coś nowego, Tris - rzuciła mu przeciągłe spojrzenie i dodała sucho - rozerwij tę szmatę. - Nie, to byłoby oszustwo - w końcu odpiął guziki aż do pępka, jednak zamiast ściągnąć koszulę przez ramiona w dół, sięgnął pod materiał i objął jej pierś.

Gdy zaczął pieścić wrażliwy koniuszek, złapała ostro powietrze, a przez jej ciało przebiegł dreszcz. Wiedział, w jaki sposób wzmóc jej pożądanie, wiedział, jakie czułości sprawiały jej największą rozkosz, tak samo jak ona знаła wszystkie miejsca na jego ciele, których pieszczenie wywoływało u niego dreszcze przyjemności.

Wciąż pieszcząc jej pierś, ponownie się do niej przechylił i złapał jej dolną wargę zębami. Wbiła paznokcie w jego ramiona, a jej głowa opadła do tyłu.

- Chodź - wymruczała ochryple. - Nie chcę już czekać. Mamy całą noc, teraz chcę cię we mnie poczuć, tak dawno...

Bez słowa ściągnął z niej koszulę nocną, spojrzał z podziwem na jej ciało i podniósł ją. Przytuliła się do niego i pociągnęła go za sobą, gdy kładła się na łóżku.

Przeniósł ciężar swojego ciała na łokcie i spojrzał jej w twarz, delikatnie w nią wchodząc. Jej dłonie leżały płasko na jego piersi, otworzyła usta.

- Och, mój Boże, ależ dobrze.

Jej chrapliwy głos przepłynął przez niego i sprawił, że zawrzała w nim krew. Zanurzył się w niej aż do końca, przez chwilę pozostał w bezruchu, by rozkoszować się aksamitnością jej pochwy. Wycofał się i znowu pchnął. Jej ciało wygięło się do niego, pełne chęci dawania i brania rozkoszy. Słyszał swoje własne dyszenie, wszystko zniknęło pod purpurową mgłą.

Nie istniało nic poza jedną myślą: w końcu znaleźć spełnienie. Opuścił głowę na oślep, gorącymi ustami przemierzał jej piersi, aż pomiędzy wargami poczuł twardy koniec i zaczął go ssać. Doszła krzyząc, skurczyła się dookoła niego i wywołała w ten sposób jego orgazm.

Leżał na niej całym swoim ciężarem, a ona nie protestowała, lecz trzymała go rękami i nogami. Złożyła głowę na jego ramieniu, jej usta całowały jego wilgotną skórę.

Przed sześcioma laty jego zainteresowanie stało się mile widzianym urozmaiceniem jednostajnego rozkładu dnia. Najpierw widziała w nim młodego, porywczego zuchwalca i śmiała się z jego awansów. Był w końcu o dziesięć lat młodszy od niej. Następnie igranie z ogniem ją podnieciło. Myśl o uwiedzeniu młodocianego zapaleńca zaczęła ją fascynować. To, że to nie ona jego, a on uwiódł ją, stało się dla niej jasne dopiero dużo później.

W pierwszym okresie spotykali się prawie codziennie, po kryjomu, jednak wkrótce zaczął ją regularnie odwiedzać w zamku Plesiss - Fertoc. Z upływem lat miała wprawdzie kilku kochanków, żaden jednak nie rozpałał jej wszystkich zmysłów w takim stopniu co Tris. Wystarczyło, że o nim pomyślała i już czuła się pełna życia. Smutek towarzyszący jej od ślubu z Jacquesem ulotnił się, czuła niemal niezaspokojoną radość istnienia. Zaczęła dbać o swój wygląd, znowu chodziła na przyjęcia i odnowiła kontakty z bratem.

Nie miała wyrzutów sumienia wobec swego męża Jacquesa. Nic mu nie zabierała, wręcz przeciwnie, cieszył się, jeśli miała dobry humor i żartowała z nim, zamiast wciąż gderać i ignorować go. Tris również nie żywił do niego negatywnych uczuć, tak jak Henri.

Chłopak traktował go z dobroduszną, ojcowską pobłażliwością powiernika, grał z nim w karty albo wyjeżdżał z nim konno. Gdy to przemyślała, uświadomiła sobie, że był to jeden z powodów, dla których ceniła Trisa nie tylko jako kochanka, ale także jako przyjaciela.

- Ghislaine - szepnął jej do ucha - moja wspaniała Ghislaine. Jak to cudownie znowu być u ciebie.

Nie wypuszczając jej, przeturlał się na bok i odgarnął jej włosy, by widzieć twarz. Odwzajemniła jego spojrzenie, w jej oczach widać było odrobinę melancholii.

- Będzie tak jak wcześniej, czy jest to wizyta pożegnalna? Henri napisał mi, że spełniłeś zamiar i przywiozłeś ze sobą żonę - dodała, gdy podniósł brwi.

Tris zadał sobie pytanie, co Henri jeszcze jej napisał.

- Nie myśl o tym, mój aniele, jak długo jestem tutaj mile widziany, nic się między nami nie zmieni - odparł uspokajająco i z nadzieją, że zakończy ten temat. Ghislaine jednak nie myślała o zachowaniu dyskretnego milczenia i zamiast tego drążyła dalej - jaka jest?

- Młoda, blondynka, bardzo pewna siebie - już podczas wymawiania tych słów wiedział, że popełnił błąd.

- Jak bardzo młoda? - spytała Ghislaine błyskawicznie.

Odwrócił się.

- Zbyt młoda.

Bursztynowe oczy kobiety wpatrywały się w jego oczy.

- Dziewiętnaście - wymruczał.

Ghislaine opadła na plecy i zamknęła oczy.

- Madame de Rossac jest więc prawie o połowę młodsza ode mnie.

- I nawet nie w połowie tak uwodzicielska jak ty - Tris pospieszył z zapewnieniem. - Jest głuptasem, zmanierowanym tumanem i nie ma w sobie niczego, co mogłoby mnie powstrzymać przed dalszymi spotkaniami z tobą - dodał szybko i przegonił wspomnienie o wilgotnej szparce Marie, która objęła go niczym gorąca, jedwabna rękawiczka. - W całym Wersalu nie znalazłem kobiety, która dorastałaby ci do pięt pod względem uroku i urody.

Żadnej, której oczy by tak błyszczały i której śmiech by sprawiał, że moje serce by szybciej biło.

- Pochlebca - odparła Ghislaine sucho i otworzyła oczy. - Jednak odkąd się dowiedziałam, że pojechałeś z Henrim, by znaleźć sobie żonę, która uchroni Mimosę przed zagładą, nie wypada mi gderać. Dopóki pozostaną mi noce takie jak dzisiaj, nie chcę zwracać uwagi na to, co wyprawiasz w swoim domu.

- Ulżyło mi - Tris wziął jej dłoń i pocałował jej wewnętrzną stronę. Ostatnie, czego sobie życzył, było psucie sobie humoru myśleniem o Marie. Nie mówiąc już o rozmawianiu o niej z Ghislaine.

Ghislaine przejechała ręką po jego policzku aż do karku i przyciągnęła go do siebie.

- Mam tylko nadzieję, że nie ulżyło ci za bardzo.

Rozdział 16

Marie obudziła się z potwornym bólem głowy. Podczas kolacji wypła sporo wina, nie zważając na to, że było ono znacznie mocniejsze niż słodkie, rozcieńczone winko serwowane w Wersalu. Współwinnym jej zbyt dużego spożycia wina był z całą pewnością kawaler.

Na jej pytanie, dlaczego nie jadł z nimi kolacji, jego brat wzruszył jedynie ramionami i wymamrotał coś o odwiedzinach u starych przyjaciół. Gdy to jej nie wystarczyło, wymienił nazwisko du Plessis - Fertoc. Marie po rozważaniach wpadła na pomysł, że prawdopodobnie musiało chodzić o siostrę księcia de Mariasse.

Wrażenie, jakie jego zachowanie wywarło na jego bracie i siedzących przy stole parobkach, było jasne. Podważał jej pozycję pani domu, jeszcze zanim zaczęła pełnić tę funkcję na dobre. Powstrzymała się od uwag na ten temat, rozmawiała z Troyem i osobami siedzącymi przy stole, jak gdyby nic się nie stało. Odbiła to sobie, wypijając więcej wina niż powinna.

Nieważne. Zdjęła nogi z łóżka, zignorowała ból oraz następujący zawrót głowy i wstała. Otuliła się szlafrokiem i przemknęła do pokoju obok, w którym zastała Fanette.

- Potrzebuję twojej pomocy przy ubieraniu, potem chcę się tutaj jeszcze raz rozejrzeć. - Oczywiście, madame - Fanette wrzuciła ścierkę do wiadra i wytarła ręce. - Monsieur Troy wyjechał wraz z parobkami w kierunku drzew brzoskwiniowych. Poza kucharką nie ma nikogo w domu.

Marie wybrała ze skrzyni najprostszą suknię, mimo to wciąż czuła, że jej ubranie jest nieodpowiednie. Jasny jedwab będzie całkiem brudny po kilku godzinach. Poza kostiumem posiadała jedynie zwiewne, bogato zdobione szaty odpowiednie na wersalski dwór, w których nie można było robić nic innego oprócz próżnego zadzierania nosa.

Zeszła z Fanette na dół do kuchni. W ogromnym pomieszczeniu można było gotować dla tuzinów zgłodniałych gęb - znajdowały się tam dwa paleniska, ogromna liczba garnków, patelni i innych przyborów kuchennych. Kobieta, która kroila buraki na blacie, wyglądała na trochę zagubioną. Gdy Marie podeszła bliżej, kucharka spojrzała na nią. Miała około pięćdziesięciu lat. Spod czepka wystawało jej ciemne pasemko przetykane siwymi włosami.

- Jestem Marie... de Rossac - przedstawiła się dziewczyna. -
Później omówimy kolejność dań. Jak masz na imię?

Kobieta wytrzeszczyła na nią oczy.

- Kolejności dań? - spytała, nie rozumiejąc. - Gotuję dla
mężczyzn z tego, co akurat jest. Nie wiem, co mogłybyśmy przy tym
omawiać. Nazywam się Suzanne Brunet - zmarszczyła czoło. - Czy
jesteście żoną, którą monsieur Tristan przywiózł z Wersalu?

Marie skinęła głową i kucharka odłożyła nóż. Taksującym
wzrokiem spojrzała na jasną, jedwabną suknię.

- Madame Rossac, tutaj życie wygląda inaczej niż to, do którego
jesteście przyzwyczajone. Pracujemy razem i jemy razem. Nie ma
między nami żadnych różnic, a przynajmniej nie ma tych, które
znacie. - Jak mam to rozumieć? - Marie splotła ramiona.

- Mówiąc krótko, my tutaj nie jesteśmy przyzwyczajeni do
wykonywania rozkazów. Jeśli chcecie to zmienić, musicie rozejrzeć się
za innymi ludźmi.

Marie minęła kucharkę, nie odpowiadając jej.

- Czy to jest spiżarnia?

- Tak - odpowiedziała kobieta z nieufnością. - Jest najlepsza, jaka
może być.

- Nie wątpię w to. Chcę wziąć sobie trochę mleka, to wszystko,
Suzanne - powiedziała dziewczyna i zestawiała z półki gliniany
dzbanek. - O której będzie gotowy obiad?

- Jemy o pierwszej. Jak zwykle.

- Dobrze. W międzyczasie rozejrzę się po domu. Zaczęła od
salonu, którego drzwi wychodziły na taras.

- Jak myślisz, kto tu sprząta, jeśli jedyną kobietą jest kucharka?

- Przypuszczalnie któryś z parobków. Tak to wygląda -
odpowiedziała Fanette ze zmarszczonym nosem.

- Podłogę należy zamieść i wyszorować. Zastony należy wyprać
albo wymienić. Znalazłyśmy tyle poszewek na pościel, muszą też być
inne skrzynie z innymi materiałami. Być może mogłybyśmy poszukać
na wsi jakiejś pokojówki.

Marie wyobraziła sobie reakcję kawalera na takie wymagania.

- Wątpię. Będziemy musiały same się za to zabrać.

- Ale madame... - zająknęła się zmieszana Fanette.

- Przecież nie możecie...

- Słyszałaś słowa Suzanne. Nie jesteśmy w Wersalu, a im szybciej przyzwyczaimy się do tej myśli, tym lepiej - nie miała najmniejszej ochoty opowiadać kucharce ani Fanette, że większość swego życia spędziła na pracy takiej jak ta. Przynajmniej niech te dwie wierzą, że mają do czynienia z damą z urodzenia.

Do obiadu sprzątnęły w salonie na tyle, na ile było to możliwe. O ich staraniach świadczyły świeże zasłony i poszewki poduszek na sofie oraz lśniące od polerowania meble. Na popołudnie zaplanowały wynieść na zewnątrz dywan i wyszorować podłogę.

Marie nie miała czasu na zmianę sukienki, która w międzyczasie zabrudziła się i podarła. Dlatego z ulgą zauważyła, że mężczyźni siedzieli przy stole w ubraniach roboczych.

Jej męża nie było tak jak podczas kolacji. Marie usiadła naprzeciwko Troya. Podał jej miskę z jednogarnkowym daniem warzywnym.

- Tego roku brzoskwinie dojrzały późno, są za to większe i słodsze. To oznacza większe pieniądze. Tris będzie zadowolony

Marie napełniła talerz i podała miskę Fanette.

- Naprawdę? Czyli poza pielęgnowaniem stosunków z sąsiadami coś go jednak interesuje? - jej głos brzmiał płaczliwie nawet w jej własnych uszach.

Troy spojrział na nią znad brzegu szklanki.

- Jego życiem jest Mimoza. Gdyby tak nie było, nie byłoby was tutaj.

Marie zdecydowała się zachować milczenie. Nie miała ochoty ani na wymianę zdań, ani na dyskusowanie o życiu Trisa de Rossaca. Rozcieńczyła sobie wino i zadowolona się przysłuchiwała rozmowie, a następnie razem z Fanette zabrała się do pracy.

Gdy nareszcie udało im się skończyć, starła ręką pot z czoła i z zadowoleniem przyglądała się swemu dziełu.

Pomieszczenie było nie tylko czyste, lecz także bardzo przytulne. Okucia mebli błyszcząły tak samo jak świeczniki na ścianach. Fanette znalazła przepiękne porcelanowe wazy, a Marie zerwała przed domem polne kwiaty, które królowały teraz na stole i kredensie.

Za to jej suknia podarła się i zamieniła w lepkie od brudu łachmany, które można było już tylko wyrzucić. Przebrała się w swoich komnatach, umyła się w misce tak dokładnie, jak tylko się dało i spośród głęboko sznurowanych sukien wybrała taką z czerwono

- różowej satyny, obficie zdobionej wstążkami, falbankami i małymi kwiatkami róży.

Nie pasowała ona wprawdzie do tego otoczenia, jednak Marie dobrze się w niej czuła po wytężonym dniu pracy, poza tym ucieszyła się z pełnych podziwu spojrzeń Nicolasa, gdy schodzili razem na dół. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła szukać Troya, którego ponownie znalazła w sali z kominkiem. Tym razem nie był sam, świadczyły o tym gniewne głosy dochodzące z pokoju.

- Znalazłem zamówienia na cztery tuziny skrzynek wina. Uznałeś, że nie warto się o to zatroszczyć? A może bałeś się, że nie wystarczy dla ciebie?

Tristan de Rossac stanął nad bratem, w ręce trzymał kilka gęsto zapisanych kartek, które oskarżycielskim gestem wyciągał w jego stronę.

Troy sięgnął po nie i przekartkował je.

- Nie zламаłem nawet pieczęci - w końcu, szanowny bracie, są one skierowane do ciebie. A ja nie przypominam sobie, byś upoważnił mnie do otwierania twojej korespondencji - skąd miałem wiedzieć, że chodzi o zamówienia?

- Zostały wysłane przez naszych klientów, w międzyczasie nawet ty powinieneś poznać ich nazwiska. - Ale na czym polega problem, Tris? Teraz już jesteś, wyślij im więc te przekłete skrzynie, dodaj list przeproszający za opóźnienie razem z butelką naszego Special Cuvee w prezencie i wszyscy będą zadowoleni.

- Jeśli w międzyczasie już nie zamówili gdzie indziej - Tris wyrwał papiery trzymane przez Troya i odwrócił się do drzwi, w których zobaczył stojącą Marie.

- Ach, madame, tak wcześnie i już na nogach? - wrzasnął na nią i kontynuował, zanim jeszcze zdążyła odpowiedzieć. - Zobaczywszy was przypomniałem sobie, że musimy zrobić wieczorek, by was przedstawić. Nie mam zamiaru tracić czasu na ciąганie was po całym sąsiedztwie - spojrzął przez ramię. - Troy, wypiszesz zaproszenia. Sobota w następnym tygodniu wydaje mi się odpowiednio wczesnym terminem.

Spojrzenie Troya powędrowało do Marie, prześlizgnęło się po jej nagich ramionach do piersi, bardziej odkrytych niż zakrytych przez sukienkę. Jego policzki poczerwieniały i szybko spojrzął w inną stronę.

- Może Marie sama mogłaby wypisać zaproszenia. Mogę jej podać adresy i udzielić informacji na temat rodzin.

Tris zaśmiał się w zły sposób, a jego spojrzenie było tak zimne, że Marie zadrżała.

- Na pewno nie wypisze żadnych zaproszeń, prawda, madame?

Troy spojrział na nią i czekał na jej odpowiedź. Chciała móc powiedzieć mu to, co chciał usłyszeć. Zamiast tego wymamrotała.

- Byłabym wam bardzo zobowiązana, Troy, gdybyście mogli wypisać zaproszenia - teraz również jej policzki pokryły się czerwienią, nie unikała jednak jego wzroku, nie chciała też ubierać niczego w piękne słówka. - Nie umiem pisać.

Tris, który stał obok niej i bezceremonialnie patrzył na jej piersi, ściągnął usta. Marie szykowała się na kolejny atak z jego strony.

- Wasze talenty obejmują zdecydowanie inne dziedziny, prawda, madame?

- W rzeczy samej, monsieur, i żadnej z tych dziedzin nigdy już nie będziecie mieli okazji bliżej poznać.

Teatralnym gestem przycisnął rękę do piersi jakby wbiła mu szpadę w serce.

- Ta odmowa rani mnie do głębi, madame. Powinnyście jednak mieć na uwadze, że wszystkie te dziedziny przeszły zgodnie z umową w moje posiadanie, w związku z czym będę z nich korzystał, jak tylko będę chciał.

Marie podniosła głowę i spojrzała na niego ze złością.

- Spróbujcie. Troy wstał.

- Wypiszę zaproszenia i zadbam, żeby ktoś je przekazał - spróbował załagodzić sytuację. - Zakładam, Tris, że zauważyłeś, że Delandra niedługo się ożrebi. Etienne zostanie przy niej i przyjdzie po nas, jeśli będą jakieś problemy.

- Dobrze, załatwię dostawę wina i potem do niej pójde - odparł Tris wyraźnie spokojniejszy i opuścił pokój.

Marie odepchnęła się od framugi i wbrew sobie poszła za nim.

- Monsieur, poczekajcie - podwinęła halki, ponieważ musiała z nim porozmawiać, niezależnie od tego, czy miała na to ochotę, czy nie.

Nie stanął, nawet się nie odwrócił, lecz szedł przez korytarz długimi krokami. Miał na sobie ubłocone błotem buty do jazdy konnej, wąskie, ciemne spodnie i zniszczoną, brązową kurtkę.

Pozostawiał za sobą delikatną woń drzewa sandałowego i myśl, że on moczył się w ciepłej, pachnącej wodzie, podczas gdy ona na kolanach szorowała podłogę, całkiem popsowała jej humor.

Wszedł do swojego gabinetu i padł na fotel stojący za pokrytym różnymi papierami stołem.

- Czego chcecie?

- Potrzebuję pieniędzy - wybuchła Marie. Spojrzał na nią, jak gdyby była obrzydliwym insektem.

- A kto nie potrzebuje? Nie mam pieniędzy.

- Macie pięć tysięcy liwrow.

- Których nie mam zamiaru wydawać na duperele. Marie splotła ramiona na piersi.

- Potrzebuję nowych ubrań, w których...

- Ubrania to ostatnie, na co dam wam nawet jednego marnego su - przerwał jej. - Wasze skrzynie są przepełnione, spójrzcie, suknia, którą macie na sobie, kosztowała więcej, niż płacę kucharce w ciągu roku. Nie potrzebujecie nowych ubrań.

Marie poczuła, jak słowa te wywołują w niej wściekłość. Zwinęła dłonie w pięści.

- Ja sama decyduję o tym, czego potrzebuję, a czego nie. W żadnym z ubrań, które posiadam, nie można robić nic innego poza siedzeniem w miejscu w bezruchu.

- A cóż chcecie robić - poza siedzeniem w bezruchu i rozkoszowaniem się uwielbieniem przypadkowo przybyłych kawalerów? - spytał znudzony i zaczął robić notatki na papierze.

Przed oczami dziewczyny zatańczyły czerwone gwiazdki.

- Macie na myśli, że cóż mogę robić innego poza rozkładaniem nóg?

Podniósł głowę.

- Niczego nie mam na myśli. Idźcie sobie stąd dbać o urodę. - Nie. Dacie mi pieniądze, żebym mogła jutro iść na targ w Lassieux i kupić płótno i gryzetskę, by przy pomocy Fanette uszyć sobie odpowiednią odzież.

- Nie.

Podeszła bliżej i w końcu oparła ręce na stole przed nim. Pochyliła się przy tym tak bardzo do przodu, że widział prawie całe jej piersi.

- Co mam zrobić, żebyście dali mi pieniądze? Muszę je sobie zarobić? Wyzywacie mnie od dziwki, nie myśląc o tym, że to wy ze mnie tę dziwkę zrobiliście. Czy tak? Czy dziwka musi zapracować na swoją zapłatę?

Nie czekając na jego odpowiedź, obesza stół dookoła.

- Wiec niech i tak będzie.

- Zostaw mnie w spokoju, przekłeta babo - wycodził przez zęby, Marie jednak podniosła nogę i kopnęła krzesło, na którym siedział. Jej wściekłość wystarczyła, by je przesunąć. Wykorzystała moment zaskoczenia, uklękła przed Trisem i sięgnęła do zapięcia jego spodni. Jego penis znalazł się szybciej w jej dłoni, niż mężczyzna mógł ją odtrącić. I szybciej wzięła go do buzi, niż Tris mógł odskoczyć.

Poczuła, jak jego ręce grubiańsko łapią ją za włosy, by podnieść ją do góry, i jednocześnie jak jego penis zaczyna nabrzmiewać w jej ustach. Paliła ją skóra głowy, mimo tego nieustępliwie trzymała nasadę członka i lizła jego wrażliwą główkę.

W końcu ciągnięcie za włosy stało się lżejsze, a gdy zanurzyła czubek języka w karbowaniu na żołądź, zupełnie ustało. Odwdzięczyła się i wzięła go głębiej do ust, zmieniła swoją pozycję tak, że w końcu znalazł się na sklepieniu jej podniebienia, a ona pieściła językiem wędzidełko w dolnej części.

Usłyszała ciężki oddech Trisa oraz tłumiony jęk i zaśmiała się w duchu, gdy zauważyła, że wysunął się do przodu z krzesła. Zmiana męskiego „nie” na „tak” była taka prosta.

Ruszała głową w górę i na dół, w tym samym tempie masowała jego trzon ręką, aż zaczął sapać z rozkoszy. Gdy wypuszczała go z ust, jej zęby delikatnie dotykały jego główki, co sprawiało, że ciało mężczyzny drżało.

- Mam przestać? - spytała ochryplym głosem, - Czy chcesz dojść mi w ustach?

Jego dłonie bardzo mocno wbiły się w podłokietniki, aż jego knykie zrobiły się białe. W jego oczach była taka nienawiść, że Marie musiała wziąć się w garść, by się nie wycofać.

- Dobrze, a więc przestajemy - wypuściła penisa i wytarła rękę o jego spodnie.

- Rób to dalej - słowa były przepełnione złością wydobywającą się z głębi jego piersi i rozpały płomień w podbrzuszu Marie.

Pochyliła się, by ponownie objąć go ustami i na próżno przywoływała się do porządku. Podniecenie rozprzestrzeniało się po jej ciele niczym pożar na stepie. Poczwała, że stała się wilgotna, a jej twarde sutki pocierały o materiał sukni.

Z zamkniętymi oczami lizała penisa od żołądździ po całej jego długości i z powrotem. Mogła czuć żyły i szybki puls, jądra w jej dłoni ściągnęły się. Zręcznie zacisnęła palce na korzeniu, by zapobiec jego wytrysnięciu w jej ustach. Jego jęk dodatkowo podniecał jej ciało i żałowała, że halki przeszkadzają jej w sprawieniu przyjemności swojej cipce.

Spojrzała na niego, podczas gdy jej język wędrował po nasadzie jego penisa. Z oczu Trisa zniknęła nienawiść, wyglądały teraz jak ciemne, bezdenne morza, jednak jego szczęki były ściśnięte.

Marie puściła jego jądra i ponownie wzięła do ust czubek jego członka. Zaczęła ssać, pieściła językiem główkę i wyciskała trzon ręką.

W jej ustach wytrysnęła sperma, a jego skurcze zdawały się nie mieć końca. Marie wypła wszystko, co jej dał, wycisnęła z niego ostatnie krople ręką i wylizała żołądź do czysta, zanim podniosła głowę. Jej twarz płonęła, a pożądanie sprawiło, że jej ciało było miękkie jak wosk. Chwiejąc się wstała i chciała zrobić krok do tyłu, by dyskretnie przytrzymać się stołu.

Jego ręce złapały ją, objął ją w talii, jedną ręką odsunął halki na bok i w ułamku sekundy naciągnął ją na siebie. Jego wciąż jeszcze twardego członka otarł się o wnętrze jej ud. Marie próbowała wyswobodzić się z jego rąk, jednak jedyny efekt był taki, że jego członek znalazł drogę do jej cipki i bez problemu w nią wszedł.

Marie zaczęła dyszeć. Chciała wysłać Trisa do wszystkich diabłów, nie wydobyła z siebie jednak żadnego zdania mającego takie znaczenie. Zbyt nieopisanym było uczucie posiadania go w sobie i całkowitego wypełnienia. Jej wilgotne wargi pocierały jego włosy łonowe, a jakby tego było mało, wsunął pomiędzy swoje palce.

- Raz już oszukałaś mnie przy pomocy mojego pożądania, drugi raz ci się to nie uda - powiedział ochryplym głosem. - Oko za oko, ząb za ząb.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Następnie pojęła, że trzymał ją tak mocno, by nie mogła się poruszyć. Był wprawdzie w niej, ale nie sprawi jej ulgi, dopóki nie...

- Proś mnie o to. Proś mnie o to, bym sprawił ci przyjemność - jego palce poruszały się dokładnie tak, by jej podniecenie nie uleciało.

Marie przełknęła ślinę. Znała te słowa. Sama je wypowiadała. Nie, nie skompromituje się tak, nie... nigdy... nigdy... nie...

Jej ciało krzychało z pożądania, chciało spełnienia, które było oddalone jedynie o jedno tchnienie. Duma, pieniądze, ubrania, nienawiść - nie liczyło się już nic poza żądzą, która w niej płonęła.

- Spraw... spraw mi przyjemność - wymruczała.

- Z większym przekonaniem - zadrwił i potarł jej wilgotne, jędrne wargi, bezbronne i wystawione na dotyk jego palców.

Głowa Marie poleciała do tyłu.

- Proszę, spraw mi przyjemność. Teraz. Tutaj. Proszę, pozwól mi dojść.

Zabrał ręce i złapał ją za biodra. Jednocześnie wysunął swoje podbrzusze. Podnosił i opuszczał jej miednicę, ustalał tempo jej ruchów i w ten sposób tempo jej przyjemności.

Marie przestała się przed tym bronić. Wbiła palce w jego ramiona a siła, z jaką się w nią wbijał, sprawiała, że krzychała z przyjemności. Orgazm miał nieznaną wcześniej intensywność i pogрузzył jej świadomość w aksamitnej czerni.

Zapach drzewa sandałowego delikatnie otaczał jej zmysły. Zmieszana otworzyła oczy. Jej głowa leżała na jego ramieniu, patrzyła na nagą skórę jego szyi, odcinającą się od białej koszuli. Wyślizgnął się z niej, przypuszczała, że doszedł po raz drugi. Z trudem spróbowała się zebrać i przypomnieć sobie, co poprzedzało to spotkanie. Kłótnia. O pieniądze. Z powodu odzieży.

Wyprostowała się i zdjęła jego dłonie. Nie protestował, gdy zsunęła się z jego podbrzusza. By zyskać na czasie wygładziła sukienkę, on jednak nie powiedział nic, zamiast tego schował swojego penisa z powrotem do spodni. Marie odwróciła się i sztywnymi krokami udała się w kierunku drzwi. Musiała się umyć, jego sperma płynęła jej już po udach. Jej ręka sięgała do klamki, gdy powstrzymał ją jego głos.

- Marie, poczekaj.

Odwróciła się powoli, wciąż jeszcze odurzona wydarzeniem.

- Ile potrzebujesz?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie wiem, może dziesięć albo piętnaście liwrów. Wziął ze stołu sakiewkę i odliczył kilka srebrnych monet. Podeszedł z nimi do dziewczyny.

- Dziękuję - powiedziała beznamiętnym głosem. - Przyniosę ci resztę.

Skinął głową i ponownie usiadł przy stole.

Marie zacisnęła palce na zimnych monetach. Powinna być szczęśliwa, przepelniona sukcesem, jednak nie czuła niczego poza pustką. Po raz pierwszy czuła, że jest tym, czym zawsze ją nazywał: dziwką.

Rozdział 17

Gdy następnego dnia wrócili z Lassieux - towarzyszył im Troy, który dostarczył wino do szynków - wybiegł ku nim zdenerwowany Nicolas.

- Monsieur, madame, Delandra się źrebi. Źle to wygląda - wrzasnął przez plac. Troy rzucił mu cugle i pobiegł do stajni.

Marie z Fanette wstoczyły zakupy do domu. Kupiły nie tylko materiały na ubrania, ale także mąkę, ryż i sól, o które prosiła kucharka. Gdy wszystko rozpakowały, Marie wybrała się do stajni.

Delandra leżała w osobnym boksie. Powietrze było gorące, panował zaduch, koszule kleiły się mężczyznom do pleców. Tris klęczał przy boku klaczy, Troy naprzeciwko niego i trzymał do góry ogon konia. Marie patrzyła ponad ramieniem męża, który wsunął rękę w pochwę zwierzęcia aż po łokieć.

- To nic nie daje, wciąż się ześlizguję. Źrebię leży prawidłowo, ale klacz nie ma już skurczów. Musimy je wyciągnąć, potrzebuję sznur.

Marie zaczęła się rozglądać, Nicolas był już jednak na miejscu z potrzebną liną. Tris wyciągnął rękę z klaczy i zanurzył ją w stojącym obok niego wiadrze z wodą.

- Mam nadzieję, że źrebak jeszcze żyje. Jeśli go nie wyciągniemy, będziemy musieli wezwać lekarza, Delandra długo tego nie wytrzyma - sięgnął po płótno, które podała mu Marie i dopiero wtedy ją zauważył. - Dziękuję.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Trzymaj jej łeb, może ją to uspokoi - wytarł sobie pot z czoła i rzucił chustę na stronę.

Marie uklękła obok głowy klaczy i ułożyła ją na swoim podolku. Chrapy konia były suche i gorące, podczas gdy sierść błyszczała od wilgoci. Marie powoli głaskała szyję Delandry i mruczała uspokajające słowa.

Tris zawiązał na sznurze pętlę, którą mógł ściągnąć jedną ręką i ponownie wsunął rękę w klacz. Wykrzywione rysy jego twarzy zdradzały napięcie.

- Do licha - zaklął i zmienił pozycję tak, że w końcu leżał głową na boku. - Nie mogę założyć pętli na drugą nogę - po jego twarzy płynął pot.

- Uda ci się, Tris - powiedział Troy. - Zachowaj spokój. Uda ci się.

- Jestem całkiem spokojny - odparł Tris ze wściekłością. - Ale... - przerwał - teraz... zdaje mi się... mam...

- Ostrożnie, pętla musi być na pewno założona na obie nogi.

- Wiem - Tris wstał i ponownie zanurzył rękę w wiadrze. - Chcesz ciągnąć, czy ja mam to zrobić?

- Zaczynaj. Ja będę ciągnął dalej, gdy się zmęczysz. Tris owinął sznur dookoła swojego przedramienia i zaczął ciągnąć. Przez ciało klaczy przebiegł dreszcz, a jej gałki oczne uciekły do tyłu.

- Wszystko będzie dobrze, Delandro - wyszeptała Marie i pogłaskała ją uspokajająco.

Spojrzała na Trisa, Mięśnie jego ramienia odznaczały się pod wilgotną koszulą. Jego twarz pokrywały ciemne, ostre włoski zarostu i Marie zastanawiała się, czy ostatnią noc spędził przy klaczy Oczami wyobraźni zobaczyła zmanierowanego lalusia, który w Wersalu podał jej lotkę. Pomiędzy tymi dwoma mężczyznami nie było żadnego podobieństwa, a mimo to byli jedną i tą samą osobą.

- Udaje się! - zawołał Tris i zrobił przerwę, zanim pociągnął po raz drugi.

- Kopyta, na zewnątrz są już kopyta! - głos Troya był przepełniony radością.

Klacz znowu zaczęła drzeć, potem źrebię znalazło się na słomie. Było czarne, nie miało nawet najmniejszej białej plamki. Nie ruszało się. Tris odwiązał sznur od przednich nóg zwierzęcia i położył je przed głową Delandry.

- Żyje? - spytała Marie cicho.

- W tej chwili tak. Zdecydują najbliższe godziny - wziął w garść słomę i zaczął czyścić źrebaka, ponieważ Delandra nie zabrała się za wylizanie swego dziecka do czysta.

Troy robił to samo z klaczą.

- Przyniosę dla niej przykrycie - powiedział potem i wstał.

Źrebię otworzyło oczy i delikatnie poruszyło łbem. Jego cienkie nóżki drżały. Klacz nadymała chrapy i również próbowała podnieść łeb. Tris przysunął do niej źrebaka trochę bliżej, a Marie podparła szyję.

- A teraz?

- Musi się napić, a popłód musi zostać całkowicie wydalony, co będzie trudne, bo nie ma skurczów. Podłożę źrebaka do karmienia, może to pomoże. Poczekamy godzinę, potem wezwiemy doktora Maillarda.

Wrócił Troy z wełnianym kocem i przykrył nim klacz.

- Zostaniecie przy Delandrze? Nakarmię pozostałe konie, poza tym Nicolas potrzebuje mojej pomocy przy złamanym dyszlu. - Idź, ja tutaj wszystko zrobię.

Podczas gdy Troy wychodził ze stajni, Tris dalej wycierał źrebaka słomą.

- To ogier. Czarny jak noc przy nowiu. Diabolo. Jak myślisz? Pasuje do niego to imię?

Skinęła głową, zdziwiona, że pyta ją o zdanie.

- Piękne imię.

- Dostałaś na targu wszystko, czego potrzebowałaś?

- Tak, reszta leży w moim pokoju. Dostaniesz ją, jak tylko wrócimy do domu.

- Zachowaj ją, zakładam, że w najbliższym czasie będziesz częściej chodziła na targ.

Jego zmiana nastroju sprawiła, że Marie stała się nieufna.

- Nie wiem. Być może - odpowiedziała z ostrożnością i przeciągnęła przez palce grzywę Delandry. - Dziękuję.

Przestał czyścić konika.

- Marie, nie miałem pojęcia, że cały wczorajszy dzień spędziłaś na sprzątanii i urządzaniu od nowa salonu.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wydaje mi się, żeby to było ważne.

- A jednak. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego pozwoliłaś, żebym cię zrugał?

- No przecież jest tak, jak mi obiecałeś. Chciałeś zamienić moje życie w niekończący się ból - przypomniała mu gorzko.

- Oprócz godnej pożałowania skłonności do wybuchów, która już wiele razy sprawiła mi kłopoty... - wyszczerzył zęby bez najmniejszej oznaki poczucia winy - jedną z moich nielicznych wad charakteru jest porywczosć. Gdyby wszyscy ludzie, którym na głos życzyłem zarazy i potępienia, rzeczywiście mieli umrzeć, nasza okolica byłaby wyludniona. Mam skłonności do dramatycznych wybuchów wściekłości, nie jestem jednak zbyt pamiętliwy.

- Nie? - spytała z ironią i pomyślała o swojej „nocy poślubnej” u madame Dessante.

- Nie. I, jak dobrze powiedziałaś, muszę się starać, byś w ciągu następnych szesnastu lat cieszyła się dobrym zdrowiem, jeśli chcę mieć jakieś korzyści z tej transakcji.

Marie milczała, a on ponownie zaczął wycierać żrebaka do sucha.

- Nie jesteś w ciąży - było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Nie - powiedziała. - Ani dzięki królowi, ani dzięki tobie.

- To dlaczego...

- Bo miałam nadzieję, że byłoby to jakieś wyjście. Król uznaje wszystkie swoje bękarty. Otrzymałabym tytuł i posiadłości, zamiast...

- Zamiast? - wciął się. Zrobiła zamaszysty ruch dłonią.

- Zamiast tego wszystkiego tutaj.

- To dlaczego pierwszego dnia zaczęłaś tu urządzać gospodarstwo? Skoro to wszystko jest wbrew tobie?

Wysunęła brodę, a jej oczy zapłonęły.

- Ponieważ to jest wszystko, co mam. Ponieważ to jest wszystko, co pozostało z moich marzeń - spuściła głowę, gdyż poczuła, jak po jej policzkach spływają łzy - To wszystko, co jeszcze mam.

- Rzeczywiście marzyłaś o tym, by zostać królewską kochanką? - w jego głosie słychać było niedowierzenie.

- Tak. Nie - Marie wytarła sobie twarz wierzchem dłoni. - Marzyłam o tym, by już nigdy nie musieć harować tak długo, aż będę czuła w moim ciele każdą kość. Marzyłam o tym, by móc kupić sobie wszystko, co mi się podoba. Marzyłam o tym, by traktowano mnie z szacunkiem. Marzyłam o tym, by być kochaną. Przez chwilę milczała.

- To są dziecięce mrzonki, Marie. Każdy o tym marzy - powiedział nieoczekiwanie miękko.

- Ach tak. Każdy o tym marzy. Ty też? - spytała zjadliwie.

- Marzyłem o tym, by ożenić się z kobietą o tak dużym majątku, bym nie musiał się martwić o następne zbiory. Marzyłem, by odbudować i doprowadzić Mimozę do stanu, w którym była przed pięćdziesięcioma laty. Marzyłem o tym, by posiadać tyle pieniędzy, żebym mógł wysłać Troya na uniwersytet w Bordeaux, by w końcu mógł studiować teologię. Marzyłem o tym, by móc kupić mu tytuł wysokiego dostojnika kościelnego.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Troy chce zostać księdzem?

- Chciał, ale mój ojciec nie był ani gotowy na to, by się na to zgodzić, ani nie mieliśmy pieniędzy by umożliwić mu taką karierę. Dlatego regularnie się upija. Dlatego Mimoza jest mu tak obojętna jak mi Wersal razem z jego śmiesznymi, lizusowatymi dworzanami - spojrzał na nią przenikliwie. - To są tylko marzenia i nigdy nie zostaną spełnione. Zmieniają nam jednak spojrzenie na prawdziwe życie. Przeszkadzają nam w osiągnięciu zadowolenia z tego, co mamy.

Gdy mówił, żrebak niepostrzeżenie się podniósł i stał teraz na cienkich, chwiejnych nóżkach obok niego. Tris włożył mu rękę pod brzuch, by go podtrzymać.

- Nadzieje i strach, miłość i nienawiść, zwyciężanie i przegrywanie. Wprawdzie jest to wyczerpujące, ale to właśnie jest prawdziwe życie, a nie materiał, z którego stworzone są marzenia.

Nóżki żrebaka ugięły się i Tris ostrożnie go położył, zadbał o to, by łeb małego leżał na sutku klaczy.

Marie obserwowała męża. Jego włosy zwisały dookoła nieogolonej, naznaczonej brudem, potem i wysiłkiem twarzy. Musiał być zmęczony i padnięty. Mimo to w każdym jego ruchu widać było troskę i rozwagę. Nie opuści Delandry i Diabola dopóki nie będzie pewny, że nic im nie grozi. Nieważne, ile godzin będzie to jeszcze trwać.

Marie wstała.

- Mam ci przysłać Nicolasa albo Etienne?

- Niekoniecznie, w tym momencie wszystko wygląda dobrze.

- Wracam więc do domu. I spróbuję obudzić się z moich marzeń

- dodała ze smutnym uśmiechem.

Podniósł głowę i spojrzał na nią wzrokiem, którego intensywność zaparła jej dech w piersiach.

- Już dawno to zrobiłaś. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Jego słowa wciąż rozbrzmiewały jej w głowie, gdy razem z Fanette zaczęła kroić materiał. Jeszcze trudniej było jej pozbyć się z wyobraźni jego cielesności. Jego nagie ciało u madame Dessante pozostawiło ją niewzruszoną, jej zmysły były zbyt skoncentrowane na udanym przeprowadzeniu planu, a wszystkie inne doznania zostały przez nią stłumione. Wersalskie falbanki, wstążeczki i tasiemki, peruka i krzykliwe kolory zmyliły ją, a w rzeczywistości nie miały nic wspólnego z prawdziwym obliczem tego człowieka.

- Madame, ostrożnie, zjeżdżacie z linii - głos Fanette wyrwał ją z zamyślenia.

- Dziękuję - wymamrotała i poprawiła kierunek cięcia. Obserwowanie go w stajni, gdy walczył o życie żrebaka, poruszyło w niej strunę, o której istnieniu w ogóle nie wiedziała. Poza tym jego męska aura odurzała ją niczym mocne wino. A jakie były skutki picia tego ostatniego, pamiętała jeszcze z minionego poranka.

Z westchnieniem spróbowała skoncentrować się na pracy i wygnać z myśli Tristana de Rossaca.

Ułatwił jej to, ponieważ nie było go przy kolacji. Troy opowiedział krótko, że z Delandrą i żrebięciem wszystko było w porządku, jednak mimo to Etienne spędzi tę noc w stajni. Tris położył się już spać.

Gdy Marie razem z Fanette zniosła naczynia do kuchni, również chciała już iść do siebie, by szyć sukienkę.

Troy siedział przy stole i pisał.

- Dobrej nocy - powiedziała Marie i udała się w stronę drzwi.

- Skończę zaproszenia, potem idę do łóżka - uśmiechnął się do niej przyjaźnie. - Nigdy nie myślałaś o tym, żeby nauczyć się pisać? - spytał ją niespodziewanie.

- Nie, kto miałby mnie tego nauczyć? - ta myśl rzeczywiście nie przyszła jej nigdy do głowy.

- Ja mogę cię nauczyć, oczywiście tylko jeśli zechcesz. Marie podeszła bliżej.

- Zrobiłbyś to? Skinął głową.

- Tak, jeśli tego chcesz, możemy już teraz zacząć. Marie nie zauważyła, jak szybko minął jej czas. Pisanie było łatwiejsze niż myślała, poza tym Troy posiadał anielską cierpliwość, z którą wciąż od nowa malował jej litery.

Gdy w końcu przeciągnął się, ziewając i wyjął jej z ręki pióro, była już północ.

- Na dzisiaj starczy. Jutro dalsza część lekcji, Marie.

Rozdział 18

- Tris! - Ghislaine upuściła pędzel i rzuciła się w ramiona mężczyzny. - Myślałam, że zobaczymy się dopiero pojutrze, w Mimozie, z okazji balu na cześć twojej żony. Nie liczyłam na to, że dzisiaj przyjdiesz.

- A to był błąd - zaśmiał się i całował ją tak długo, aż musiała nabrać tchu. Potem zaczął odwiązywać tasiemki poplamionego fartucha malarskiego. - Który właściwie to już obraz z różami?

- Przestałam liczyć. Wolałbyś, żebym malowała rzymskie orgie, wykorzystując żywych modeli?

- Ciężko powiedzieć, ale jeśli byłbym jednym z nich...

Jej palce zajęły się jego koszulą, podczas gdy on po prostu ściągnął jej sukienkę przez ramiona w dół. Z gracją wystąpiła z ubrania leżącego u jej stóp i patrzyła na niego wyzywająco. Stała przed nim w pończochach i satynowym gorsecie, zapierając mu dech w piersiach.

Gwałtownie popchnął ją do tyłu i posadził ją na stojącej przy ścianie komodzie. Protestowała ze śmiechem, jednak gdy jednym ruchem całkowicie się w niej znalazł, jej protest zamienił się w przepelniony tęsknotą jęk.

Tris zamknął oczy. Pożądanie prawie odebrało mu rozum. Pompował mocniej, podłożył rękę pod jej kolano, by jeszcze głębiej w nią wejść. Z oddali do jego uszu dochodził jej jęk, zacisnął usta na jej wargach. Poczul krew, krew huczała również w jego żyłach i napędzała go, by wciąż szybciej i szybciej w nią uderzać.

Jeszcze nigdy nie przeżył tak agresywnego stosunku. Jego ciało było jednak w amoku i całkowicie wymknęło mu się spod kontroli. Doszedł, zanim mógł się powstrzymać i zanim Ghislaine osiągnęła orgazm. Jakby tego było mało, większość jego spermy wytrysnęła na jej miękkie brzuch.

Jej noga ześlizgnęła się z jego ręki, a głowa opadła na ścianę. Dyszał i próbował uspokoić szalejące bicie serca.

Pogładziła jego plecy i przeczesala ręką jego włosy.

- Aż tak bardzo się za mną stęskniłeś? - spytała stłumionym głosem.

Trisowi wywróciły się wnętrzności. Gdyby tak było! Myślał, że wszystko wróci do normy, gdy znowu będzie trzymał Ghislaine w ramionach. Jednak nic nie było w porządku. Marie prześladowała go

nawet w snach. Sprawy nie miały się tak, jak powinny. Oczekiwał, że kobieta, którą poślubił w Wersalu, będzie dąsając się, uciekać w arogancję i nieprzystępność, że będzie lamentować, awanturować się i kłócić ze swoim losem oraz że nie zostawi na Mimosie suchej nitki.

Wszystko jednak potoczyło się zupełnie inaczej. Nie skarżyła się, nie udawała omdleń, zamiast tego zaczęła rozpalać domowe ognisko. Siedziała z innymi przy stole, śmiała się z ich żartów i chwaliła kucharkę. Troy pił mniej i był znacznie bardziej towarzyski.

Nie była tą osobą, którą zdawał się widzieć w Wersalu, a zdanie „Wyzywacie mnie od dziwki, nie myśląc o tym, że to wy ze mnie tę dziwkę zrobiliście” wciąż nie dawało mu spokoju. Pomimo wypowiedzianych przez siebie stów uważał, że jej marzenia miały może szansę się urzeczywistnić, gdyby nie wtargnął w jej życie. Ale było już za późno.

Myślał, że będzie potrafił ją nienawidzić. Za to, kim był i za to, co mu zrobiła. Nie potrafił jednak. Każda spędzona z nią godzina utwierdzała go w tym przekonaniu.

Jednakże Marie udzieliła mu lekcji, uświadamiając, że ma nad nim przewagę, mogąc rozbroić go w ostatniej sekundzie. Dziewczyna nie zawaha się wykorzystać swojej broni, gdy będzie uważała to za stosowne, nawet jeśli chodzić będzie o przeklętą belę płótna. Był to jedyny punkt, w którym się nie mylił. Znała swoją władzę nad nim. Nie wiedziała jednak, że z każdym dniem ta władza stawała się coraz większa.

Ghislaine delikatnie go od siebie odepchnęła.

- Chodźmy do łóżka, cenię zwierzęcą rozkosz, ale cenię również wygodę.

Wypuścił ją.

- Jak sobie życzysz.

Spojrzała na niego z podniesionymi brwiami.

- Tris, czy coś się stało?

- Nie, nie, ja... - zmusił się do uśmiechu - zostałem pokonany przez moją własną namiętność. Daj mi kilka minut.

Złapała go za rękę i udali się do sypialni.

- Ile tylko zechcesz.

Odwróciła się do niego plecami, by mógł odsznurować jej gorset, następnie wyciągnęła się obok niego. Jej palce głaskały jego pierś, zaczął się odprężać.

- Czy ona o nas wie?

Potrzebował chwili, by zrozumieć, o co jej chodzi.

- Masz na myśli Marie? Nie, skąd miałyby o nas wiedzieć? - To dobrze. Wiesz, że nie lubię scen.

- Dokładnie tak jak ja. Przyciągnęła do siebie jego głowę.

- To pięknie. Skierujmy się ku przyjemniejszym tematom.

Marie nerwowo i w pośpiechu chodziła po pokojach udekorowanych na wieczorek. Troy powiedział jej, że przybędzie około dwudziestu osób. Ku jej radości przyszła do niej Suzanne, by omówić z nią menu. Razem z Fanette odświeżnie wystroiły Mimozę i wyjęły z witryn najlepszą porcelanę.

Marie miała na sobie prostą, szmaragdowozieloną suknię z ałasu, która podkreślała barwę jej oczu i nadawała jej włosom kolor złota.

Przesunęła szklanki na stole i oskubała kwiaty. Suzanne przyprowadziła z Lassieux dwie dziewczyny, które pomagały w kuchni i miały podawać do stołu razem z Fanette.

Gdy mimo najlepszych chęci na stole nie dało się już nic ustawić, poszła do pokoju przyjąć.

Tris i Troy zeszli po schodach. Obaj mieli na sobie wieczorowe garnitury, wprawdzie eleganckie, jednak nie mogły się one mierzyć z tymi, które Marie знаła z Wersalu.

W ostatnim tygodniu między nią a Trisem zapanowało nieoficjalne zawieszenie broni. Gdy się spotykali, traktowali się ze zdystansowaną grzecznością. Za to Troy siedział z nią każdego dnia i czuwał nad jej postęпами w czytaniu i pisaniu.

Lubiła jego suche komentarze i humor, który tak często błyskał w jego oczach. Był bardziej towarzyski od Trisa. Przebywając z nim, nie czuła, że wciąż powinna się z czegoś usprawiedliwiać. Poza tym nie promieniował w taki podniecający sposób, który zawsze przypominał jej o tym, jak to było, gdy czuła w sobie Trisa.

Obaj mężczyźni stanęli przed nią i bacznie się jej przyglądali. Marie podniosła głowę. W Wersalu przyzwyczała się do takich lustrujących spojrzeń, umiała się z nimi obchodzić. W końcu Troy uśmiechnął się do niej z podziwem.

- Wyglądasz czarująco, Marie.

- Dziękuję - czekała, czy Tris również powie jej komplement, on jednak już się odwrócił i przed dużym lustrem poprawiał chustę pod

szyją. Poczowała delikatne ukłucie w sercu. I wystraszyło ją to bardziej niż wszystko inne.

Fanette przyprowadziła do salonu pierwszych gości. Tris wyszedł do nich, było to małżeństwo.

- Madame i monsieur de Karelian, bardzo się cieszę, że przyjęliście moje zaproszenia - skłonił się przed kobietą, a z mężczyzną wymienił uścisk dłoni. - Niech będzie mi wolno przedstawić moją żonę, Marie.

Marie uśmiechnęła się do gości.

- To dla mnie przyjemność was poznać. Ten wachlarz jest naprawdę przepiękny, madame de Karelian - dodała i z podziwem spozrzała na rzeźbiony w drewnie wachlarz. - Bardzo podobny posiada królowa Maria Teresa.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona madame de Karelian. - Moja matka dostała go w spadku. Pochodziła z Hiszpanii, tak jak nasza królowa.

- Widzicie, to nie może być przypadek! - wykrzyknęła Marie.

- Koniecznie musicie opowiedzieć mi o Wersalu. Marzę, by chociaż raz w życiu zobaczyć go na własne oczy. Bernarda jednak nic nie ruszy czuje wstręt do długich podróży. - Oczywiście, bardzo chętnie opowiem wam o Wersalu. Jednak w tej chwili muszę powitać innych gości, bardzo proszę o wybaczenie. Później będziemy miały wystarczająco dużo czasu. Może zechcielibyście udać się do salonu, czekają tam już napoje chłodzące.

Małżeństwo poszło do sąsiedniego pokoju, a Marie zwróciła się do kolejnych gości. Na tym terenie czuła się pewnie. Uśmiechać się, konwersować, ładnie wyglądać i udawać zainteresowanie. W Wersalu była to rutyna.

Goście byli bez wyjątku małżeństwami, wszyscy mieli po trzydzieści kilka lat. Nikt z nich nigdy jeszcze nie opuścił bezpośredniego sąsiedztwa, dlatego patrzyli na Marie niczym na egzotyczny kwiat. Uśmiechała się, uroczo gawędziła i najwyraźniej ją to odprężyło. Z promiennym uśmiechem podeszła do kolejnego małżeństwa, które stanęło obok Trisa.

Wielkość mężczyzny sprawiła, że kobieta obok niego wyglądała na jeszcze drobniejszą. Nawet od Trisa był wyższy o głowę. Jego ogromna, okrągła głowa była pokryta blond lokami. Jego ramiona przypominały Marie ubijak w maselnicy u rodziców, całe jego ciało

sprawiało wrażenie topornego pomimo delikatnych ubrań. Szeroko otwarte, jasnoniebieskie oczy patrzyły na nią, a jego usta były lekko uchylone. Wydało jej się, że jest jakiś dziwny.

Marie zwróciła się do stojącej przed nim kobiety. Jej twarz była idealnym owalem. Miała upięte ciężkie, brązowozłote włosy, nad jej również brązowozłotymi oczami znajdowały się wąskie, ciemne brwi. Miała na sobie zdecydowanie najdroższy strój ze wszystkich gości.

- Witamy w Mimosie - Marie uśmiechnęła się i spojrzała na Trisa, który zwykle przejmował przedstawianie gości. - Hrabia du Plessis - Fertoc i jego żona Ghislaine.

Uśmiech na twarzy Marie zamarł. W pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała. Kobieta jednak z gracją wyciągnęła do niej rękę

- Cieszę się, że mogę was poznać, madame de Rossac. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi waszego męża.

Marie ostro wciągnęła powietrze.

- W to nie wątpię - odwróciła się. - Jak śmiałeś zaprosić do mojego domu swoją kochankę?

Nie zrobił żadnej miny, miała jednak wrażenie, że pobladł.

- W pierwszej kolejności to jest mój dom i ja decyduję, kto siedzi przy moim stole.

Marie oparła ręce na biodrach.

- Dobrze. Decyduj więc. Ona albo ja. Na pewno nie usiądę przy jednym stole z twoją dziwką i nie będę udawała, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Ghislaine chrząknęła i Marie zamilkła.

- Madame de Rossac, oszczędźcie sobie wysiłku. Już idziemy. Nie przyjąłabym zaproszenia, gdybym wiedziała, że wiecie, jakiego rodzaju przyjaźń łączy mnie z monsieur de Rossac. Uwierźcie mi, nie zależy mi na takich scenach. Życzę wam miłego wieczoru - wzięła męża pod ramię, ten jednak nie ruszył się z miejsca.

- Ghislaine, nie możemy sobie iść. Tris obiecał mi, że pokaże mi małego konika. Jest cały czarny, dlatego nazywa się Diabolo.

- Może następnym razem, Jacques - powiedziała Ghislaine miękko, ale zdecydowanym tonem. - Chodź.

Mężczyzna potrząsnął głową i wyzywająco wysunął dolną wargę.

- Nie. Teraz. Chcę zobaczyć konika. Nie chcę iść.

Marie patrzyła na niego i przypomniała sobie słowa Desgraisa. Upośledzony mąż, którego wybrano dla siostry księcia de Mariasse.

- Pokażę ci konika, Jacques. Chodźcie - powiedział Tris do hrabiego, nie zwracając uwagi na Marie.

Mężczyzna zaklaskał w dłonie i zaśmiał się radośnie.

- O tak, Tris, wiedziałem, że jesteś moim przyjacielem. Ghislaine jest głupia. Zawsze wszystkiego mi zabrania.

Tris ujął jego ramię.

- Nie wierzę, Jacques. Czy zabroniła ci przyjść tutaj razem z nią?

- Ale ona jest dla mnie zawsze taka surowa - Jacques narzekał dalej. - Jeśli jej nie powiem, dokąd idę, to na mnie krzyczy. I nie pozwala mi nigdzie samemu chodzić, zawsze muszę iść z Francoisem lub kimś innym. Jakbym był dzieckiem.

Cała trójka się oddaliła, Marie patrzyła na nich bezradnie. Nie żałowała żadnego ze swoich słów, jednak na języku czuła gorzki smak i ciężko jej było przekonująco uśmiechać się do następnego małżeństwa.

Gdy szli do stajni, Tris i Ghislaine milczeli, jedynie Jacques wciąż radośnie paplał. Pisnął z zachwytu, gdy zobaczył Diabolo i niecierpliwie szarpał za zasuwę zamykającą boks.

Tris zauważył zły humor Ghislaine, chociaż nic nie mówiła.

- Naprawdę nie miałem pojęcia - wymruczał. - Nigdy nie postawiłbym cię w takiej sytuacji.

Ghislaine milczała.

- Wierzysz mi?

- Tak.

- To dlaczego jesteś taka zła?

Splotła ramiona na piersi i spojrzała na niego.

- Bo mnie wykorzystałeś. I dlatego, że mi się to nie podoba.

Tris patrzył na nią bezradnie.

- Nie rozumiem ani słowa.

- Ostatniej nocy, gdy napadłeś na mnie niczym głodny wilk. Nie chodziło o mnie. Ani o twoją tęsknotę za mną - zaczęła mówić głośniej. - Chodziło o tę Ksantypę, którą przywiozłeś sobie z Wersalu. Tego głuptaska, który nie ma w sobie nic, co by cię podniecało.

- Ghislaine, na miłość boską...

- Nie - podniosła dłoń, by go uciszyć. - Nie wiem, co się dzieje pomiędzy tobą i twoją żoną. Albo co się nie dzieje. Faktem jednak jest, że emanuje z niej coś takiego, co nawet leżącego na łożu śmierci starca zmusiłoby do szukania żony. Mężczyzna taki jak ty, którego tak

łatwo podniecić, w ogóle nie powinien wychodzić z łóżka, mając taką żonę.

Tris potrząsnął głową.

- Muszę więc wyrazić się jaśniej. Ostatniej nocy nie chciałeś mnie. Chciałeś jej. I nie pieprzyłeś mnie, tylko ją.

Rozprostowanymi palcami przeczesał sobie włosy.

- To nieprawda. A nawet jeśli... to już nigdy się nie powtórzy.

- Oczywiście, że to się już nie powtórzy. Ponieważ od dzisiaj mój dom nie stoi już dla ciebie otworem. W przyszłości będziesz musiał poszukać sobie kogoś innego, by wyładowywać na nim swoją frustrację.

Patrzył na nią z zaskoczeniem.

- Nie mówisz poważnie, Ghislaine. Jesteśmy razem od sześciu lat, nie możesz tego tak po prostu przekreślić, bo...

- Bo? - jej mina nie wróżyła niczego dobrego. - Mów dalej. A może ja mam mówić? Mogę to tak po prostu przekreślić, ponieważ nie jestem gotowa rozkładać przed tobą nóg, jeśli podnieca cię inna kobieta. Mogę rozbijać małżeństwa, ale też mam swoje zasady. I dumę - milczała przez chwilę i spuściła głowę. - Tris, nie pogarszaj sytuacji. Lubię cię. Jestem wdzięczna za ten nasz wspólny czas.

Tris, który pojął, że każde jej słowo jest śmiertelnie poważne, poczuł, jakby ktoś wyrwał mu ziemię spod nóg.

- Czy patrząc mi prosto w oczy, możesz mi powiedzieć, że nie mam racji? Że wszystkie moje przypuszczenia są wytworem zazdrosnej i przesadnej fantazji? - Ghislaine spytała sucho.

Tris patrzył na czubki swoich butów. Chciał móc to powiedzieć. Chciał móc wziąć ją w ramiona i uspokoić. Powiedzieć jej, że się myli, że oprócz niej nie ma żadnej innej kobiety, której pożąda. Nie mógł tego jednak zrobić. Ten tok rozumowania jeszcze raz uświadomił mu, jak dobrze go znała. Lepiej niż on sam.

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nie, nie mogę.

- Dobrze. W takim razie wszystko zostało już powiedziane - odwróciła się do swojego męża, który zaaferowany siedział na słomie i głaskał żrebaka. - Chodź, Jacques, jedziemy do domu.

Niechętnie wstał.

- Ja też chcę konika, małego, kochanego konika. I żeby cały należał do mnie.

- Zobaczymy. Chodź już.

Poszli do drzwi stodoły i czekali na Jacquesa.

- Ghislaine, przykro mi. Jeśli ktoś jest wdzięczny, to tym kimś jestem ja. Jesteś cudowną kobietą, nigdy nie zapomnę spędzonego z tobą czasu. A jeśli zmienisz zdanie... Ghislaine pogładziła go po policzku.

- Jesteśmy sąsiadami i pozostaniemy przyjaciółmi także w przyszłości. Nie żywię do ciebie urazy. W końcu od początku wiedzieliśmy, że to nie będzie trwało wiecznie.

Pocałował wewnętrzną stronę jej dłoni.

- Życzę ci, żebyś kiedyś stała się wolna i odnalazła swoje szczęście.

Spojrzała na niego melancholijnym wzrokiem.

- Musiałabym najpierw zacząć go szukać.

Wyszli na podwórze i zajęła kareta. Tris patrzył za pojazdem, potem wrócił do swoich gości.

Otaczali Marie. Niewątpliwie znajdowała się w swoim żywiole. Wszyscy obdarzyli ją sympatią. Wziął kielich z tacy i obserwował żonę. Błyszczący kamień szlachetny pośród sterty szarych krzemieni. Nikogo nie wyróżniała i każdy miał wrażenie, że słucha go z zainteresowaniem. W pokoju unosił się jej perlisty śmiech, a jej nagie plecy połyskiwały niczym masa perłowa.

Spojrzenia mężczyzn były pełne uwielbienia, spojrzenia kobiet pełne fascynacji, w której była już odrobina zazdrości. Zauważył Troya, który stał z boku i płonącymi oczami obserwował każdy ruch Marie. Na jego twarzy mieszały się rozpacz i ból, tworząc maskę gorzkiego smutku.

Tris odwrócił się. Ostatnią rzeczą, jakiej brakowało mu tego wieczoru, było odkrycie, że jego własny brat zakochał się w jego żonie.

Rozdział 19

Po wyjściu ostatnich gości Marie obawiała się nieprzyjemnej wymiany zdań z Trisem. Ku jej zaskoczeniu nic takiego nie miało miejsca. Pozostał taki niewzruszony, jaki był przez cały wieczór, w kilku słowach życzył jej spokojnej nocy, chociaż dziewczyna była pewna, że ta noc spokojna nie będzie.

Ujrzenie hrabiny du Plessis - Fertoc wywołało u niej reakcję, której źródło wolałaby zignorować. Mimo to jej myśli krążyły jedynie wokół tego.

Kobieta nie wyglądała tak, jak Marie spodziewałaby się po niszczącej małżeństwa flądze. W jej spojrzeniu nie było wyrachowania, była pełna stylu i elegancji w ten subtelny, nienachalny sposób. W innych okolicznościach Marie uznałaby ją za sympatyczną, zaś jej los za tragiczny. A fakt, że ma kochankę, za całkiem zrozumiałą. Jednak wyobrażenie, jak Tris leży w jej ramionach i wykrzykuje jej imię, wytryskując w niej, sprawiało, że umierało w niej wszelkie współczucie.

Marie przewróciła się na drugi bok. Powinno jej to być obojętne. Jej mąż nienawidził jej za to, co zrobiła mu w Wersalu, prawdopodobnie również za to, że wcale nie tak dawno wykorzystała jego pożądanie, by osiągnąć swój cel. Inaczej nie można było wytłumaczyć faktu, że, gdy tylko mógł, schodził jej z drogi i ani razu nie napomknął nawet o podjęciu próby wślizgnięcia się jej do łóżka.

To jednak nie było jej obojętne. Chciała, żeby poświęcił jej chociaż ułamek uwagi, jaką poświęcał jej Troy. Chciała, żeby nie traktował jej marzeń jak dziecinadę, ale żeby wziął je na poważnie. Chciałaby, żeby nie uważał jej za dziwkę, która rozkładała nogi przed wszystkimi, których spotkała. Po jej policzkach popłynęły łzy, gdy zrozumiała, że tak naprawdę chciałaby, żeby ją kochał.

Jednak żadnego z tych życzeń nie mogła spełnić, działając na własną rękę, a dobre wróżki były tylko w bajkach.

Następnego ranka Marie poszła do stajni, by sprawdzić, jak się ma Diabolo. Przez uchylone drzwi usłyszała głos Troya.

- Chcesz podarować go Ghislaine? Jest jeszcze o wiele za mały.
- Pójdzie razem z Delandrą. Wróci do nas, gdy odstawi go od piersi - odpowiedział Tris.
- Mimo to nie rozumiem. Przecież mają dużo koni.

- Jacques całkowicie stracił głowę dla Diabolo. Też chciał mieć małego konika. Na pewno go to uszczęśliwi.

- Kogo interesuje, czy ten cretin jest zadowolony. Za tym kryje się coś innego.

- Skoro tak twierdzisz.

Marie podglądała przez szparę w drzwiach. Tris stał plecami do niej, a Troy chodził przed nim tam i z powrotem. W końcu stanął przed nim ze zmarszczonym czołem.

- Ma to coś wspólnego z wczorajszym wieczorem. Czy żrebak ma być przeprosinami za wybuch Marie?

- Nie - odparł Tris krótko. - To załatwiłem już wczoraj.

- A może to jest... - wstrzymał oddech - prezent pożegnalny?

Tris milczał przez chwilę, potem westchnął.

- Coś w tym rodzaju.

- Rozstaliście się. Naprawdę? - w głosie Troya słychać było całkowitą konsternację.

- Powiedzmy, że w przyszłości nie chce być nikim więcej niż dobrą sąsiadką.

- Cholera. Byliście razem tacy szczęśliwi - powiedział Troy ze współczuciem.

- Wszystko kiedyś się kończy - zauważył sucho Tris. - Niektóre sprawy nie mają czasami nawet początku.

Troy popatrzył na niego.

- Czy ta tajemnicza uwaga była skierowana do mnie?

- Być może. Chcę ci jedynie po przyjacielsku i jak brat przypomnieć, że Marie jest moją żoną.

Policzki Troya oblały się rumieńcem.

- Niepotrzebnie.

- To pięknie. Nie bardzo chciałbym zastanawiać nad tym, czy nauczasz ją czegoś więcej niż pisanie i czytania.

- Tris, ja nigdy bym...

- Ty nie. Ale Marie tak. Sięgnie ci do spodni szybciej, niż zdążysz policzyć do trzech.

Twarz dziewczyny płonęła, jak gdyby wymierzono jej policzek. Jak mógł ją podejrzewać o to, że mogłaby zacząć romansować pod jego własnym dachem z jego własnym bratem? I co on jeszcze o niej powie? Z przerażeniem odwróciła się i poszła do domu. Nie chciała już słuchać żadnych jego obelg.

Troy uderzył pięścią w słup.

- Dlaczego tak o niej mówisz? Dlaczego robisz z niej złą osobę? - krzyknął oburzony. - Bo wiem, jaka jest. Powierzchowna, egocentryczna i niestała - Tris splótł ramiona na piersi. - Nie musisz robić z siebie jej rycerza. Po prostu widzisz to, co chcesz widzieć. I nie masz doświadczenia z kobietami. Nie tak dawno temu chciałeś przecież poświęcić życie Bogu. Jak to się ma do cielesnej żądz?

- Nie muszę ugryźć zgnitego jabłka, żeby wiedzieć, że jest zgniłe - uniósł się Troy. - Ona troszczy się o wszystko tutaj. W ciągu kilku dni w domu zdarzył się prawdziwy cud. Nasi sąsiedzi są nią zachwyceni. Nie potrafisz czy po prostu nie chcesz tego zauważyć?

- Widzę przede wszystkim, że ty jesteś zachwycony - zauważył Tris drwiąco.

- Lubię ją. Wkłada niewyobrażalny wysiłek w naukę czytania i pisanie, jest głodna wiedzy i ciekawa. Praca z nią to czysta przyjemność. W sumie tak źle o niej mówisz - to co cię to w ogóle obchodzi? - spytał Troy napastliwie, a następnie podniósł brwi. - A może jesteś zazdrosny?

- Oczywiście, trafiłeś w sedno. Troy, jeśli miałbym wyzywać na pojedynki każdego mężczyznę, który zaleca się do Marie, nie miałbym czasu na nic innego.

- Wczoraj nie zauważyłem nic z tego, co jej zarzucasz. Nie wiem, co stało się w Wersalu, tutaj jednak nikt nie może się skarżyć na zachowanie Marie. Widzisz duchy. Albo lepiej, ty chcesz widzieć duchy.

- Zostawmy to. Ta dyskusja do niczego nie prowadzi. Po prostu w odpowiedniej chwili przypomnij sobie moje słowa. I przygotuj wszystko do przetransportowania obu koni.

Marie leżała na swoim łóżku i gapiła się w baldachim, jak gdyby to on był wszystkiemu winny Ból wywołany słowami Trisa ustąpił niepohamowanej wściekłości. Jeszcze sprawi, że pożałuje tych słów. Udowodni mu, że nie jest taka niestała i powierzchowna jak on myśli. Dodatkowo zrobi wszystko, by zniszczyć jego obojętny stosunek do niej. jego ciało jej pragnęło, nieważne, co mówiła głowa. To był zawsze jakiś punkt wyjścia.

Niezwłocznie zaczęła dążyć do tego celu. Już podczas obiadu paplała z ożywieniem ze wszystkimi przy stole, ignorowała jednosylabowe odpowiedzi Trisa i bombardowała go pytaniami, na

które nie mógł po prostu odpowiedzieć „tak” albo „nie”, albo których nie mógł przemilczeć.

Następne dni pokazały, że goście wieczorku w Mimosie odwiedzali się zaproszeniami. Troy pomagał Marie w ich odczytaniu i z uznaniem gratulował jej postępów w nauce. Po kolacji Marie położyła karteczki na stole i posłała Trisowi promienny uśmiech.

- Otrzymaliśmy tyle zaproszeń, że w ciągu następnych tygodni co wieczór moglibyśmy iść gdzie indziej.

Tris potrząsnął głową.

- Nie ma czasu.

Oczy Marie zwężyły się, ale uśmiechała się dalej:

- Kontakty są ważne. Tak samo jak dobre sąsiedztwo.

- Możesz też zyskać nowych klientów - dorzucił Troy. - Marie potrafi świetnie obchodzić się z ludźmi. Założę się, że w mgnieniu oka wciśnie im połowę naszej winiarni.

Tris obracał karteczki w palcach.

- Może masz rację - powiedział w zamyśleniu, a Marie pomyślała, że właśnie przyszło mu do głowy, iż w przyszłości będzie miał dużo wolnych wieczorów.

- Czyli to już postanowione? - spytała. Skinął głową.

- Tak, możecie z Troyem odwiedzić tyle wieczorków, ile chcecie.

Uśmiech Marie zamarł i ponownie zapomniała o wszelkiej dyplomacji.

- Żeby cały świat wytarł sobie nami gębę? - spytała ostro. - Chcesz zrobić złą opinię nie tylko mi, ale także swemu bratu?

- Mimosza należy do niego tak samo jak do mnie. Także on jest kawalerem de Rossac. Nadeszła pora, by także on uczynił coś dla nazwiska. A o jego opinię nie musisz się martwić. Jest w tej okolicy tak czysty jak świeży śnieg, prawda, bracie?

Policzki Troya poczerwieniały.

- Właściwością śniegu jest, że topnieje w upale. Nie zapominaj o tym - zauważył ostro.

- Jakże bym mógł - Tris uniósł brwi.

- Mam dość takich debat - wmieszała się Marie i spojrzała wściekle na męża. - Nie chcesz się ze mną pokazywać, zrozumiałam to. Jesteś tak uparty i tępy jak muł. Troy wyliczył ci zalety. Skoro tak lekko chcesz wszystko porozdawać, to uczyn to. Albo przyjmę

zaproszenia w twoim towarzystwie, Tristanie de Rossac, albo zostaną w domu, a twoje butelki z winem mogą spleśnieć. Co mnie to obchodzi!

- Co ciebie to obchodzi? - spytał Tris z nieoczekiwaną agresją. - Uważasz, że przyszedłeś tutaj i wszystko zmieni się na lepsze tylko dlatego, że zetrzesz kurze i podliżesz się gościom?

Marie oparła ręce na biodrach.

- Nie wiem. Przynajmniej próbuję coś zmienić. W przeciwieństwie do ciebie. Z radością i zadowoleniem krocysz ścieżką, która doprowadzi Mimozę do upadku - podeszła krok bliżej. - A jeśli zechcesz sobie przypomnieć, to już ci powiedziałam, dlaczego to robię. Bo to wszystko, co jeszcze mam.

W pokoju zawisła cisza niczym ciemna chmura. Marie wpatrywała się w Trisa i to w końcu on odwrócił wzrok. Podeszedł do stołu, wziął jedną z kart i podniósł ją. - Dobrze. Ta tutaj. Jutro.

Marie wzięła kartę z jego ręki.

- Jedziesz ze mną? - upewniła się po spojrzeniu na kartkę.

- Tak. Czy moje słowo wystarczy, czy mam przysiąc na Biblię?

- Uważam cię za honorowego mężczyznę, więc twoje słowo wystarczy - zebrała pozostałe karty i położyła je na gzymsie kominka. - Cieszę się, że zmieniłeś zdanie - dodała i pojednawczo się do niego uśmiechnęła. Jednak wystarczyło jedno jego zdanie, by z jej twarzy zetrzeć uśmiech.

- I mam nadzieję, że tego nie pożałuję.

Marie wykorzystała zaproszenie, by bezwstydnie wskazać na zalety wina produkowanego w winiarni braci de Rossac. Poprosiła Troya, żeby opowiedział jej o ogólnych właściwościach wina i cechach charakterystycznych win składowanych w piwnicach Mimozy. Mężczyźni słuchali jej, będąc wyraźnie pod wrażeniem i gdy ponownie wsiadła razem z Trisem do karety, w wewnętrznej kieszeni jego szustokoru znajdował się plik zamówień.

Marie zrezygnowała z utarcia mu nosa tym oczywistym zwycięstwem. Zauważyła, że przez cały czas ją obserwował i nie znalazł niczego, za co mógłby ją zganić.

Poza tym podczas kolacji siedzieli obok siebie i wykorzystała tę okazję, by przez przypadek go dotknąć lub coś szepnąć mu do ucha. Nieskrępowanie flirtowała z nim na oczach obecnych, a jako dobry

małżonek nic nie mógł na to poradzić, jedynie grać i pokazać się ze swojej najbardziej szarmanckiej strony.

Oczywiście żadna pochwała nie przeszła mu przez gardło, gdy wysiedli z karety przed Mimozą. Marie udała się w kierunku swoich komnat. Pomimo jego upartego milczenia podczas jazdy czuła się lekko i była pełna energii.

Zakazała Fanette czekać na siebie, dlatego zdjęła ubrania i wślizgnęła się pomiędzy chłodne prześcieradła. Nieważne, czy sytuacja podczas kolacji, którą tak się rozkoszowała, miała na to wpływ czy nie - w każdym razie tej nocy po raz pierwszy miała sen.

Znajdowała się z Trisem w wynajętych przez nią pokojach u madame Dessante. Trzymał Marie w ramionach, słyszała jego zmieniony namiętnością głos:

- Jeszcze nigdy żadna kobieta nie sprawiła mi tyle przyjemności, jesteś stworzona do miłości, Marie Calliere.

Jego ręce głaskały jej ciało, które w niewytłumaczalny sposób było tak nagie jak jego. Zamiast dać jej się zakuć w łańcuchy, podniósł ją i zaniósł do podestu, na którym stało łóżko. Położył ją i zgiął jej ręce nad głową, jednocześnie ją całując. Potem jego usta opuściły jej wargi i udały się niżej, aż odnalazły sztywne brodawki i zaczęły je ssać. Jej plecy wygięły się, by się do niego przybliżyć, jej nogi objęły go i przyciągnęły. Poczwała, jak wchodzi w nią bez problemu, tak jak gorący nóż wślizgiwał się w masło, i jęknęła. Wciąż trzymał jej ręce nad głową. Próbowwała się odwrócić, jednak jego uchwyt był żelazny, tak samo jak uderzenia, które następowały po sobie w nielitościwym tempie pchającym ją ku orgazmowi.

Gdy doszła, wykrzyczała swoją żądzę tak głośno, że się obudziła. Koszula nocna kleiła się do jej zlanego potem ciała, a w delcie pomiędzy jej nogami pulsowała krew.

Rozejrzała się, ponieważ w pierwszej chwili nie chciała wierzyć, że to sen. Była jednak sama. Dysząc, próbowała się uspokoić. Nigdy jeszcze nie miała erotycznego snu i nigdy nie doszła do orgazmu bez swojego bądź cudzego dotyku. Jej fantazja musiała wywieść w pole żalostną rzeczywistość. Albo jej rozum, który jednoznacznie zbyt dużo zajmował się Tristanem de Rossac.

Przewróciła się na bok i podciągnęła nogi. Pomimo orgazmu dziwnym sposobem nie czuła ulgi. Jej ciało było napięte i - zmarszczyła czoło, ale to wyrażenie najlepiej określało jej odczucia -

oszukane. Zamknęła oczy i miała nadzieję, że w przyszłości sny tego rodzaju zostaną jej oszczędzone.

Życzenie to się nie spełniło. Coraz częściej śniły jej się erotyczne spotkania z Trisem i po przebudzeniu się wciąż czuła brak satysfakcji. W ciągu następnych tygodni sytuacja ta powtarzała się bardzo często, a humor Marie sięgnął dna. Przede wszystkim dlatego, że Tris unikał wszelkich jej prób zbliżenia się do niego, a troskliwego i szczęśliwego męża grał jedynie w obecności osób trzecich. Spotkania takie miały miejsce jedynie z tego powodu, że Tris pojął, iż obecność jego i Marie na wieczorkach w okolicy miała dobry wpływ na sprzedaż wina.

Gdy tylko zostawali sami, czy to w karecie czy w Mimozie, zachowywał się wobec niej wprawdzie grzecznie, ale z dystansem.

Marie próbowała przymknąć na to oczy, ale nie udawało się jej to. Stawała się coraz bardziej rozdrażniona, wyładowywała swój zły humor na Fanette, kucharce lub reszcie służby. Dopiero gdy Troy przemówił jej do rozsądku, przemyślała swoje zachowanie. I zaczęła szukać rozwiązania.

Przeszła do czynów w jeden z następnych wieczorów, podczas którego nie pojechali w odwiedziny, lecz pozostali w Mimozie, Rozebrała się w swoich komnatach, wskoczyła w niebieski, jedwabny szlafrok i wślizgnęła się do pokoju Trisa. Siedział jeszcze z Troyem w pokoju z kominkiem, omawiali miesięczne kalkulacje, dlatego miała wystarczająco dużo czasu, by przygotować specjalną niespodziankę.

Jedwabny szlafrok upuściła obok jego łóżka i na chłodnym, płóciennym prześcieradle położyła się na brzuchu. Udrapowała włosy na nagich ramionach, oparła brodę na skrzyżowanych rękach i czekała. Musiał przyjść, to była tylko kwestia czasu. Jej ciało drżało już z radości. Raz zadziało, dlaczego miałyby nie zadziałać po raz drugi...

Usłyszała, jak ktoś otworzył drzwi i głęboko wciągnęła powietrze. Wszystkie jej zmysły były naprężone do ostateczności. Kroki zbliżyły się do łóżka. Resztkami silnej woli powstrzymała się, by się nie odwrócić. Usłyszała, jak coś spadło na podłogę. Coś lekkiego, jakby kurtka albo spodnie. Przez jej ciało przebiegł dreszcz. Działo! Mogła wcześniej wpaść na ten pomysł.

Włosy na jej karku zostały odsunięte na bok, do jej skóry przycisnęły się gorące, wilgotne usta. Tak, tak, tak, krzyczała

bezglównie, to było zdecydowanie lepsze niż wszystkie sny, które ją kiedykolwiek nawiedziły.

Czekała na to, by dotknął jej wilgotnej cipki i w końcu włożył w nią palce lub penisa. Zamiast tego poruszył się materac obok niej. Powoli odwróciła głowę i zobaczyła, że Tris położył się obok. Miał na sobie koszulę, spodnie, kozaki, a na twarzy minę pełną nagany.

- Marie, czy ty jeszcze nie zmądrzałaś? Mógł wejść któryś z parobków. Albo Troy.

- Ale nie weszli - odpowiedziała hardo. - Poza tym żaden z nich nie miałby czelności zrobić tego, co zrobiłeś w Wersalu.

Oparł głowę na dłoni.

- A więc to wszystko tylko dla mnie?

Marie odwróciła się na bok i prowokacyjnym gestem odgarnęła włosy. Tak jak oczekiwała, jego wzrok krążył od jej piersi do wygiętych bioder i białych ud.

- Dokładnie. Wszystko tylko dla ciebie - powiedziała wyzywająco. W jego oczach zobaczyła ogień, który zdradzał, że nie była mu wcale taka obojętna, jak wynikało to z jego zachowania.

- Dlaczego?

Zmarszczyła czoło. Dlaczego? Co to ma znaczyć?

- Bo mam dość wypełniania obowiązków żony bez otrzymywania żadnych przyjemności - odparła z pewną pikanterią w głosie. - Bo mam dość krążenia dookoła, omijając sedno sprawy. Przecież też mnie pragniesz - złapała zgrubienie w jego spodniach i mocno je trzymała.

Nie uczynił żadnego ruchu, by się oswobodzić.

- Wcale nie zaprzeczam.

- To może moglibyśmy przestać gadać? - spytała podniecona.

- Nie. Naprawdę doceniam to, co robisz dla Mimozy, to jednak nie ma nic wspólnego z tym tutaj. Dlaczego chcesz ze mną spać?

Przez chwilę zwątpiła w jego zdrowy rozsądek.

- Ponieważ moje ciało usycha jak ziemia w winnicach tego gorącego lata. Ponieważ nocami przewracam się bez snu z boku na bok z pożądania, ponieważ moje palce już mi nie wystarczą. Ponieważ chcę poczuć w sobie mężczyźną. Czy te powody wystarczają, czy mam wymieniać dalej? - Wystarczają - zdjął nogi z łóżka i podniósł jej szlafrok. - Ubieraj się i znikaj.

Marie gapiała się na połyskujący, jedwabny materiał pomiędzy jego palcami. Z jej policzków odpłynęła cała krew, by w chwilę później powrócić mocną falą.

- Odrzucasz mnie? - spytała z niedowierzaniem. - Jesteś podniecony. A więc nie jestem ci obojętna. Chcesz mnie. Dlaczego mimo to mnie odsyłasz?

- Ponieważ żaden z twoich powodów nie jest powodem dla mnie - odpowiedział twardo. - Jestem czymś więcej niż zwierzęciem, nawet jeśli trudno ci w to uwierzyć.

- Fakt, w tej chwili trudno mi to uczynić - prychnęła i wyrwała mu szlafrok z ręki.

Oparł się o słup łóżka.

- Czas, byś pojęła, że nie zawsze uda ci się postawić na swoim.

- Ale tobie zawsze się uda - jej palce drżały, gdy wiązała pasek.

- Marie, to do niczego nie prowadzi. Jesteś zapierającą dech w piersiach piękną i dobrze o tym wiesz. Jeszcze nie narodził się mężczyzna, który potrafiłby ci się oprzeć.

- Mimo to nie chcesz mnie... Potrząsnął głową.

- Nie w ten sposób. Marie podeszła do drzwi.

- A więc daj mi znać, gdy znajdziesz sposób, w który będziesz mnie chciał.

Rozdział 20

Marie ciężko było żyć z tym odrzuceniem, jednak nie zmieniła niczego w swoim zachowaniu. Nadal była przyjazna dla Trisa, sąsiadów traktowała z grzecznością i troszczyła się o dom.

Troy przerwał udzielanie jej lekcji pisania, ponieważ uznał, że nauczyła się już wszystkiego, czego mogła i na koniec spisał jej listę godnych polecenia książek z biblioteki. Tym samym dla Marie otworzył się nowy świat, który na krótko pozwolił jej na zapomnienie o problemach z Trisem.

Poza tym napisała list do rodziców. Wprawdzie będą musieli udać się z nim do księdza, żeby się dowiedzieć, co napisała, ale miała potrzebę zdania relacji ze swojego nowego życia. Oni i wszyscy w Trou - sur - Layne powinni dowiedzieć się, że ona - Marie Calliere, biedna córka chłopca - została szanowaną żoną szlachcica.

Lato było wyjątkowo gorące i suche. Tris nie mówił prawie o niczym innym niż o przełożeniu zbiorów, zanim winogrona uschną na tyczkach. W końcu polecił parobkom, by poszukali w Lassieux i innych wsiach ludzi pracujących na dniówkę, by zaczęli zbiory.

Marie obserwowała z tarasu, jak tabor wozów i ludzi wyruszył w drogę do winnic. Wracali wieczorem, wesołe śmiechy odrywały Marie od lektury książki, którą właśnie czytała.

Na placu przed domem rozstawiono stoły i ławy, było tam miejsce dla około pięćdziesięciu pomocników. Suzanne ugotowała dwa ogromne kotły prostego dania, do tego były gotowane jaja, chleb, masło i wino. Ludzie mieli spać w stajniach i na stogach siana.

Marie wyszła na zewnątrz, by ich pozdrowić. Zanim się obejrzała, znalazła się w środku kolorowego tłumu i śmiała się z historii opowiadanych przez pracowników. Dobrze jej zrobiło to, że mogła być jedynie sobą i nie musiała myśleć o tym, by pozostawić po sobie pozytywne wrażenie. Spontanicznie podjęła decyzję, że jutro jedzie razem z nimi do winnic. Trochę odmiany jej się przyda.

Chociaż słońce lało się z nieba, praca w winnicy sprawiła Marie ogromną przyjemność. Zaspokajała ona potrzebę ruchu dziewczyny, a nie była tak wyczerpująca jak koszenie czy uprawianie ziemi w Trou - sur - Layne. Kosze szybko wypełniały się obciętymi winoroślami, a mężczyźni zanosili je do czekających powozów. Prasa stała w przybudówce domu, tak samo jak rozlewnia, w której sok z winogron płynął z gniotownika prosto do dębowych beczulek.

Marie chciwie napełniła kubek świeżo wyciśniętym sokiem z winogron i wypła wszystko jednym haustem. Jej twarz była pokryta brudem i potem, jej włosy wydobyły się z upięcia. Czowała się wprawdzie wycieńczona, jednocześnie jednak była wesoła i zadowolona z wykonanej pracy. W domu Fanette przygotowała dla niej kąpiel, już się cieszyła, że położy się w ciepłej, pachnącej wodzie. Był to oczywiście przywilej pani domu, ponieważ cała reszta pracowników myła się przy studni.

Nalała sobie jeszcze kubek i usłyszała za sobą kroki. Tris wszedł do hali. Musiał wracać od studni, ponieważ miał w ręku brudną koszulę, a na jego nagim torsie połyskiwały kropelki wody. Jego widok sprawił, że w jej brzuchu zatrzepotały motylki.

- I jak tam twój pierwszy dzień przy zbiorach wina? - spytał.

- Dobrze. Męczący, ale nader zadowolający - ostatnie słowo zawisło w powietrzu.

Skinął głową i podszedł do kadzi.

- Po jedzeniu przelejemy sok do beczek.

Marie poszła za nim, ciągnęło ją do niego niczym ćmę do ognia. Zanurzyła kubek w kadzi i podała go Trisowi. Podczas gdy pił, kropla skapnęła na jego tors i wsiąknęła w węzeł od jego spodni.

Na czoło Marie wystąpiły krople potu. Pragnęła go w tym momencie tak bardzo, że z pożądania kręciło jej się w głowie.

- Czy myślisz czasami o tym, jak to było... z nami w Wersalu? - spytała ochrypniętym głosem. - Śnię o tym. Prawie każdej nocy. I dochodzę wtedy, w ogóle się nie dotykając. Moje ciało płonie, a moja skóra jest wilgotna. Wszędzie - podeszła do niego i stanęła tak blisko że widziała puls we wgłębieniu jego szyi.

Spojrzał na nią.

- Tak, często myślę o Wersalu - odpowiedział powoli - o tym, jak w podstępny sposób mnie oszukałaś i dopuściłaś do tego, że zostałem zgwałcony.

Pożądanie Marie zniknęło.

- I nigdy mi tego nie wybaczysz, niezależnie od tego, co powiem lub zrobię?

- Przykro ci? - A czy tobie przykro, że wzięłaś mnie bez mojej wiedzy i zgody? Pomijając już to, że przekreśliłaś tym samym wszystkie moje życiowe plany.

Wzruszył ramionami.

- Wyczerpaliśmy już ten temat. Mam dosyć tych rozmów.

- Tak, ja też mam już dosyć tych bezowocnych debat. Próbowałam już Bóg wie czego, żeby zdobyć twój szacunek i twą przychylność. Jestem dla ciebie dobrą żoną, nawet nie patrzę na innych mężczyzn, stworzyłam ci dom i wspieram cię w interesach. To wszystko się dla ciebie nie liczy. Skoro czujesz do mnie taki wstręt, w przyszłości będę się starała nie pokazywać ci się na oczy.

Odwróciła się i pobiegła z powrotem do domu. Jej łzy nie przestały jednak płynąć nawet, gdy zanurzyła się w ciepłej wodzie w drewnianej balii. Wszystko wydawało się takie bez sensu. Jej wszystkie starania nie robiły wrażenia na Trisie. Wciąż był uwiązany w przeszłości, głuchy i ślepy na teraźniejszość. Nie wiedziała już, co ma uczynić, by zmienić jego postawę.

Przez resztę wieczoru Tris nie mógł się skupić. Nie mógł pozbyć się ze swojego umysłu obrazu, który Marie chciała przywołać. Widział ją przed sobą, jak jęcząc przewracała się w swoim łóżku, jak jej włosy kleiły się do wilgotnej skóry, jak jej uda pocierały o siebie, poszukując wyzwolenia.

Już nawet wspólne wieczory u sąsiadów sprawiały, że nie mógł się opanować. Nie tylko jej uroda, ale także jej zręczność w obchodzeniu się z ludźmi mu imponowała. Rzeczywiście była dobrą żoną. Przypuszczalnie lepszą niż te damulki, które oglądał w Wersalu. I rzeczywiście nie zwracała uwagi na innych mężczyzn. Zamiast tego wykorzystywała całą energię, by go uwieść. Gdyby tylko mógł być pewien, że robiła to nie tylko po to, by zatriumfować nad nim po raz ostatni. Gdyby nie robiła tego wszystkiego, ponieważ nie tylko Mimoza była wszystkim, co jej pozostało, lecz dlatego, że pozostał jej także tylko on.

Następnego ranka zaczął się jeszcze większy upał niż dnia poprzedniego. Tris zobaczył, jak Marie razem z innymi jechała na wozach na wschodnie zbocze. On sam jechał na koniu z drugą grupą ludzi na południowe. Zbiory szły dobrze, a on był zadowolony, że wysiłek fizyczny odciągnie go od innych myśli.

Wczesnym popołudniem od Pirenejów zaczęły nadciągać czarne chmury, w ciągu minut niebo otworzyło wszystkie swoje śluzy. Na poczeriałym nagle niebie pojawiły się błyskawice, a tuż po nich głucho grzmoty. Pracownicy w pośpiechu wrócili do Mimozy, chociaż

zdeenerwowane konie kilkakrotnie się płoszyły i nawet Tris z trudem opanował swojego ogiera.

W połowie drogi spotkali wozy wracające ze wschodniego zbocza. Trisa naszło niewytłumaczalne przecucie i zaczął szukać Marie. Nie mógł jej jednak nigdzie znaleźć. Na swoje pytania otrzymywał tylko przeczące odpowiedzi.

Złe przecucie się pogłębiło. Zawrócił więc i pogalopował na wschodnie zbocze. W międzyczasie zrobiło się tak ciemno i deszcz padał tak mocno, że mężczyzna nie widział przed sobą nawet własnej ręki. Burza smagała coraz zimniejszymi strumieniami deszczu.

- Marie! - burza tłumiała jego głos, nieważne, ile razy w ciągu nawałnicy krzyczał to imię. Z głową przyłożoną do szyi konia pędził przez rzędy winorośli. Wyschnięta ziemia nie mogła przyjąć ogromnej ilości wody, deszcz spływał więc strugami ze wzgórza.

Serce Trisa waliło jak młotem. Znalezienie Marie pośród szalejących sił natury równało się próbie odnalezienia igły w stogu siana. Dlaczego nie pojechała ze wszystkimi do domu?

Nagle błyskawica przecięła niebo i jego ogier stanął na dwóch nogach. Z pewnym wysiłkiem udało się Trisowi postawić konia, gdy błysnęło po raz drugi. W trwającej sekundę jasności ujrzał Marie. Z wyciągniętymi ramionami stała na końcu pola, jej twarz była wystawiona na deszcz. Odgarnął mokre włosy z twarzy z niedowierzaniem. Co ona tam, do diabła, robiła?

Podjechał bliżej, aż stanął przed nią.

- Marie, chodź, wracamy do domu. Odwróciła ku niemu głowę, nie zmieniając pozycji.

- Pada - powiedziała, jak gdyby miała to być odpowiedź na wszystkie pytania.

- Tak, i powinnaś wrócić do domu, zanim piorun cię zabije.

- Boisz się o zwolnienie z podatków, Tris? - rzuciła do niego przez ramię i zaczęła się kręcić. Coraz szybciej i szybciej. Jej mokre włosy fruwały dookoła głowy, rozpryskując krople, mokra spódnica nadeła się jak odwrócony kielich. Był to obrazek równie fascynujący co przerażający.

- Chodź, Marie, zostanie tutaj jest zbyt niebezpieczne - krzyknął przez burzę.

- To idź. Mnie tutaj dobrze. Jest cudownie. Cudownie. Cudownie.

- Marie, bądź rozsądna, my... - piorun uderzył w ziemię bezpośrednio przed nimi. Walnęło głucho, zaśmierdziało siarką, a koń Trisa znowu przerażony stanął na dwóch nogach. Tym razem, mimo wszelkich starań, nie mógł go opanować.

Nagle ogier szarpnął się do tyłu, Tris poleciał przez głowę i wylądował na twardej, błotnistej ziemi. Siła uderzenia pozbawiła go tchu, a gdy znowu zaczął jasno myśleć, koń już dawno był za górami.

Marie, pogrążona w rozmyślaniach, wciąż kręciła się dookoła własnej osi i nie zwracała na niego uwagi. Wstał, zignorował swoje obolałe biodra i złapał Marie za ramiona.

- Przeklęta idiotko - zaklął - następny piorun może nas zabić, koń uciekł, a ty zachowujesz się, jakbyś postradała rozum!

- Czy to oznacza, że rzeczywiście wierzycie w istnienie mojego rozumu, kawalerze de Rossac? - odparła drwiąco i odgarnęła z twarzy mokre włosy.

- W tej chwili nie wiem - wysyczał przez zęby. - Musimy znaleźć jakieś schronienie, nie damy rady dojść do domu.

- Mnie się tutaj podoba. Lubię deszcz, błyskawice i grzmoty. Tutaj wreszcie czuję, że żyję. Żyję! Żyję! - krzyknęła w deszcz. Spróbowała wydostać się z jego uścisku, udało jej się to, pobiegła przez pola.

Tris zaczął ją gonić. Mokra łąka nie była dobrym miejscem do biegania i - w przeciwieństwie do Marie - kilkakrotnie się poślizgnął. Jej jasny śmiech doprowadzał go do skrajnego szaleństwa. Przeklinając, biegł dalej, w końcu udało mu się złapać ją za ociekającą wodą spódnicę i przytrzymać.

Śmiała mu się w twarz. Woda spływała po jej nagich ramionach i gwałtownie opuszczających się i podnoszących piersiach. Przez mokry materiał jej koszuli prześwitywały twarde sutki. Energia, która się z niej wydobywała, była tak samo silna jak energia nawałnicy. - Mogłabyś pozbawić rozsądku nawet świętego - warknął i przyciągnął ją do siebie.

- Ach, więc teraz jesteś świętym - wciąż się śmiała, a on nie mógł już słuchać tego śmiechu. Zamknął jej usta swoimi. Brutalnie. Namiętnie. Z rozpaczliwym już pożądaniem.

Mocno ją do siebie przycisnął. Głęboko zanurkował językiem w jej gorących, słodkich, aksamitnych ustach. Chciał ją ukarać za to, że przez nią ogarnął go strach, i za żądzę, którą odczuwał, gdy tylko ją

ujrzał. Jednak ona nie dała się ukarać i nie przerywając pocałunku, wydostała ręce z jego objęć. Jej palce wślizgnęły się w jego mokre włosy, szarpały je, chcąc jeszcze bardziej się z nim połączyć.

Gdy w końcu podniósł głowę i spojrział w wielkie, ciemne oczy, wiedział, że przegrał. Da jej to, czego pragnie od tygodni.

- Musimy stąd iść. Tu jest niebezpiecznie.

Skinęła głową, jednak on nie wiedział, czy rzeczywiście go zrozumiała. Wziął jej rękę, splótł jej palce ze swoimi i pobiegli dalej.

Błyskawice oświetlały znajdujący się w oddali stary, kamienny dom, w którym od czasu do czasu nocowali strażnicy, by pilnować zbiorów przed złodziejami. Drzwi się zacięły, Tris musiał więc puścić Marie i pchnąć je całym ciężarem swojego ciała. Ku jego uldze dziewczyna stała tak, jak ją zostawił i nie zaczęła biegać po deszczu niczym kura bez łba.

W końcu drzwi ustąpiły i Tris wpadł do środka. Kamienna budowla zatrzymała upał dnia, co sprawiło, że powietrze w środku było gorące i suche jak w piecu. Było zbyt ciemno, by coś zobaczyć. Mężczyzna był przekonany, że gdzieś musiały leżeć świece i krzemienie.

Posuwał się wzdłuż ściany. Drzwi obok niego się zamknęły. Po omacku wyciągnął rękę, by się upewnić, że Marie rzeczywiście podążyła za nim do kryjówki. Jego palce dotknęły mokrego materiału, ześlizgnęły się po miękkiej, ciepłej skórze, aż jego ruch został przerwany przez stłumiony krzyk. Jego ramię zostało złapane przez jakąś rękę, która przyciągnęła go bliżej, druga ręka złapała go za głowę i nagle znowu jego usta znalazły się na jej.

Upojenie sprawiło, że zakręciło mu się w głowie, w jego uszach dudniła krew. Uczepił się jej, jak gdyby była jedynym stałym punktem w jego migoczącym wszechświecie.

- Tris - wyszeptała prawie bezdźwięcznie, a jego imię słyszane z jej ust odebrało mu resztki rozsądku. Jego dłonie gorączkowo wędrowały po jej ciele, na którym wciąż znajdowało się dużo mokrych ubrań. Dopiero, gdy usłyszał trzask rozrywanego materiału uświadomił sobie, że właśnie zrywa z dziewczyny odzież. Znieruchomiał.

- Kontynuuj - wymruczała przy jego ustach.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz, gdy pogłaskał jej nagie plecy.

Tris brutalnie szarpał sznurek od spódnicy, która w końcu spadła na podłogę. Przycisnął się do niej. Ponownie odwzajemniła jego pocałunek z nieskrywaną namiętnością, jeszcze bardziej wzmagając jego podniecenie. Złapał ręką za jej pośladki i ugniatał je, przyciskając jej miednicę do swego nabrzmiałego członka. Jęknęła cicho i z ochotą rozsunęła nogi.

Przycisnął ją do drzwi, wyjął swojego członka i podniósł Marie. Owinęła nogami jego biodra i już był w niej. Przyjemność, jaką poczuł podczas wchodzenia, zaparła mu dech w piersiach. Sapiąc, próbował się pohamować, jednak jego ciało go nie słuchało.

Uderzał tak mocno i szybko, że ręką musiała się trzymać belki nad swoją głową. Jego usta podążały od jej brody do gardła, lizały szalejący puls w zagłębieniu szyi i w końcu odnalazły wypukłości jej piersi. Z jękiem zanurzył twarz w miękkiej pełni.

Jej wolna ręka czesała jego włosy i przyciskała jego głowę mocniej do siebie.

- Nie przestawaj, jest tak dobrze, tak bardzo... tego chciałam...

- Nie bardziej niż ja - wysapał. Wbił w nią palce, gdy wytrysnął w niej po głębokim pchnięciu, wywołując orgazm również u niej. Zaciśnęła się dookoła niego i wycisnęła go do ostatniej kropli.

Oparł czoło o drzwi obok jej głowy. Jej ręce głaskały jego plecy, nie wykonała żadnego gestu, by zdjąć nogi z jego bioder. Bicie jego serca uspokoiło się, tak samo oddech, jednak jego pożądanie pozostało. Myślał, że wystarczy, gdy raz weźmie ją w ramiona, że w ten sposób uda mu się przegnać demony. W tym momencie pojawił jednak, że jego życie nigdy już nie będzie takie jak dawniej. Że odkąd zobaczył ją po raz pierwszy w Wersalu, jego życie się zmieniło.

Zrobił krok od drzwi, a Marie wciąż na nim wisiała. Ostrożnie pogłaskał jej plecy. Ostre drewno mogło pokaleczyć jej delikatną skórę.

- Marie - szepnął jej do ucha. - Puść mnie. Poszukam świec i krzemieni.

Podtrzymał ją, gdy ześlizgiwała się z jego ciała i chwiejąc się, stanęła na własnych nogach.

- Trzymaj mnie mocno - wymruczała przytulona do niego.

- Trzymam cię - zapewnił i macał wolną ręką po pokoju. Wpadł na coś, co mogło być stołem, a na blacie znalazł dwie grube świece.

Niewiele później zapalił obie świece i rozejrzał się po pomieszczeniu. Poza stołem znajdowały się tam także trzy proste, drewniane stołki i skrzynia. Wzdłuż jednej ściany biegła półka, na której stał dzban i kubek. W przeciwległym rogu leżał słomiany materac. Oba małe okna miały zamknięte okiennice. Przez szczeliny okiennic migotało drgające światło błyskawic.

Marie wciąż się do niego przytulała. Gorące powietrze w pomieszczeniu wysuszyło jej włosy, które w słabym świetle świec błyszcząły złotem. Była - w przeciwieństwie do niego - całkowicie naga, i sam ten fakt wystarczył, by ponownie zburzyć jego krew.

Podpierając ją ramieniem, podszedł do prowizorycznego legowiska. Wyglądało na całkiem czyste, chociaż trochę podniszczone. Zaczął odpinać guziki swojej koszuli, gdy Marie położyła palce na jego dłoni.

- Zostaw to mnie - wyszeptała. - Już od dawna marzyłam o tym, żeby cię rozebrać.

Odpinała guzik za guzikiem i całowała przy tym raz za razem uwolnioną z materiału skórę. W końcu koszula została ściągnięta przez ramiona na dół. Następnie Marie się pochylała, by ściągnąć mu buty i pomóc mu zdjąć spodnie. Gdy się wyprostowała, pogłaskała jego twardego penisa i delikatnie pocałowała jego czubek, który natychmiast wyłonił się z napletka.

- Może później - powiedziała pocieszającym tonem i objęła Trisa ramionami. - Teraz jestem zbyt pożądliva, by mieć cierpliwość do gierki. Chcę jeszcze raz poczuć cię głęboko w sobie.

Jej ochryple głos sprawił, że przez jego plecy przebiegł dreszcz. Chętnie pozwolił się jej pociągnąć na siennik. Rozłożyła nogi, wślizgnął się pomiędzy nie i oparł swoje łokcie obok jej głowy.

Marie popatrzyła mu w twarz. Migające światło świec rzucało na jego rysy demoniczne cienie. Czowała się jak w jednym ze swoich snów. Wkrótce się obudzi i znajdzie się sama w swoim łóżku. Jak zawsze.

Schylił się do niej. Na jej twarz posypały się delikatne pocałunki, dziewczyna westchnęła z przyjemności. Jej dłonie bezustannie głaskały jego pierś, a jej ciało wygięło się ku niemu jak w jej śnie. Zaraz będzie po wszystkim. Zaraz się obudzi, rozpalona pożądaniem i nie mająca nic innego poza dziesięcioma palcami, by je zaspokoić.

Twarda, okrągła główka ślizgała się po jej muszelce i leciutko w nią weszła. Marie wstrzymała oddech. Czy to możliwe, że jednak nie śniła?

Główka wysunęła się i znowu uderzyła. Łagodnie, bardzo delikatnie, jak gdyby chciał się z nią tylko droczyć. Jego usta wędrowały od jej ucha do ust. Tak samo delikatnie, jak zdobywał ją swym penisem, wciągnął między zęby jej dolną wargę i zaczął ją ssać. Jego ręce zanurzył się w jej włosach, dookoła palców owijał sobie ich pasemka. Jej wzdychanie przemieniło się w jęk. Pełna tęsknoty wiała się pod nim.

- Mamy czas, moje serce. Mamy czas całego świata - wyszeptał jej do ucha. Jego gorący oddech sprawił, że zaczęła drżeć. Próbowwała leżeć spokojnie i została za to nagrodzona, ponieważ wślizgnął się w nią trochę głębiej.

Serce Marie zaczęło szaleć. Z każdym milimetrem, o który posuwał się dalej, jej ciało dopasowywało się do niego, tak długo, aż całkowicie ją wypełnił. A wypełnił więcej, niż tylko jej gorącą cipkę. Wypełnił każde włókno jej istnienia. Jeśli do tej pory myślała, że go kocha, to w tej chwili pojęła, co naprawdę oznacza miłość. Nie tylko zwykłe złączenie się dwóch ciał, lecz złączenie się dwóch istnień w jedno.

Wiedziała, co on czuł, co myślał, czego chciał, czego potrzebował. Gdyby w tej chwili jej szczęście musiało zostać przypieczętowane śmiercią, umarłaby z radością. Kochał ją. Widziała to w jego oczach, czuła to w jego ruchach i słyszała w sposobie, w jaki szeptał jej imię.

Pojęła to, co chciała usłyszeć w nocy, gdy leżała naga we własnym łóżku. Starła się wypowiedzieć to zdanie, jej głos zadławił się jednak podczas szlochu. Nie pozostało jej więc nic innego, jak zanurzyć głowę w jego szyi. Gdy doszła, jej orgazm był tak wszechogarniający, jak gdyby chciał zabrać ją z jej ciała w nowy wymiar, w nowe istnienie.

Zwalił się na nią i przycisnął ją ciężarem całego ciała do twardego podłoża. Jednak ona tego nie czuła. Jej ramiona mocno go trzymały, a jej usta mamrotały wciąż i wciąż:

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Rozdział 21

Marie obudziła się. Potrzebowała paru chwil, by zorientować się w sytuacji. Na jej biodrach leżała ciężka ręka. Słyszała regularny oddech. Jeszcze nigdy nie zasnęła przy mężczyźnie i jeszcze nigdy nie obudziła się w ramionach mężczyzny. Do tej pory pozwalała się wykorzystywać i sama wykorzystywała innych. Jednak czując ciepłe, twarde ciało przytulone do swojego, nauczyła się kolejnej lekcji na temat miłości i jej znaczenia.

Gdy się lekko położyła, ręka objęła ją mocniej. Marie drząc, oddychała. Szukał jej, poszedł w szalejącą burzę, by ochronić ją przed jej własną głupotą. Najchętniej odwróciłaby się i oplotła rękami jego szyję. Nie chciała go jednak budzić, zamknęła więc oczy i rozkoszowała się poczuciem bezpieczeństwa, wynikającym z tego bycia razem.

Zdrzemnęła się, rozmyślając, co powie Trisowi, gdy ten się obudzi. Wprawdzie nie powiedział głośno, że również ją kocha, ale to przecież nie było konieczne. Czowała to w jego zdyszanych pocałunkach, w jego jękach i ochryple szeptanych miłosnych słowach.

Teraz wszystko będzie inaczej. Jej życie nie będzie już wyznaczone przez chłód i obojętność. Nigdy więcej samotnych nocy. Żadnego milczenia podczas kolacji lub powrotnych podróży z wieczorków.

Jej rozmyślenia zostały przerwane pocałunkiem w kark. Jednocześnie jego ręka zaczęła głaskać jej brzuch ku dołowi. Marie uśmiechnęła się i przyjemnie się wyciągnęła. To było oczywiście o wiele lepsze niż słowa. Jego ręka objęła jej pierś i przejechał kciukiem po koniuszku, aż podniósł się z tęsknotą.

Jęknęła i potarła swoje pośladki o jego penisa, który podniósł się z taką samą tęsknotą. Jego usta prześlizgnęły się do jej ucha.

- Gotowa do powitania nowego dnia? Marie zachichotała.

- Zawsze i chętnie.

Jego ręka powędrowała od jej piersi do futerka.

- Rzeczywiście. I to przed wschodem słońca - wsunął się w nią od tyłu i jednocześnie głaskał nabrzmiące wargi jej muszelki.

Marie przechyliła głowę do tyłu i oparła ją na jego piersi. Czowała się jak instrument, na którym gra mistrz w swoim fachu, po prostu pozwoliła popędzać się swojemu pożądaniu. Jej podniecenie powoli, ale bardzo skutecznie zwiększało się w rytm jego leniwych uderzeń.

Ze środka jej ciała promieniowało gorąco aż do czubków palców, a orgazm przetoczył się przez nią nieodpartym ciężarem.

Pozostał w niej, głaskał jej uda prawie że uspokajająco i gryzł ją w szyję. Odwróciła głowę, żeby znalazł jej usta i rozkoszowała się jego pocałunkami. Jej palce głaskały jego pierś, przeczesywały aksamitne runo i pieściły jego małe brodawki. Jego pocałunki stały się intensywniejsze, a jego pchnięcia mocniejsze.

Zgięła kolana i włożyła rękę między nogi. Czuła, jak wbija się w nią twardy i wilgotny, to sprawiało, że słabła z rozkoszy. Przycisnęła do niego swoją rękę i masowała nasadę jego penisa i mosznę.

Oderwał usta od jej ust i wytrysnął w niej ze stłumionym krzykiem. Swoim ciałem i w ręce czuła jego skurcze, ogarnęło ją spełnienie, którego dotąd nie zaznała.

Upadł za nią na plecy. Marie odwróciła się do niego. Jedną ręką zasłonił sobie oczy, drugą położył obok bioder. Wzięła tę dłoń i pocałowała czubek każdego palca.

- Jesteś niesamowity. Kocham cię.

Szczęśliwa położyła głowę na jego piersi i gładziła paznokciami delikatną skórę jego boku. Zdjął rękę z oczu i spojrzał na okno. Przez szczeliny w okiennicach do pomieszczenia wpadało słabe światło.

- Jest jasno. Powinniśmy wrócić do Mimosy, zanim wyślą za nami ekipę poszukiwawczą.

- Ach, mogłabym tutaj zostać na całe dni - wymruczała Marie i podsunęła się wyżej, żeby go pocałować.

Kokieteryjnie owijał jej włosy dookoła swoich palców.

- Może innym razem - odparł, a jego oczy błyszczały niemą obietnicą. Odwzajemnił jej pocałunek, ale zanim zdążyła go pogłębić wstał i trochę ją od siebie odepchnął. - Wracajmy, zanim zaczną się o nas martwić.

Marie nadeła dolną wargę i niechętnie posłuchała. Celowo wstawiała jednak bardzo powoli, prowokująco wyciągnęła rękę nad głowę, by wysunąć na pierwszy plan swoje piersi, w końcu schyliła się po spódnicę. Odwróciła się przy tym do niego tyłem i cała czynność zabrała jej więcej czasu niż to konieczne. Jednak ku jej rozczarowaniu nie zareagował. Wskoczyła więc w spódnicę i rozejrzała się za gorsetem i koszulą. Obie części garderoby leżały podarte obok drzwi. Podniosła je i oglądała je ze zmarszczonym czołem.

- Weź moją koszulę - powiedział Tris, stojąc za Marie. Strzepnął koszulę i przytrzymał, żeby łatwiej było ją założyć. Podwinęła trochę rękawy i uśmiechnęła się do niego. Stał przed nią i zaczął zapinać guziki. Patrzył na jej twarz. Pochylił się, ona również i w połowie drogi ich usta się spotkały. Namiętność wybuchła ponownie i Marie zarzuciła ręce na jego ramiona.

- Jaki czar na mnie rzuciłaś? - Byliśmy razem całą noc, a ja wciąż nie mam dosyć - wymruczał jej w usta.

- Ze mną jest tak samo - odparła Marie i pogładziła twarde mięśnie jego pleców. - Jeśli ktoś rzucił jakiś czar, to na nas oboje - przytuliła głowę do jego ramion. - Zostańmy tutaj. Godzinę albo dwie, nie więcej.

- Nie, wracamy do domu - odparł rozsądnie i podszedł do drzwi.

Słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Było ciepło, ale bez dusznego upału ostatnich tygodni. Pachniało wilgotną ziemią, rozmarynem i lawendą. Marie włożyła dłoń w dłoń Trisa i pełna radości poczuła, jak splótł swoje palce z jej. Kolory dookoła błyszczały jaśniej, śpiew ptaków jeszcze nigdy nie zdawał jej się słodszy. Z radością pomachała do pracowników, którzy już zbierali winogrona.

Marie rozkoszowała się pięknem poranka, byciem razem z mężczyzną, którego kochała. Jego milczenie jej nie przeszkadzało, ponieważ była pogrążona w swoich własnych rozmyślaniach. Dopiero, gdy na horyzoncie pojawiła się Mimoza i Tris puścił jej rękę, zaczęła mieć niejasne przeczucie, że być może wydarzenia tej nocy nie miałyby miejsca w świetle dziennym.

Troy wybiegł im naprzeciw.

- Świetnie, że jesteście. Po obiedzie miałem zamiar wybrać się wraz z kilkoma mężczyznami na poszukiwania. Nic wam się nie stało?

- Nie, znaleźliśmy schronienie - odpowiedział Tris. - Czy burza sprawiła jakieś problemy? - Nie, pracownicy dotarli cali i zdrowi, tak samo jak twój koń.

- Dobrze. Idę się przebrać. Zobaczymy się później - poszedł długimi krokami w kierunku domu. Marie pobiegła za nim.

- Poczekaaj, Tris, poczekaaj na mnie.

Nie stanął, a jej serce ścisnęło zimno. Poszła za nim do jego pokoju i bezszelestnie zamknęła drzwi.

- Tris, co się z tobą stało? - spytała bez tchu. - Czy znowu masz zamiar mnie ignorować? Po tym wszystkim, co się wydarzyło ostatniej nocy?

Otworzył skrzynię i wyjął świeżą koszulę.

- Marie, nie zignorowałem ciebie, a ostatnia noc była rzeczywiście bardzo... urocza.

- Urocza? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Tris, kocham cię. Ta noc była objawieniem. Musiałeś to poczuć. Wiem, że to poczułeś. Wiem, że mnie kochasz.

Zapiął ostatnie guziki koszuli.

- Marie - zaczął powoli. - Zeszła noc była wynikiem zgromadzonych cielesnych potrzeb. Bez wątpienia było to fantastyczne, namiętne przeżycie. Ale z miłością nie miało nic wspólnego.

Gdyby ją uderzył, jej ból nie mógłby być większy.

- Kłamiesz - wybełkotała, czując jak jej oczy wypełniają się łzami. - Kocham cię. A ostatniej nocy także ty kochałeś mnie.

Potrząsnął głową.

- Pożądam ciebie, Marie. Pożądam ciebie, jak jeszcze nigdy nie pożądałem żadnej kobiety. Ale miłość...

Marie patrzyła na niego uporczywie.

- Ale ja cię kocham, widzisz to przynajmniej? Milczenie zbudowało pomiędzy nimi niewidoczny mur. Dziewczyna zaczęła drżeć. - Tris, odpowiedz mi.

Westchnął.

- Zostawmy to, Marie.

- Odpowiedz mi.

Gniewnie odrzucił głowę. Gdy znowu na niego spojrziała, jego wzrok był twardy jak szkło.

- A więc mnie kochasz tak jak króla? - spytał ostro.

- To podłe - odpowiedziała wojowniczo. - Przecież dobrze wiesz, że nie kochałam króla...

- Zapewniałaś go o tym we łzach. Tak jak teraz. Marie spróbowała się uspokoić i zacząć trzeźwo myśleć.

- To było kłamstwo. Przecież o tym wiesz. To nie ma nic wspólnego z nami - milczała przez moment. - Nie możesz mi wymawiać moich błędów z przeszłości aż do śmierci. Ostatnie tygodnie i miesiące... czy to wszystko się dla ciebie nie liczy? Co

jeszcze mam zrobić, żeby udowodnić moją miłość? Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył? - zawołała z rozpaczą.

- Marie, przestań. To bez sensu. Nie musisz nic robić

- opuścił głowę. - Daj mi czas. Mrugała, by przegonić łzy.

- Mam dać ci czas, żebyś mi uwierzył, że cię kocham?

- spytała, nie rozumiejąc.

- Daj mi czas, żebym sobie to wszystko przemyślał.

- Ile potrzebujesz? - przeganiała myśl, że może sobie wszystko poukładać i dojść do wniosku, że jej nie kocha.

- Nie wiem.

Wyczuła jego przygnębienie i nie wątpiła w szczerść jego słów. Nie chciała jednak tak szybko dać za wygraną.

- Nie pozwolę ci się odsunąć na bok, jak mebel, który odgrzebuje się od wielkiego dzwonu, a który w inne dni stoi zakurzony w rogu. Chcę dzielić z tobą życie. Pracuję dla Mimozy, towarzyszę ci i od tego momentu chcę dzielić z tobą łóżko jak przystało na żonę. - Marie - zaczął ze zmęczeniem.

- Nie, żadnych wymówek, nie zniosę twojego chłodu. Nawet jeśli jedyne, w czym do siebie pasujemy, jest to - wskazała na jego łóżko - to i tak jest to więcej, niż łączy wiele innych małżeństw.

Patrzył na nią zrezygnowany.

- Skoro tak ci na tym zależy...

Podeszła do niego i położyła dłonie na jego piersi.

- Tak, naprawdę bardzo mi na tym zależy. Chcę być przy tobie. Tęsknię za tobą. Gdy usypiam, chcę słyszeć twój oddech. Chcę cię widzieć, gdy się budzę.

Patrzył na nią w milczeniu, jednak w jego oczach nie pozostało nic z tego obiecującego błysku, który tak kochała.

- Dobrze, niech więc tak będzie. Marie ucałowała kącik jego ust.

- Nie pożałujesz tego.

Tris patrzył za nią, gdy wychodziła z pokoju, potem opadł na łóżko. Oparł łokcie na kolanach i zanurzył głowę w dłoniach. Chciałby móc wierzyć jej zapewnieniom. Jednak zdawała mu się być dzieckiem, które znalazło nową zabawkę i sprawdzało, co można z nią zrobić. Tak długo, aż ją zepsuło.

Przed jego oczami ukazał się moment, w którym zobaczył ją po raz pierwszy. Zadziorne stworzenie; zakochane w sobie dziecko w ciele kobiety, które właśnie zaczęło wypróbować swoją siłę i

myślało, że nikt nie może go zranić. Obrazek się zmienił, zobaczył jak leży naga na łóżku. Przypomnienie sobie tej sceny wciąż odbierało mu oddech. Od tej chwili nie przestał jej pożądać. Nic, co zrobił albo czego nie zrobił, nie mogło tego zmienić. Widział przed sobą chłodną, zdystansowaną piękność, która tak okrutnie sobie z nim postąpiła u madame Dessante, promieniującą energią pogańską boginię, która zatracona w sobie tańczyła w deszczu. I kobietę, która pośród łez zapewniała go, że go kocha.

Tak bardzo chciałby jej uwierzyć, tak chętnie położyłby swoje serce na jej dłoni. Gdyby tylko był pewien, że nie zgniecie go ze śmiechem.

Rozdział 22

Z okazji swojego powrotu z Paryża książę de Mariasse zorganizował pompatyczne, letnie przyjęcie, zapraszając nań wszystkich sąsiadów z bliższej i dalszej okolicy. Festyn miał trwać pięć dni, dlatego Marie zdecydowała, że Fanette będzie jej towarzyszyć. Za to Tris i jego brat zrezygnowali z towarzystwa kamerdynerów. W końcu w Mimosie dawali sobie radę bez takich służących.

Marie przerobiła suknie z Wersalu, doszywając do nich nowe wstążki i falbany. Suknie zostały złożone w dwóch skrzyniach i wysłane do Belletoile, siedziby księcia. Fanette pojechała razem z nimi i otrzymała zadanie przygotowania komnat.

Marie dołączyła do niej z dwoma kawalerami de Rossac dzień później. Jeszcze przed kilkoma tygodniami byłaby podekscytowana, w końcu słyszała już plotki o pełnym przepychu dworze księcia i jego legendarnych przyjęciach. W międzyczasie jednak stała się bardziej rozważna wobec tych spraw. Uczty, stroje, to już jej nie kusiło. Była zadowolona ze swego życia. Przynajmniej ogólnie rzecz biorąc. Tris wciąż wzbraniał się przed przyznaniem, że ją kocha oraz przed zaakceptowaniem faktu, że ona go kocha. Dotrzymał jednak słowa i każdej nocy spała z nim w łóżku. Często zdarzało się, że robili znacznie więcej, niż tylko spali. To jednak nie zmieniło ich relacji. Wciąż zachowywał się z rezerwą, aczkolwiek nie był już tak chłodny i nie unikał kontaktu jak przed kilkoma tygodniami. Okazjonalnie prawil jej komplementy, zwłaszcza pod kątem jej kontaktów z gośćmi.

Nie było to tym, do czego tak tęskniła, ale lepsze to niż nic. Marie uciekła w suchy fatalizm i żyła już z dnia na dzień. Przekreśliła wszystkie swoje dalekosiężne plany.

Zamek Belletoile wraz z przylegającymi do niego ziemiami należał do największych posiadłości w Prowansji, o ile nie w całej Francji. Przyjęcia, które w nim urządzano, były tak samo legendarne jak ogromny park ze stawami, wodotryskami i zwierzyńcem.

Fosa była już wprawdzie od dawna wyschnięta, a most zwodzony został zastąpiony murowaną drogą dojazdową, jednak wielkość budowli i tak zrobiła na Marie ogromne wrażenie.

Podziw wywołały u niej także wnętrza, wytworne meble i nieprawdopodobna liczba służących, którzy uwijali się jak mrówki. Fanette czekała na nią w amfiladzie składającej się z pięciu pokoi. Z

sypialni było wyjście na balkon, z którego rozpościerał się widok na park.

Marie z zafascynowaniem oglądała liczne kolorowe arabeski z kwiatów, którymi ozdobiono trawniki; fontanny unoszące się z wodotrysków różnej wielkości i posągi stojące wzdłuż wysypanych żwirem dróg. Słońce już zachodziło, liczni służący w liberjach rozstawiali misy z ogniem, lampiony i pochodnie.

- Podoba ci się? - Tris stanął za nią.

- Oczywiście, komu by się to nie podobało? - oparła się o niego i rozkoszowała się siłą jego ciała oraz tym, że objął ją w talii i pocałował we wrażliwy punkt za uchem.

Odkąd dowiedział się o powrocie księcia i zaproszeniu stał się bardziej odprężony. Miała nadzieję, że dni spędzone tutaj będą miały pozytywny wpływ na ich związek.

Przytuleni do siebie przez chwilę patrzyli na malowniczą scenerię, aż wreszcie Tris wypuścił Marie z ramion.

- O ósmej będzie kolacja, nie możemy się spóźnić. Dziewczyna skinęła głową.

- Dobrze, pospieszę się. Przyjdiesz po mnie?

- Tak, inaczej jeszcze się zgubisz.

- Taka możliwość istnieje bez wątpienia.

Z pomocą Fanette, która wyprasowała wszystkie stroje, ubrała się i uczesała na czas. Suknia, którą miała na sobie, była uszyta z satyny w kolorze bzu, ozdobiono ją różowymi wstążkami i falbankami. Modny dekolt sięgał aż do ramion i odsłaniał podtrzymywane gorsetem piersi i sporą część pleców. Z upiętych i przyozdobionych jedwabnymi kwiatami włosów spadały na ramiona dwa loki. Użyła czerwonego barwika do ust i policzków, pod kąciem ust przykleiła sztuczny pieprzyk. Węgłem do oczu podkreśliła ich kontury.

Już dawno nie miała na sobie odświętnego stroju. Na przyjęcia w sąsiedztwie Mimozy zakładała proste stroje i w większości rezygnowała ze szminki. Jednak taka oprawa wymagała czegoś szczególnego.

Właśnie zastanawiała się, jak na jej wygląd zareaguje Tris, gdy otworzył drzwi i Marie na chwilę zabrakło tchu.

Spodziewała się, że będzie miał na sobie jeden z owych kolorowych strojów, w których widziała go w Wersalu. Zamiast tego miał na sobie szustokor z ciemnoniebieskiego aksamitu, a pod szaro -

srebrnym kubrakiem połyskiwała biała koszula. Zamiast butów z klamerkami miał czarne buty na wysokich obcasach, na których mankiety opadały spodnie a la rhingrave, związane pod kolanami szarymi wstążkami. Szeroki pas, w którym znajdowała się jego dworska szpada, leżał nisko na biodrach. Zrezygnował z peruki; jego włosy opadały na ramiona.

Wyglądał tak nieopisanie wspaniale, że mięśnie brzucha Marie się napięły. Poczwała, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach.

W dłoniach trzymał kwadratową szkatułkę. Marie zauważyła ją jednak dopiero, gdy przed nią stanął.

- Rzeczywiście jesteś już gotowa.

- Tak - więcej nie była w stanie powiedzieć, a i tak to jedno słowo wypowiedziała drżącym głosem.

- A więc mogę ci to już założyć - otworzył szkatułkę i oczy Marie rozszerzyły się z niedowierzaniem. Na ciemnoczerwonym aksamicie przed nią leżały kolia, kolczyki, tiara, broszka i bransoleta. Splecione ze sobą ornamenty i pędy ze złota były wysadzone iskrzącymi brylantami. Efektu, jaki wywoływały, nie psuły żadne inne kamienie.

- To biżuteria rodzinna de Rossac. Jesteś piątym pokoleniem, które będzie ją nosić.

Marie podniosła głowę. Miała nadzieję, że wyczyta na jego twarzy poruszenie, które jej udowodni, że chodzi tutaj o coś innego niż tylko rytuał, że fakt, iż przekazuje jej tę biżuterię, ma dla niego jakieś znaczenie. Jednak jak zwykle jego mina niczego nie wyrażała. Wyjął kolię i założył Marie na szyję. Biżuteria była zimna, dziewczyna nie mogła zapobiec dreszczowi, który przebiegł jej po plecach. Przy każdym oddechu z kamieni wydobywały się iskry. Jeszcze nigdy nie miała tak kosztownej biżuterii.

- Nie należy do ciebie - powiedział, jak gdyby czytał w jej myślach. - Tylko ją nosisz. Tak jak moja matka. A później żona twojego pierworodnego syna. Biżuteria jest przekazywana niczym depozyt z pokolenia na pokolenie. Dlatego nie wolno jej sprzedać, nieważne, jaka bieda panuje w rodzinie. Nieważne, czy w rodzinie panuje głód i nędza.

Dotknęła diamentów.

- Dziękuję. Nie zapomnę twych słów. Będę szanować tę biżuterię. Dla następnego pokolenia - utkwiała wzrok w jego twarzy i zauważyła, że jego policzki poczerwieniały. - Wyglądasz świetnie.

- Mogę jedynie odwzajemnić ten komplement.

- A gdzie są te wszystkie kolorowe kaftany, które nosiłeś w Wersalu? - spytała z ciekawością.

- Wróciły do swojego właściciela. Pożyczył mi je Henri. W ciągu miesiąca każe sobie szyć tyle ubrań, ile ja w ciągu pięciu lat. Poza tym mój skromny styl uważał za nieodpowiedni do Wersalu i dlatego służył mi pomocą. A jako jego gość nie mogłem się przed nią wzbraniać.

Pomógł Marie założyć tiarę i bransoletę. W końcu sięgnęła po wachlarz.

- Możemy iść.

Troy czekał na nich przy drzwiach do galerii. Tam miała zostać spożyta kolacja. Porównanie tego miejsca z Wersalem nie było przesadą. Naprzeciwko okiennej fasady zbudowano ścianę luster, które powiększały olbrzymie pomieszczenie i zwielokrotniało liczbę gości. Oko patrzącego cieszyły kryształowe żyrandole, wspaniałe freski na suficie i lamperie z czerwonego marmuru, na których wiły się złote kwiaty.

We trójkę podeszli do gospodarza, pogrążonego właśnie w rozmowie z grupą mężczyzn. Jednak gdy ksiązę zauważył Trisa, przeprosił swoje towarzystwo w kilku słowach i podszedł do nich. Niesamowicie okazałe loki, które spadały na jego ramiona, były tak samo fałszywe, jak uśmiech na jego twarzy.

- Mon cher, jakaż to radość znowu cię widzieć - zawołał i bez ogródek wziął mężczyznę w ramiona. - Bez ciebie Wersal był miejscem smutnego potępienia.

- I dlatego pozostałeś tam przez pół roku - pomimo słów przepełnionych sarkazmem Tris serdecznie odwzajemnił uścisk. Gdy się cofnął, złapał Marie za łokieć. - Madame de Rossac poznałeś już w Wersalu.

Ksiązę de Mariasse złożył głęboki ukłon.

- Nie do zapomnienia jest wasza promieniująca piękność - wyszemrał szarmancko. - Jakież to wzbogacenie naszej tak ubogiej w atrakcje okolicy.

Marie z gracją podniosła się z dygnięcia.

- Jedna z atrakcji zapiera mi właśnie dech w piersiach - uśmiechnęła się chytrze, podkreślając swoje słowa efektowną przerwą. - Zamek ten jest w rzeczy samej tak samo powalający jak jego właściciel.

Brwi księcia podniosły się.

- Czarujące, naprawdę czarujące, madame. Mam nadzieję, że będę mógł jeszcze gościć was w Belletoile. Teraz jednak wybaczone mi, gdyż całej mojej uwagi wymaga mój gość honorowy, hrabia de Saint - Croix, siostrzeniec księcia. Przyjechał tutaj ze mną z Wersalu, ponieważ jest zdania, że poza stolicą życie odpowiednie do stanu nie jest możliwe. Dlatego więc muszę go oczywiście przekonać, iż jest całkiem odwrotnie. Zobaczymy się na kolacji - skinął do Troya, nie kierując do niego bezpośrednio ani jednego słowa i wmieszał się w tłum ludzi.

- Zdaje się, że do podania kolacji mamy jeszcze trochę czasu. Dopiero co widziałem, jak Justin i Clement wałęsają się po parku, może uda mi się ich znaleźć - z tymi słowami Troy opuścił swego brata oraz Marie i udał się na zewnątrz.

Dziewczyna wzięła od Trisa kielich szampana i rozejrzała się. W sali znajdowało się około stu gości, w ogrodach spacerowało co najmniej drugie tyle, jak mogła zobaczyć przez otwarte skrzydła wysokich drzwi. Orkiestra kameralna zajęła miejsce w rogu i stroiła instrumenty. Wzdłuż stołu biegali lokaje, nadając kwiatowym aranżacjom i świecznikom ostateczny szlif.

- Tris.

Podniecony głos sprawił, że Marie się odwróciła,

- Tris - hrabia du Plessis - Fertoc ślizgał się jak mały chłopiec po wyfroterowanym, gładkim jak lustro parkiecie, dziko machając przy tym rękami. Udało mu się zatrzymać na wysokości Trisa i uśmiechnął się do niego promiennie zanim rzucił mu się w ramiona. Stojący dookoła ludzie w zależności od charakteru przyglądali się im ukradkiem lub dyskretnie odwracali wzrok.

Twarz Trisa została przyciśnięta do szerokiej piersi, a jego plecy były czule klepane. Uwolnił się z pewnym trudem.

- Jacques, jak się masz?

- Dobrze, dobrze. Dziękuję. Diabło rośnie i rośnie. Wkrótce nie będzie już małym konikiem. Ghislaine mówi, że w przyszłym roku będę już mógł na nim jeździć. Teraz jest jeszcze zbyt słaby. Kazałem

mu zrobić czerwoną uzdę z mosiężnymi guzikami. Prowadzam go na niej, jak tylko mam czas. Lubi to. Dlaczego już do nas nie przychodzisz, Tris? Granie w karty tylko z Ghislaine jest takie nudne.

- Mam dużo pracy, Jacques. Przecież wiesz, że teraz, jesienią, musimy tłoczyć wino. Zimą znowu będę miał więcej czasu, wtedy przyjdę do was z odwiedzinami. Albo wy przyjdziecie do nas. Albo spotkamy się u Henriego, teraz, gdy już wrócił z Wersalu.

Hrabia spuścił głowę ze skruchą.

- Henri mnie nie lubi. A przecież tyle razy mu mówiłem, że niechcący stłukłem tę wazę. Ja się tylko potknąłem, i dlatego... - przerwał.

- Jestem pewien, że Henri już dawno o tym zapomniał. Nie myśl o tym - Tris próbował go uspokoić.

- Może masz rację. Przecież Henri ma tyle waz. Jedna mniej lub więcej to przecież bez znaczenia - na jego twarzy znowu pojawił się promienny uśmiech, nieznający ani drwin, ani nieufności. Jacques spojrzął na Marie. - Och, ten naszyjnik jest przepiękny. I koronka też. Wyglądasz jak wróżka z bajek, które Ghislaine zawsze mi czyta na głos.

Marie spróbowała pozbyć się niesmaku i odpowiedziała przyjaźnie:

- Dziękuję, jeszcze nikt nie powiedział mi nic równie pięknego, Jacques - zauważyła, że jakiś mężczyzna, niedorównujący wzrostem hrabiemu, popisujący się jednak groźnym wyrazem twarzy, wciąż miał Jacquesa dyskretnie w zasięgu wzroku.

- Ghislaine też ma dzisiaj na sobie błyszczący naszyjnik. Mówi, że jak idziemy do Henriego to tak musi być. I mam mówić cicho. Ale ja przecież zawsze mówię cicho.

- Chce ci tylko o tym przypomnieć, żebyś pamiętał - dorzucił Tris.

- A jeśli podczas jedzenia nie przewrócę żadnej szklanki i będę miły dla wszystkich, Ghislaine pójdzie jutro ze mną do zwierzyńca. Tris, jestem miły, prawda?

- Oczywiście, że tak.

Marie zobaczyła, że ku nim śpieszy Ghislaine. Miała na sobie suknię w odcieniach brązu i złota, która pasowała do jej włosów i brązowych oczu. Gdy weszła w promienie słońca, przez chwilę wyglądała jak odlana z bursztynu.

- Jacques! - zawołała z ulgą, gdy go zobaczyła. - Ile razy ci mówiłam, że nie możesz tak po prostu sobie odejść, kiedy rozmawiam z innymi gośćmi.

Zrobił nadąsaną minę.

- Ale to jest takie nudne! Poza tym tam stoi Richard - wyciągniętą dłonią wskazał olbrzymiego mężczyznę. - On jest zawsze. Nie musisz się martwić.

Ghislaine westchnęła i wyprostowała ramiona.

- To miło znowu cię widzieć, Tris. Madame de Rossac, jak się pani czuje?

- Wspaniale, hrabino du Plessis - Fertoc - Marie uśmiechnęła się do niej, nie ruszyła się jednak z miejsca, chociaż etykieta nakazywała, by przed nią dygnęła. Był to pierwszy raz od czasu skandalu w Mimozie, gdy zobaczyła hrabinę.

- Miło mi to słyszeć. Jacques i ja musimy już iść, na pewno zobaczymy się później - skinęła do obojga i wzięła wyraźnie stawiającego opór Jacquesa pod ramię. Ze zdecydowaniem ciągnęła go na zewnątrz. Jego okrzyk zachwyty, gdy odkrył pawia na ścieżce, słychać było aż wewnątrz galerii.

Z kieszeni swojego aksamitnego surduta Tris wyjął fiołkowe pastylki. Poczęstował Marie, która jednak potrząsnęła głową.

- Czy to przypadek, że nie spotkaliśmy hrabiny przy żadnej innej okazji?

Wziął pastylkę i ponownie schował puszczkę.

- Nie, razem z Jacquesem odpowiada na niewiele zaproszeń. Każda nieznana sytuacja może wywołać u niego napady szału lub wściekłości. A sama wychodzi z domu jeszcze rzadziej. Ma bardzo sztywne ustalenia co do swoich obowiązków jako żony.

Marie powstrzymała się od komentarza. Pozostała u boku Trisa, rozmawiała ze znajomymi i poznawała nowych ludzi.

W końcu poproszono do stołu. U szczytu stołu siedział gospodarz, po jego prawej stronie miejsce zajął hrabia de Saint - Croix, obok niego Ghislaine i jej mąż. Naprzeciw nich posadzono Marie i Trisa. Troya wygnano na bardzo odległe miejsce.

Hrabia de Saint - Croix miał długie, białe palce, a gdy mówił, jego głos brzmiał wyjątkowo wytwornie. Marie oceniała, że miał około dwudziestu pięciu lat. Nie lubiła go pomimo wszystkich kłujących w oczy przymiotów zewnętrznych.

- Henri opowiedział mi, że byliście tej wiosny w Wersalu, kawalerze de Rossac. Niestety nie przypominam sobie, bym was poznał. Ani waszej czarującej małżonki, czego ogromnie żałuję - posłał Marie uśmiech, który odwzajemniła bez entuzjazmu.

- Byłem w Wersalu jedynie przez kilka tygodni. Gdy załatwiłem swoje sprawy, ponownie wróciłem na południe. Przywiozłem sobie jednak pamiątkę z Wersalu - Tris podniósł dłoń Marie do ust.

- Naprawdę? Poznaliście swą małżonkę w Wersalu? Ach, jakaż to szkoda, że to nie ja pierwszy odkryłem ten klejnot - rzucił Marie maślane spojrzenie, które nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. W przeciwieństwie do faktu, że Tris wciąż jeszcze trzymał jej dłoń. Chętnie flirtowała z nim przy takich okazjach, ponieważ wtedy roztaczał swój urok bez ogródek. Tak jak i teraz.

- Nic by to wam nie dało, hrabio. Byłam zgubiona od chwili, w której pierwszy raz ujrzałam Tristana de Rossac.

Hrabia nie poddał się tak łatwo.

- Madame, uwierzcie mi, z rozkoszą odbiłbym strzałę Amora.

Marie powstrzymała się od zmarszczenia czoła. Nie podobała jej się ta bezceremonialna rozmowa w obecności jej męża. Dlatego też jej odpowiedź zabrzmiała ostrzej niż zamierzała:

- W takim razie musielibyście udusić dobrego Amorka z jego łukiem, hrabio.

- Cel uświęca środki.

- Jednak niektóre cele są nie do osiągnięcia. I takie pozostaną - odparł Tris sucho i wcale się nie starał ukryć chłodu w swoim głosie.

Brzęknięcie zwróciło uwagę wszystkich na Jacquesa. Obiema rękami trzymał mocno kieliszek do wina wypełniony sokiem z czarnego bzu i patrzył na Ghislaine szeroko otwartymi oczami.

- Nie przewróciło się, przecież widziałaś. Nie przewróciło się, czyli mogę sobie jutro obejrzeć zwierzyniec? Obiecałaś mi!

- Tak, obejrzymy sobie jutro zwierzyniec, Jacques - Ghislaine pogłaskała swego męża po ramieniu, który szczęśliwy zaczął paplać.

Marie spojrzała na nią ze współczuciem i spuściła wzrok przed chłodem, z którym Ghislaine odwzajemniła to spojrzenie. Siostrzeniec króla chrząknął i zaczął rozbawiać towarzystwo historyjką o księciu de Conde, która wywoływała u zebranych jedynie grzeczny uśmiech. Książę Henri pozwolił, by rozmowa toczyła się dalej, podczas gdy

Tris milczał, a Marie z oddaniem poświęciła się daniom na swoim talerzu.

W końcu stół został wyniesiony, a orkiestra kameralna zaczęła intonować skoczne melodie taneczne. Marie powoli udała się w kierunku otwartych drzwi do ogrodu. Zdawało się jej, że powietrze w sali było gorące i śmierdzące, ale może wypła po prostu zbyt dużo wina, by walczyć z nudą. Energicznie się wachlowała.

- Co za okropny impertynent - powiedziała do Trisa, który poszedł za nią.

- Zalecający się do wszystkich siostrzeniec króla. Każdy zgina się wpół, żeby mu się przypodobać. Po co miałby się troszczyć o dobre wychowanie?

- Jego słowa kazały mi prawie uwierzyć, że czynił mi awanse w twojej obecności.

- Właśnie to robił. Praktycznie założył, że dzisiaj odprowadzę cię do jego pokoju, życząc wam wiele radości, zanim wycofam się z pokorą - powiedział Tris i wyciągnął ze spodni pudełeczko z pastylkami. - Musiałaś to dosyć często obserwować w Wersalu. Jest to najprostszy sposób, by dworzanin zrobił karierę. Albo by mężczyzna z niższej szlachty zwiększył swoje szanse.

Marie złapała się za szyję.

- Nie, nigdy tego nie zauważyłam - przerwała. - Ale... nie zrobisz tego, czego on... oczekuje?

Przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

- Tylko, jeśli tego chcesz.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ obok nich nagle stanął hrabia de Saint - Croix.

- Z jednej strony jestem oczywiście pod wrażeniem występu księcia de Mariasse - poinformował ich niepytany, a Marie instynktownie odsunęła się od niego o krok. - Z drugiej strony za dziwne żądanie uważam konieczność siedzenia przy jednym stole z tym śliniącym się cretin, nawet jeśli jest on mężem siostry księcia de Mariasse. Jeśli nie utopi się takiego potworka zaraz po jego narodzinach, to należy go przez resztę życia trzymać z daleka od cywilizowanych ludzi - kąciki jego ust wygięły się nieprzychylnie do dołu. - A przede wszystkim tak wrażliwym stworzeniom jak wy, madame de Rossac, powinno się oszczędzić tak obrzydliwego widoku.

Marie złapała za rękę swojego męża. Na skroni Trisa pulsowała żyła, a jego brwi się ściągnęły.

- Powinnyście oglądać jedynie piękno - hrabia mówił beztrąsko dalej, a jego wzrok spoczął na piersiach Marie. - Zatańczymy, ma chere amie?

- Nie mam nic przeciwko siedzeniu przy stole z cretin, który potrafi się zachować, hrabio, ale nie będę tańczyła ze zdegenerowanym prostakiem bez manier, nawet jeśli w jego żyłach płynie królewska krew - nie mówiła podniesionym głosem, ale też nie szeptem. W podekscytowaniu nie zauważyła, że dookoła niej zebrało się kilku gości, którzy chcieli się dokładnie przyjrzeć siostrzeńcowi księcia i teraz z zainteresowaniem przysłuchiwali się początkowi dysputy

Twarz hrabiego poczerwieniała.

- Za kogo się uważacie, żeby tak do mnie mówić?

Marie dumnie podniosła głowę.

- Ja wiem, kim jestem. Czy możecie to samo powiedzieć o sobie?

- Na Boga, już ja ci powiem, kim jesteś, ty mała...

Tris położył dłoń na hrabiowskiej piersi.

- Mówcie dalej, a spotkamy się jutro o świcie. Tutaj słowo honor ma jeszcze jakieś znaczenie - wysyczał ostro.

Hrabia cofnął się o krok.

- Jeszcze tego pożałujecie, Rossac.

- Nie, ja żałuję tego już teraz. Jeśli zależałoby to ode mnie, rozwiązałibyśmy tę sprawę natychmiast, za pomocą pięści. Robactwo takie jak wy nie jest warte żadnej kuli ani żadnej szpady. Nie chciałbym jednak wprawić w zakłopotanie naszego gospodarza. Uważajcie jednak, żebyśmy nie spotkali się sam na sam. Wtedy mógłbym zapomnieć o mojej kindersztubie - jego głos drżał z nienawiści, a jego całe ciało było napięte, jak gdyby czekał tylko na słowo, by rzucić się mężczyźnie do gardła.

Hrabia popatrzył na niego w osłupieniu, potem odwrócił się i bez słowa zaczął sobie torować w tłumie drogę do wejścia do galerii.

Marie, która kurczowo ścisnęła Trisa, bała się oddychać. Czowała w nim kipiącą wściekłość, przypomniała sobie to, co mówił o swoim gwałtownym temperamencie i miała nadzieję, że uspokoi się równie szybko, jak się wściekł. On się jednak nie rozluźnił.

Jego wolna ręka wciąż była zwinięta w pięść. Dziewczyna zauważyła spojrzenie stojących dookoła osób, wyczarowała na swej twarzy przepraszający uśmiech i zaciągnęła go na zewnętrzne schody, prowadzące do jasno oświetlonego parku.

- Już dobrze, Tris - wymruczała uspokajająco i otworzyła jego pięść, splatając swoje palce z jego. - Już go nie ma. Zapomnij o nim. Nie jest wart zachodu.

Jego wzrok oprzytomniał. Mężczyzna odetchnął głęboko.

- Masz rację - puścił jej ręce. - Chodźmy na spacer. Świeże powietrze pozwoli mi ochłonąć.

Chodzili razem po oświetlonym parku i dotarli w końcu do największego ze sztucznych stawów. Po ciemnej wodzie pływało kilka łódek.

- Masz ochotę na przepłynięcie się łódką? - spytał Tris. - Dziękuję, wolę mieć pod stopami stały ląd, zwłaszcza w nocy. Ale za to chętnie obejrzałabym fajerwerki z jakiegoś odpowiedniego miejsca - dodała.

Tris rozejrzył się.

- Wejdzmy na górę do pawilonu Diany, to jest najwyższy punkt w Belletoile. Stamtąd powinien być najlepszy widok.

Poszli wzdłuż wysypanych żwirem serpentyn prowadzących na wzgórze. Im bardziej oddalali się od budynków, tym bardziej zmniejszała się liczba pochodni. Po drodze nie spotkali żadnych innych ludzi.

W ciemności błyszczały białe, marmurowe filary, Marie wspięła się po pięciu schodach i odchyliła głowę do tyłu, by przyjrzeć się freskom na suficie sklepionej kopuły. Jednak dwie ustawione w pewnej odległości pochodnie niewystarczająco rozpraszały noc i nie widziała szczegółów. Czarno - biała mozaika na podłodze przedstawiała mitologiczną scenę polowania. Nieobecnie pocierała czubkiem buta łuk trzymany w dłoniach przez Dianę.

Tris usiadł na schodach i patrzył w dół na park i rozświetlone okna zamku. Do wzgórza dochodziły pojedyncze dźwięki muzyki.

Marie usiadła obok niego.

- Dziękuję, że broniłeś mnie przed hrabią de Saint - Croix.

Odwrócił głowę.

- W końcu jesteś moją żoną, a więc to mnie obraził. Poza tym zaatakował Jacquesa.

Jego słowa zraniły ją bardziej niż słowa hrabiego de Saint - Croix.

- Rozumiem. Jedyłą osobą, która może mnie nazywać dziwką, jesteś ty - odparła gorzko. Jej oczy płonęły i wpatrywała się w złożone na podolku ręce.

Westchnął.

- Marie, wiesz, że nie o to chodzi.

- Nie? To o co chodzi? - jej głos nie zabrzmiał nawet w połowie tak ostro, jakby sobie tego życzyła, dlatego zaczęła szybko mówić dalej. - Założyłam sobie, że nic nie zniechęci mnie do tego, by powtarzać ci, że cię kocham. Tak długo, aż to pojmiesz. Ale zaczynam być tym zmęczona... - przerwała, ponieważ jej słowa utonęły we łzach.

- Nie możesz wymusić czegoś takiego, Marie. Przełknęła ślinę.

- Nie, nie mogę cię zmusić do tego, żebyś mi uwierzył. Nie mogę cię również zmusić do tego, byś mnie pokochał - chwiejnym ruchem otarła łzy spływające jej po policzkach. Patrzyła tępo przed siebie.

Jego ręka sięgnęła do jej brody, ona jednak odrzuciła głowę i odsunęła się od niego.

- Nie chcę już o tym rozmawiać. Poczekajmy na fajerwerki.

Podsunał się do niej i znowu wyciągnął dłoń. Tym razem pozwoliła na to ze zrezygnowanym wyrazem twarzy i nie wzbraniała się, gdy odwrócił do siebie jej twarz. Patrzyła na niego pustymi, zmęczonymi oczami, w których nie było nic oprócz beznadziei.

Jego pocałunek był zadziwiająco miękki, wbrew jej woli po jej ciele zaczęło się rozprzestrzeniać ciepło. Jej dłoń drgnęła i Marie z trudem powstrzymała się, by jej nie podnieść i nie położyć na jego policzku. Do jej duszy wlewał się słodki, nieopisany ból. Zaczęła drżeć i w końcu oderwała swoje usta od jego.

- Przestań - powiedziała gniewnie. - Przestań się zachowywać tak, jakbyś...

- Jakbym? - Jakbyś mi wierzył. Jakbyś mnie kochał. Spojrzał na nią.

- Może to wszystko, co potrafię: zachowywać się tak, jakbym.

Potrząsnęła głową i chciała wstać, ale ją przytrzymał.

- Może boję się odkryć, że kochasz mnie tylko dlatego... - przerwał i wziął głęboki oddech - że jestem wszystkim, co ci pozostało i dlatego, że z tego, czego naprawdę pragnęłaś, nie pozostało ci nic.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć jego zawile zdanie. Jej serce zaczęło tak szybko walić, że miała problem z trzeźwym myśleniem.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego cię kocham?

Ledwo zauważalnie skinął głową i Marie zamknęła oczy.

- Kocham cię, ponieważ kolory mojego świata zaczęły błyszczeć, odkąd jestem u ciebie. Kocham cię za to, w jaki sposób obchodzisz się z ludźmi, którzy są dla ciebie ważni. Kocham to, jak każdego ranka na nowo bierzesz na siebie odpowiedzialność. Kocham sposób, w jaki na mnie patrzysz, kiedy sądzisz, że tego nie widzę. Kocham, gdy mnie całujesz tak, jakbym była najdroższym, najbardziej kruchym prezentem, który kiedykolwiek otrzymałeś. Kocham cię, ponieważ poruszyłeś moje serce - musiała odetchnąć. - Kocham cię, ponieważ jesteś tym szczególnym kimś, na kogo czekałam całe swoje życie.

Cisza, jaka zapadła między nimi, ciążyła Marie na duszy. Otworzyła oczy i spojrzała w przypominającą maskę twarz swojego męża.

- Wystarczy ci to? - jej głos był tak cichy jak oddech. Spojrzał na nią przytomnym wzrokiem.

- W tej chwili tak - odpowiedział zachrypniętym głosem i zanim się obejrzała, już znajdowała się w jego ramionach. Nie zwracając uwagi na jej słowa, całował ją tak, jakby wcale nie była krucha.

Marie zanurzyła palce w jego gęstych włosach i odwzajemniła pocałunek z taką samą szalejącą w niej namiętnością. Całe jej ciało reagowało na jego wilgotne, gorące usta, które wciąż i wciąż się do niej przyciskały, jak gdyby chciały wypalić jej znak na całą wieczność.

Jęknęła, potem brutalnym gestem odciągnęła jego głowę za włosy.

- Powiedz to - zażądała ochryple, bez tchu, jakby straciła zmysły.

- Powiedz to. Powiedz to, do cholery, raz jeszcze.

Sapnął i zobaczyła opór w jego oczach. Potem jednak pochylił się nad jej uchem.

- Kocham cię. Sprawiasz, że wariuję, że jestem bezsilny, chory z żądy, a moje noce są bezsenne z tęsknoty. Mógłbym na ciebie godzinami tylko patrzeć. Kocham twój bezkompromisowy sposób podchodzenia do życia i pewne siebie żądanie od niego należnej ci części. Kocham wielkie serce i wrażliwą duszę, które kryją się pod

twoją urodą. Kocham, gdy mnie dotykasz. Kocham, gdy jestem w tobie, a ty wymawiasz moje imię. Wystarczy ci to?

Na dowód swoich słów ponownie wziął jej usta w posiadanie. Gdy w końcu ją wypuścił, wydobyła z siebie drżący śmiech.

- W tej chwili tak. Możemy pogłębić te ustalenia później w naszym pokoju.

- Po co czekać? - jego ręce już zniknęły pod jej halkami, głąskały jedwabne pończochy i w końcu dotarły do gorącej, gładkiej skóry jej ud. Marie z ochotą je rozłożyła, by zapewnić mu lepszy dostęp.

Jego usta wędrowały po jej piersiach. Zebrał je do góry, by móc pieścić twarde koniuszki. Jednocześnie wodził palcem wskazującym po konturach jej szparki i dzielił wilgotne mięśnie niczym przejrzałą brzoskwinę.

- Gorąca, wilgotna i nabrzmiała, naprawdę wiesz, jak otworzyć przed mężczyzną bramy raju.

- Nie - sprzeciwiła się słabo. - Nie jakiemuś mężczyźnie. Tobie. Tylko tobie.

Zamiast odpowiadać, uklęknął pomiędzy jej nogami i pochylił głowę. Marie złapała drżącymi palcami za schodek, gdy poczuła najpierw jego gorący oddech, a potem jego usta składające na niej najintymniejsze pocałunki. Jego język głąskał, pieścił, wchodził i wychodził, aż ciało Marie wygięło się w łuk i musiała oprzeć głowę na twardej, marmurowej podłodze.

Jej nogi leżały na jego ramionach, a jego ręce obejmowały jej pośladki, gdy pił z niej i sprawiał jej niewyobrażalną rozkosz, która odbierała jej zmysły. Nie widziała ani kolorowych rakiet i ognistych młynków eksplodujących pod nocnym niebem, ani pawilonu, widziała jedynie kalejdoskop kolorów, pośrodku których znajdowała się twarz Trisa. Gdy doszła, krzyczała jego imię w ciemność, wciąż i wciąż.

Wzburzona Ghislaine szarpała za sukienkę, która zahaczyła o krzaki. Kobieta zlorzeczyła półgłosem, posyłając do diabła Richarda za jego brak sumienności. Słodki dołeczek tutaj, kokietyjny uśmiech tam - i już zapomniał o Jacquesie. A ten oczywiście wykorzystał okazję i zniknął.

Jej delikatne pantofle nie były przeznaczone do nocnych wycieczek w teren. Wciąż wyslizgiwały się z założonych na nie ochronnych drewnianych butów i musiała uważać, by się nie potknąć.

Szukała już przy zwierzyńcu i stawie z liliami wodnymi. Po Jacquesie nie było jednak ani śladu. Rozejrzała się z westchnieniem. Może wspiął się na jakieś drzewo, żeby lepiej widzieć fajerwerki.

Podciągnęła halki i zaczęła wchodzić po wysypanej żwirem ścieżce prowadzącej do pawilonu Diany. Jako dziecko spędziła tutaj mnóstwo czasu. Przychodziła tu, gdy coś jej się przytrafiło, wciąż było to dla niej magiczne miejsce. Tutaj odzyskiwała spokój i nadzieję.

Jej oczy były skupione na ścieżce, dlatego o wiele zbyt późno zauważyła, że na schodach pawilonu jakaś parka oddała się zabawom miłosnym. Stłumiła śmiech i odwróciła się.

Wtedy krzyk kobiety rozdarł noc.

Ghislaine zamarła, gdy usłyszała imię i pojęła, kto był tak zajęty sobą o kilka metrów od niej. Obserwowała tę dwójkę podczas kolacji i pewność, że utraciła Trisa na zawsze, wbiła się w jej serce niczym cierń. Od początku była świadoma tego, że jej związek z Trisem nie ma racji bytu. Gdy to się jednak stało, gdy rzeczywiście musiała pozwolić mu odejść, by całkowicie nie stracić szacunku do samej siebie, ból przerósł jej wszelkie oczekiwania.

Nie można było nie widzieć więzi pomiędzy Trisem i jego żoną. Ta młoda, żywiołowa dziewczyna dostała wszystko, o czym ona marzyła od zawsze: męża, który ją kochał, poważane miejsce w społeczeństwie; możliwość życia tak, jak chce. A teraz Marie zabrała jej także ostatnie, tajemne miejsce ucieczki.

Ghislaine wbiła paznokcie we wnętrza swoich dłoni i z pośpiechem poszła drogą, którą tu przybyła. W oczach piekły ją łzy. Może Jacques skręcił sobie kark podczas swojej nocnej przygody. Może wpadł do jednego ze stawów i się utopił. Wtedy byłaby wolna,.. wolna... tak jak Henri zawsze mówił.

Pojawiły się przed nią duże, niebieskie oczy Jacquesa. Pełne zaufania i miłości. Dawał jej samodzielnie zerwany bukiet polnych kwiatów i cmokał ją w policzek. Jego twarz była rozpromieniona radością, gdy wymawiał nazwy poszczególnych kwiatów.

Otarła łzy ręką, pozbywając się wizji. Nigdy nie mogłaby zbudować swojego życia na zadanej mu gwałtem śmierci. Nigdy nie potrafiłaby świadomie zrobić mu krzywdy. Już sama myśl o tym sprawiała, że dostawała mdłości. Usiadła na kamiennej ławie i spróbowała się uspokoić. Jacquesowi nic się nie stało, Richard musiał

już dawno go znaleźć i zaprowadzić do jego pokoju. Jej mąż miał swojego anioła stróża, który czuwał nad wszystkimi dziećmi i osobami chorymi umysłowo.

Nad nią rozbłyskiwały ostatnie fajerwerki. Patrząc na spadające iskry, życzyła sobie, by wszystkie jej zmartwienia również w ten sposób zniknęły. Siedziała pogrążona w myślach, chociaż pokaz sztucznych ogni już dawno się zakończył, a pochodnie w parku zaczęły gasnąć jedna po drugiej.

- Taka samotna w tę czarującą noc?

Ghislaine odwróciła się. Za nią stał hrabia de Saint - Croix. Nie widziała jego twarzy, ale to zdanie wystarczyło, żeby poczuła bezpośrednie zagrożenie.

- Jestem w drodze do moich komnat i chciałam tylko krótko popatrzeć sobie na fajerwerki. Teraz muszę już iść, czekają na mnie - wstała, powstrzymała chęć ucieczki i pełna godności ruszyła w kierunku domu.

- Któż na was czeka, hrabino? Ten niedorozwinięty cretin? - hrabia zastąpił jej drogę.

Chciała go ominąć, ale zrobił kolejny krok w jej kierunku i całkowicie przyparł ją do muru. Jej plecy zadrasnęły się o cokół posągu, a hrabia oparł ręce z obu stron jej głowy. Teraz na jego twarzy mogła dojrzeć pogardliwy uśmiezek.

- Niech czeka, cretin, może bawi się swoimi drewnianymi żołnierzami. Ja mam dla was zupełnie inny rodzaj zabawy. Zabawę, której godna jest kobieta z taką gracją i urodą - przechylił się i pocałował ją w brew. Jego usta powędrowały do jej ucha. - Czy w ogóle jeszcze pamiętacie, jak to jest być z mężczyzną? Z prawdziwym mężczyzną, który zna się na sztuce miłości?

Ghislaine stała jak skamieniała. Nie mogła uwierzyć, że hrabia rzeczywiście ośmielił się nie tylko obrazić ją słowami, ale także jej dotknąć. Z gwałtownością, o którą sama siebie nie podejrzewała, odepchnęła jego rękę na bok i precyzyjnie się pod jego ramieniem. Jej głos już nie drżał, gdy w końcu odnalazła słowa, by wskazać mu, gdzie jest jego miejsce.

- Chcę usprawiedliwić wasze zachowanie nadmiarem wina spożytych przy stole, które kazał podać mój brat. Jestem pewna, że jutro będziecie żałować swojego zachowania i będziecie za nie przeproszać. Miejcie się dobrze.

Poszedł za nią prowokująco, wciąż ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

- Mam przepraszać za to, że rozпалиłyście moje serce i moje lędźwia? Ach, Ghislaine, nie możecie mówić tego poważnie.

- Zabraniam wam zwracać się do mnie po imieniu. Dla was jestem hrabiną du Plessis - Fertoc - przyspieszyła kroku, by bezpiecznie uciec do domu. - Jeśli przeprosicie, nie opowiem nic mojemu bratu o waszym niestosownym zachowaniu.

Zupełnie nieoczekiwanie złapał ją za ramię i gwałtownie do siebie odwrócił. - A ja nie opowiem mu nic o waszym niestosownym zachowaniu - wbił w jej policzek kciuk i palec wskazujący, by nie mogła zamknąć ust, gdy ją całował.

Ghislaine zrozpaczona odpychała jego ramiona rękami. Gruby, gąbczasty język, który wdarł się do jej ust, wywołał u niej odruch wymiotny. Próbowwała odwrócić głowę, uciec mu, jednak trzymał ją niemiłosiernie mocno. Z paniką poczuła, że może stracić świadomość. Zaczęła kopać nogami na oślep. Musiała trafić go w czuły punkt, bo nagle puścił ją wolno.

Ghislaine nie traciła czasu na zajmowanie się nim, lecz pognąła jak szalona do domu. Obejrzała się dopiero przy jednych z drzwi, ponieważ nie słyszała na żwirze kroków prześladowcy. Ku swej uldze była sama. Oparła się o ścianę domu i zamknęła oczy.

Po jej twarzy spływały łzy. Czowała się taka brudna. W ustach wciąż czuła mdły smak pocałunku. Cóż uczyniła, żeby tak sprowokować mężczyznę? Czy było po niej widać, że w życiu brakowało jej cielesnej miłości? Czy wypisane to było świecącymi literami na jej czole? Musiało tak być, ponieważ nigdy wcześniej nikt nie odważył się zachowywać tak, jakby była tanią kokotą.

Przez krótką chwilę pojawiła się myśl, by opowiedzieć o wszystkim Henri'emu, ale nie zносиła tego współczucia, które tak często widziała w jego oczach. Ta cena zdawała jej się być zbyt wysoka, by domagać się od niego wyjazdu hrabiego.

Ghislaine oddychała głęboko i próbowała się ogarnąć. Z wewnątrz dochodziła muzyka, przyjęcie będzie jeszcze długo trwało. Wycofała się do swojego pokoju. Nie chciała nikogo widzieć, z nikim rozmawiać. Chciała tylko spać. I obudzić się w innym świecie.

Rozdział 23

Marie przeciągnęła się, ziewając. Jej wzrok padł na lustro zamontowane w baldachimie łóżka. Przez całą noc była nim tak zafascynowana, że zirytowany Tris zagroził wreszcie, że pogasi świeczki. Czego oczywiście nie zrobił.

Nie tylko czucie go w sobie, ale także obserwowanie mięśni jego pleców, smukłych bioder i pośladków, podczas gdy się kochali, sprawiło, że jej podniecenie niewyobrażalnie wzrosło. Dochodziła szybko, gwałtownie i tak często, że gdy zasnęła przytulona do Trisa, jej krtań i jej ciało były obolałe. Po tej nocy nic nie mogło ich rozdzielić, Marie była tego pewna.

Fakt, że teraz leżała sama na pokrytym czerwoną satyną łóżku, miał konkretny powód. Gdy wczoraj wieczorem po pokazie sztucznych ogni szli przez salę balową, tętniący oczekiwaniem i radością Henri zaprosił Trisa na polowanie, które miało się odbyć następnego ranka. By się szybko pozbyć przyjaciela, jej mąż zgodził się w kilku słowach. Widocznie już był na polowaniu.

Taki sposób wypełniania obowiązku zdziwił ją tym bardziej, że Tris miał nie więcej niż dwie godziny snu. Patrzyła na siebie w lustrze i przeciągnęła się z zadowoleniem, zanim zamknęła oczy, by jeszcze się zdrzemnąć, w końcu wskazówka pokazywała dopiero za dziesięć dziewiątą.

Ktoś niedelikatnie potrząsnął ją za ramiona i spojrzała na rozszerzone ze strachu oczy Fanette.

- Musicie się obudzić, madame, stało się coś strasznego.

Marie zamrugła oszołomiona i podniosła się.

- Fanette... co się stało?

- Hrabia de Saint' - Croix... nie żyje - wybełkotała dziewczyna. - Znaleźli go o świcie. W parku.

- Nie żyje? - spróbowała się skoncentrować i znaleźć odpowiednie słowa żalu, chociaż w głębi duszy uważała, że jego śmierć nie była dużą stratą dla ludzkości.

- To oczywiście smutne, ale dlaczego jesteś taka zdenerwowana?

Fanette złapała się za szyję.

- Aresztowali kawalera i już są z nim w drodze do Narbony.

- Co? - Marie natychmiast się obudziła.

- Mężczyźni, którzy przyjechali tutaj z hrabią z Paryża, oskarżyli kawalera, że go zabił. I znaleziono... - przerwała, łkając.

- No mów! - Marie na nią wrzasnęła.

- Pod martwym ciałem hrabiego znaleziono puszczkę z fiołkowymi pastylkami.

Marie czuła, jakby ją coś poraziło. To niemożliwe. To nie mogło być prawdą, poprawiła się w myślach. Tris nigdy nie zabiłby drugiego człowieka. Nie z tak śmiesznego powodu. Musiało być jakieś wytłumaczenie i nie spocznie, póki go nie znajdzie.

- Pomóż mi się ubrać - odwinęła kołdrę i weszła do miski z wodą.

W mniej niż pół godziny później zbiegała po schodach. Szukała Troya, nie znalazła jednak ani jego, ani księcia de Mariasse. W swej rozpaczy nie zwróciła uwagi na spojrzenia osób obecnych na sali ani ich szept.

Spostrzegła tylko siedzącą przy jednym z okien hrabinę du Plessis - Fertoc i bez wahania do niej podbiegła.

- Hrabino, gdzie znajdę waszego brata? - spytała bez ceregieli.

Kobieta odwróciła do niej głowę. Pod jej zaczerwienionymi oczami widać było ciemne cienie.

- Henri i Troy pojechali do Narbony. Chcą spróbować zrobić wszystko, by nie wniesiono oskarżenia.

- Oskarżenia? Ale to przecież niewiarygodna pomyłka. Tris nie jest mordercą.

- Jest znany ze swojego gwałtownego temperamentu. Cała sala była świadkiem, jak groził hrabiemu. A przy trupie znaleziono jego puszkę z pastylkami. Nie uważacie, że to trochę zbyt dużo zbiegów okoliczności?

- Nie zrobił tego - powtórzyła Marie z przekonaniem. - Nie jest mordercą.

- Wczoraj w Belletoile gościł również intendent de Montpellier, który był świadkiem tej dysputy. Jeśli oskarżenie zostanie wniesione, nie ograniczy się jedynie do mordu, ale obejmie także zdradę stanu. Hrabia był siostrzeńcem króla. Jeśli Tris zostanie uznany winnym, zostanie powieszony - głos Ghislaine brzmiał tak monotennie, jakby wzięła zbyt dużo laudanum. Odwróciła głowę i znowu zapatrzyła się w ogród.

Marie bezradnie zacisnęła pięści. Odwróciła się i po raz pierwszy zauważyła, że były na nią skierowane wszystkie oczy. Sępy szykowały się do lotu.

Przeszła obok nich z wysoko podniesioną głową. Nikomu nie da okazji do dzielenia jej bólu. Zamiast tego poszła do stajni. Też chciała jechać do Narbony. - Osiodłaj mi konia - rozkazała pierwszemu lepsшему stajennemu, który stanął jej na drodze. Skinął głową i zniknął w budynkach. Krótco potem wrócił z koniuszym. Mężczyzna skłonił się przed nią.

- Co jest? - spytała niecierpliwie. - Czekam na osiodłanego konia.

- Madame de Rossac, zabroniono mi siodłać dla pani konia. Macie zostać w Belletoile.

- Księżę nie może mi niczego zabronić i nie może decydować o tym, co mam robić. Jeśli ty tego nie uczynisz, ja to zrobię - chciała go minąć, licząc się z jego sprzeciwem. On jednak tylko na nią spojrzął i spokojnie powiedział:

- To polecenie nie pochodzi od księcia. Kawaler de Rossac prosi was, byście poczekały tutaj na jego powrót i nie oddalały się z Belletoile. Nakazał mi przekazać wam tę wiadomość, zanim został zabrany do Narbony.

Marie stanęła. Tris chciał, żeby tutaj została. Każdy nerw w jej ciele pragnął wsiąść na konia i jechać do niego. Wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. Poczekał w mojej komnacie.

Czekanie wymagało od niej pewnej dozy cierpliwości. Troy i księżę wrócili do Belletoile dopiero wieczorem następnego dnia. Marie wybiegła im naprzeciw ze strwożonym sercem. Ich ubrania były tak samo pomięte jak ich miny.

- Gdzie Tris? - spytała ochryple.

Troy uniósł ręce w geście bezradności. Jego twarz była szara.

- Marie...

- Ofiarowałem oprawcom więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widzieli i zobaczą w swoim życiu, jednak nie dali się przekonać, by nie wnosić oskarżenia - przerwał mu księżę,

- Ale przecież on tego nie zrobił, to wszystko to jakaś straszliwa pomyłka - krzyknęła Marie z rozpaczą.

- Oczywiście, że tego nie zrobił - parsknął księżę. - Przypuszczalnie każdy, kto zamienił z hrabią de Saint - Croix więcej niż dziesięć słów, miał dobry powód, by go zamordować. Nie o to chodzi. Chcą dać odstraszący przykład.

- Przykład? - powtórzyła bezradnie Marie. Troy położył rękę na jej ramionach.

- W ostatnich latach w okolicy wciąż panuje niepokój, wciąż wzrasta nienawiść do Paryża i króla. Przywódcy zamieszek wędrują na kilka miesięcy za kratki, jednak na niewiele się to zdaje. Sędziowie nie przepuszczą okazji, by uspokoić króla, że jego władza jest nienaruszona także tutaj, na południu. A tą okazją jest powieszenie mordercy królewskiego siostrzeńca.

- Ale on tego nie zrobił. Nie ma dowodów. Jak chcą go oskarżyć?
- Marie potrząsnęła głową, jak gdyby chciała strzepnąć pajęczynę. Czy ci dwaj nie słuchali?

- Martin Poudrin, intendent w Languedoc, słyszał wymianę zdań pomiędzy Trisem i hrabią de Saint - Croix. Wybuchowy temperament Trisa jest dobrze znany, puszcza z pastylkami, która leżała pod trupem - to wystarczy, żeby wnieść oskarżenie. Zwłaszcza, że obaj towarzysze hrabiego de Saint - Croix grozili tym, że każą zlikwidować izbę prawniczą w Narbonne.

- Obronę Trisa zleciłem dwóm adwokatom. Poza tym przekupiłem strażników, żeby załatwili mu lepsze jedzenie, ubrania i co jeszcze będzie chciał - powiedział książe. Był zmęczony i rozbity. - W tej chwili nie mogę dla niego nic więcej zrobić. - Chcę się z nim zobaczyć - Marie uwolniła się od uścisku Troya. - Natychmiast. Muszę zobaczyć, jak się ma.

Książe potrząsnął głową.

- Nie wolno mu przyjmować wizyt. My też go nie widzieliśmy. Marie, bądź rozsądna, proszę was. W tej chwili uczyniono wszystko, co było możliwe. Uwierźcie mi, dobre samopoczucie Trisa jest dla mnie tak samo ważne jak dla was.

- Nie wątpię w to, Wasza Łaskawość, ale czuję się taka bezradna - jej oczy zatoneły we łzach.

- Wszyscy się tak czujemy, madame - ukłonił się. - Wybaczcie mi, muszę pożegnać gości, a przedtem doprowadzić się do porządku.

Marie skinęła głową i zwróciła się do Troya.

- Wracamy do Mimozy?

- Myślę, że tak będzie najrozsądniej. Książe pociągnął za wszystkie sznurki, za które mógł. Jeśli wydarzy się coś nowego, dowiemy się o tym.

Marie wbiła paznokcie w dłonie, by nie wykrzyknąć swojej bezradności. Była chora z troski, gdy pomyślała, że Tris jest w małej, wilgotnej celi, zdany na łaskę i niełaskę swoich strażników.

Kolejne dni zastygły w ciężkim bezruchu. Nic się nie działo. Nie przyszła żadna wiadomość ani bezpośrednio od Trisa, ani od adwokatów i asesorów, ani od księcia.

Marie czuła, jakby przy każdym kroku napotykała na niewidzialne mury. Troy schodził jej z drogi. Spędzał czas przy zbiorach i tłoczeniu winogron. Marie próbowała też się tym zająć, ale jej nie wychodziło. Próbowała również wysłać Trisowi wiadomość. To także jej się nie udało. O czym miała mu napisać? O nic nieznaczących drobiazgach z życia codziennego? Miłosne zaklęcia, które mogły zostać wyryczane przez więzienne kraty przez pijanego strażnika?

Niezliczone kartki papieru lądowały zgniecione na podłodze. Bezsilność i ciągłe czekanie sprawiło, że stała się agresywna i humorzasta. Poznała to po spojrzeniach, które rzucały jej Suzanne i Fanette, wiedziała, że musi coś z tym zrobić, jeśli nie chciała zwariować. Decyzję, którą w końcu podjęła, oznajmiła Troyowi podczas kolacji.

- Jadę do Wersalu. Porozmawiam z królem. Nie będzie żadnej rozprawy i wypuszczą Trisa na wolność - Troy upuścił widelec.

- Marie, twoja wiara jest godna szacunku, ale dlaczego król miałby ułaskawić Trisa? Skąd wiesz, że w ogóle będzie z tobą rozmawiał?

- Po prostu wiem - odparła, ignorując fakt, że została wygnana z Wersalu. Wyniośle odrzuciła głowę do tyłu i kontynuowała. - Znam wystarczająco dużo wpływowych osób, które mi pomogą. Już wcześniej mogłam na to wpaść.

Troy przyjrzał jej się ze zmarszczonym czołem. Praktycznie sam opróżnił butelkę wina, którą postawił na stole. Tak jak każdego wieczoru, gdy brakowało Trisa.

- Zakładam, że nie dam rady cię odwieść od tego zamiaru.

- I dobrze. Wszystko jest lepsze od bezczynnego siedzenia.

- Mam jechać z tobą? - w jego głosie nie było słycać żadnego zapachu.

- Nie. Ty jesteś niezbędny w Mimosie. Wezmę Fanette i Nicolasa na wszelki wypadek. Nie mam zamiaru zostać tam dłużej niż to

konieczne - teraz nadszedł moment, który najchętniej by opuściła. - Potrzebuję pieniędzy. - Oczywiście, że potrzebujesz, skoro jedziesz do Wersalu - przyciągnął do siebie butelkę.

Z ulgą odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

- A więc nie musimy o tym rozmawiać. Wyjeżdżam jutro rano. Gdybyś mógł mi, proszę, dać tysiąc liwrów.

Nalał sobie do szklanki resztę wina.

- Myślałem o pieniądzach, a nie o majątku.

- Chodzi o twojego brata, Troy - powiedziała dosadnie i pochyliła się. - Muszę zapłacić za pobyt w zamku, kupić kilka nowych ubrań i wcisnąć pieniądze lokajowi, by przekazywał mi informacje.

- Przez całe swoje życie nie widziałem na raz tysiąca liwrów.

- Nie wiesz, gdzie Tris trzyma klucz od swojej skrzyni? - spytała Marie z cieniem paniki w głosie. Bez pieniędzy mogła zapomnieć o swoim planie.

- Wiem, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy otworzyć tej skrzyni.

- To wyjątkowa sytuacja. Musimy coś zrobić, by ratować życie twojego brata. Nie możesz teraz zacząć targować się o kilka marnych monet.

Milczał przez chwilę, potem odsunął swój talerz i wstał.

- Chodź, jeśli jest tam tyle pieniędzy, to je dostaniesz.

Strwożona poszła z nim do gabinetu Trisa, w którym stała skrzynia z pieniędzmi. Gdy wyciągnął klucz z szuflady sekretarzyka, otworzył skrzynię i wyjął z niej dwie skórzane sakwy.

- Proszę, tysiąc liwrów.

Marie wzięła je i przycisnęła do piersi. Jego milczenie zwiększyło jej niepewność.

- Dziękuję. Wzruszył ramionami.

- Dla mnie pieniądze nigdy się nie liczyły.

Skinęła głową, gdyż nie wiedziała, jakiej odpowiedzi od niej oczekiwał.

- Dla niektórych tysiąc liwrów to dobry powód, by jeszcze raz przemyśleć sobie swoją lojalność.

Teraz zrozumiała.

- Nie mam zamiaru zniknąć na zawsze z pieniędzmi. Zależy mi na twoim bracie - odparła ostro.

- Dobrze, w takim razie wszystko zostało powiedziane - nigdy nie widziała, by był taki bezosobowy.
- Nie życzysz mi szczęścia?
- Tak, życzę. Nie tylko tobie, nam wszystkim.

Rozdział 24

Następnego przedpołudnia niewielka grupka wybrała się w podróż. Fanette siedziała w karecie razem z Marie. Przyjęła jej decyzję bez widocznego poruszenia i w kilka godzin spakowała niezbędne rzeczy. Nicolas siedział na koźle. Opuszczał Mimosę z wyraźną niechęcią. Nazwa Wersal nie posiadała dla niego błysku ani siły przyciągania. Jego korzenie znajdowały się tutaj.

Marie wydała polecenie, żeby na postojach jedynie wymieniali konie, ale nie nocowali, lecz jechali aż do celu. Chociaż do momentu ich wyjazdu nie nadeszła jeszcze żadna wiadomość o postępowaniu sądowym, nie chciała marnować ani dnia. Im szybciej wróci, tym większe szanse dla Trisa. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, że pod jej nieobecność mógłby zostać skazany przed trybunałem. Albo umrzeć w swojej celi z głodu i niedostatku.

Pięć dni po ich wyjeździe Nicolas targał po schodach skrzynie do jeszcze mniejszej izby we wschodnim skrzydle zamku. Była ona jeszcze ciasniejsza niż pomieszczenie, w którym Marie mieszkała za pierwszym razem z markizą de Solange. Dziewczyna jednak się tym nie przejmowała. Padła na łóżko i natychmiast usnęła. Takiej zapłaty wymagały noce spędzone w karecie.

Następnego ranka Fanette obudziła ją tak jak jej rozkazała i pomogła jej podczas toalety. Następnie Marie wyruszyła w drogę na poszukiwanie Jeana Desgraisa. W kieszeni jej spódnicy znajdowała się wypełniona po brzegi sakiewka, która miała otworzyć przed nią wszystkie drzwi.

Znalazła Desgraisa we foyer. Rozmawiał właśnie z jakimś bardzo wytwornie ubranym mężczyzną, który dyskretnie wsunął mu sakiewkę do kieszeni, a następnie się oddalił.

Zdecydowanie podeszła do służącego. Spojrzał na nią i podniósł brwi.

- Mademoiselle Calliere, jaka niespodzianka. Wasz nagły wyjazd wzbudził pewne emocje.

- Nazywam się madame de Rossac, Jean. Nie udawaj, że nie zostałeś o tym poinformowany - odpowiedziała niewzruszona.

- Jak sobie życzycie, madame de Rossac. Cóż sprowadza was do Wersalu?

- Sprawy prywatne. Liczę na twoją pomoc, nie będziesz tego żałował.

- Zamieniam się w słuch.

- Muszę dostać się na audiencję u króla. Im szybciej, tym lepiej.

Podniósł brwi.

- A któż nie musi, madame de Rossac? Wielu, wielu gości zatrzymuje się tutaj wyłącznie z tego powodu.

- Ile będzie mnie kosztowało znalezienie się na czele listy oczekujących?

- Nie posiadacie tylu pieniędzy - Jean strzepnął pyłek z rękawa swojej liberii. - Poza tym, jeśli chodzi o to, o co przypuszczam, że chodzi, to lepiej oszczędźcie i wasze pieniądze i wasz czas.

Marie nie spuszczała z niego wzroku.

- Co wiesz? - Plotki, jak zwykle. Jeśli prawdą jest chociaż część z nich, to lepiej zainwestujcie swoje pieniądze w mszę za duszę monsieur de Rossac.

- Jakie plotki i kto je rozgłasza?

Jean patrzył w nicość.

- Z czasem moja pamięć ma się niestety coraz gorzej.

Z zaciśniętymi zębami Marie wyciągnęła z kieszeni spódnicy sakiewkę i otworzyła ją.

- Na swój sposób uspokajającym jest fakt, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają - odliczyła kilka monet i włożyła je w wyciągniętą dłoń Jeana, która za chwilę zniknęła w jego kieszeni.

- Obaj adiutanci hrabiego de Saint - Croix towarzyszyli jego ciału w drodze do Paryża. Poinformowali króla o zdarzeniu, zażądali głowy kawalera de Rossaca oraz ławników wynajętych bezpośrednio przez króla, by wykluczyć korupcję i manipulację. Jego Wysokość nie był zachwycony tymi wydarzeniami.

- Muszę z nim rozmawiać, Jean. Musisz mi to umożliwić. Dam ci wszystkie pieniądze, które posiadam - głos Marie drżał.

Jean westchnął.

- Zostawcie sobie swoją sakiewkę. Rozejrzę się, ale nie ma wielkich nadziei.

- Dziękuję. Spotkajmy się tutaj dzisiaj wieczorem - zawahała się przez chwilę. - Mam zakaz pobytu w Wersalu, dlatego większość mojego czasu spędzę tutaj, w mojej komnacie, żeby nikt mnie nie widział. Jeśli nadarzy się jakaś przypadkowa okazja, będziesz wiedział, gdzie mnie szukać.

Uklonił się.

- Bardzo dobrze. - Jean, zdaję się na ciebie - powiedziała przybita, - Jesteś moją jedyną nadzieją. Nie zawieź mnie.

Jego oczy nie zdradziły jego uczuć.

- Zrobię, co w mojej mocy - odwrócił się ze skinieniem głowy i powoli poszedł wzdłuż foyer.

Marie popatrzyła za nim, potem wróciła do swojego pokoju. Teraz po raz pierwszy zauważyła ciasnotę w izbie, która miała być miejscem jej postoju przez najbliższy czas. Cztery kroki w tę, cztery kroki z powrotem. Miała tylko nadzieję, że starania Jeana wkrótce przyniosą jakiś efekt.

Wkrótce musiała jednak, pojąc, że spraw nie dało się przyspieszyć. Wprawdzie Jean zdawał jej relację każdego wieczoru, jednak audiencja u króla majaczyła w oddaleniu.

Dni upływały, a Marie czuła się tak bezużyteczna jak nigdy. Zaczęła pisać do Troya i pomyślała przy tej okazji, że może nie najlepszym pomysłem byłoby informowanie Trisa o tym, że znowu jest w Wersalu. Gdyby jej zamiary się powiodły, pozostałoby wystarczająco dużo czasu, by wszystko mu wyjaśnić. Bardzo wierzyła w to, że przekona króla, o ile tylko nadarzy się okazja do rozmowy z nim.

Fanette, która bez problemu poruszała się po zamku, przekazywała jej najnowsze plotki, ale żadna z nich nie wzbudziła zainteresowania Marie. Czasami siadała przy oknie i patrzyła z góry na spacerujących po parku dworzan. Ciężko jej było, gdy sobie przypominała, że przecież nie tak dawno temu również do nich należała, była częścią tej gigantycznej, nadętej maszynerii, która służyła jedynie temu, by radować króla.

Tęskniła do spokojnego, zaciszego życia w Mimozie. Za zapachem lawendy i rozmarynu, lazurowym niebem i migoczącym światłem słonecznym.

Gdy mijały kolejne dni, zaczęła tracić cierpliwość. Coraz częściej myślała o tym, że proces przeciw Trisowi mógł się zacząć, zanim uda się jej porozmawiać z królem. Gdy Jean ponownie potrząśnięciem głowy oznajmił jej, że nie przyniósł żadnych nowości, wzięła go na stronę.

- W takim razie musimy wymyślić coś innego. Czas ucieka. Skoro nie dostanę audiencji, muszę znaleźć inną okazję do rozmowy z królem.

- O czym myślicie?

- O tylnej furtce, przez którą się wślizgnę - odparła Marie. - Jako pokojówka albo ktoś taki.

- Każda minuta podczas dnia króla jest dokładnie zaplanowana, to nie jest takie łatwe.

Miał rację, ale królowi zawsze udawało się znaleźć wolną godzinę. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż ona. Musiała wyczuć taki moment.

Następnego przedpołudnia czekała, aż król wróci do swoich komnat ze spaceru po parku.

Gdy się upewniła, że nikt za nią nie idzie, weszła ukrytymi drzwiami, których używał król, by móc opuścić swoje komnaty w sposób niezauważony. Wcześniej często odwiedzał ją w ten sposób lub znikał z nią w odległej komnacie. W zasadzie już wcześniej mogła uciec się do tego podstępu.

Nasłuchiwała głosu króla i jego kamerdynera. Gdy lokaje się oddalili i zapanowała cisza, zrobiła minimalną szparę w drzwiach. Król siedział na szeszlunku i czytał list. Rzeczywiście był sam.

Marie spróbowała uspokoić walące serce. Dzwon wzywający strażnika stojącego przed drzwiami był w zasięgu króla. Jeden ruch ręką i będzie aresztowana. Nieważne. Musiała zaryzykować.

Drżącymi palcami otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Jedwabna suknia cicho zaszeleściła, co sprawiło, że król podniósł głowę. List, który trzymał w ręce, upadł na podłogę.

Marie zrobiła głęboki, dworski ukłon na kilka kroków przed nim. Czekala, aż pozwoli jej wstać. Sekundy szarpały jej nerwy, cisza położyła się ołowiem na jej ramionach.

- Cóż za niespodzianka. Marie Calliere czy lepiej powinienem powiedzieć madame de Rossac? Bezcelność waszego małżonka zdaje się być zaraźliwa.

Marie trwała w bezruchu.

- Możesz się podnieść - głos króla był zdenerwowany. - I możesz się oddalić.

Marie podniosła głowę i powoli wstała.

- Sire, muszę z wami porozmawiać. Błagam was, poświęćcie mi kilka swoich cennych minut. Chodzi o ludzkie życie.

- A mały ptaszek ćwierka mi już do ucha imię tego ludzkiego życia. Oszczędźcie sobie wysiłku, madame de Rossac, nie ułaskawie mordercy mojego siostrzeńca.

Marie z rozpaczą załamała ręce, zrobiła krok w stronę króla i padła przed nim na kolana.

- Nic nie zrobił. Nie jest mordercą...

- D'Istrou i de Marens zdali mi relację z tego, co się wydarzyło. A ponieważ miałem okazję poznać kawalera przed kilkoma miesiącami, nie wątpię, że wykorzysta każdą sytuację, by powstać przeciwko królowi. Dzisiaj to jest Saint - Croix, jutro sprowadzeni na złą drogę poddani przypuszczą szturm na me drzwi i zrobią rewolucję przeciw swemu władcy. Nie, tę sprawę trzeba zahamować.

W każdym słowie króla Marie słyszała zdecydowanie. Oczywiście znała smutną historię z jego dzieciństwa. Gdy miał dziesięć lat, w wyniku powstania - frondy - został zmuszony do opuszczenia Paryża wraz z matką i kardynałem Mazarinem, wprowadzie głównie przez parlament, ale szybko poparły go także najwyższe kręgi szlacheckie, które obawiały się ograniczenia swych praw. Szukali schronienia w St. Germain - en - Laye, gdzie żyli w nędzy. Nigdy nie zapomniał, że najbardziej lojalni poddani, tacy jak książę de Conde, dowódca największej francuskiej armii, czy książę de Orleans, jego własny wujek, nie mieli żadnych skrupułów, gdy chodziło o władzę i tron.

Jego niechęć do rezydowania w Paryżu i wybudowanie w zamian zamku w Wersalu, który go chronił, jednocześnie uzależniając od niego szlachtę w taki sposób, że sprawował nad nią każdą kontrolę, były spowodowane właśnie tymi wydarzeniami. Jednocześnie król był bardzo restrykcyjny wobec tych wszystkich, z których strony obawiał się buntu przeciw jego władzy.

Marie przygryzła dolną wargę, szukając wyjścia. W końcu nie mogła powiedzieć królowi, że dla Wersalu i związanych z nim gier o władzę Tris miał jedynie pogardę. Król interesował go tak samo jak kwestia, czy założy niebieski czy zielony kaftan.

- Sire, kawaler de Rossac nigdy nie podważyłby waszej władzy. Gdybyście poszukiwali sojuszników na prowincji, wtedy on niezłomnie stanąłby u waszego boku - powiedziała mocnym głosem, zdecydowana złapać byka za rogi.

Król zaczął się śmiać.

- Ach, Marie, w swym dążeniu do zachowania tych niewielkich dóbr, które przyniosło wam małżeństwo z kawalerem, ignorujecie i przekręćacie fakty tak, jak się wam podoba.

Marie ściągnęła brwi.

- W moim dążeniu... - A więc, jeśli kawaler zostanie skazany na śmierć, zostaniecie z pustymi rękami. Żona zdrajcy stanu będzie miała trudności z zapłaceniem za ubrania i podobne błahostki. Widzę, że nadeszła dla was długa, mroźna zima, dlatego też rozumiem, dlaczego tak nagle ujmujecie się za swoim mężem, po prostu odsuwając rzeczywistość na bok.

Marie pojęła wreszcie, co miał na myśli. Wzięła głęboki wdech, by opanować złość.

- Nie, sire, to nie jest powód, dla którego rzucam się przed wami na podłogę i błagam o jego życie. To, co mnie spotkało, jest zupełnie nieważne. Proszę was o życie kawalera. Proszę was o to z jednego powodu: ponieważ go kocham, festem gotowa zrobić wszystko, czego zażądacie, byleby tylko pozostał przy życiu. Informacje, które posiadacie, są fałszywe. Skazanie go oznaczać będzie poświęcenie osoby niewinnej. On jest człowiekiem dumnym, który nigdy nie zrobiłby niczego, co byłoby przejawem nielojalności wobec was. Jego śmierć byłaby niepowetowaną stratą dla waszego kraju, sire.

Król wstał z głośnym westchnieniem. Jego wysokie obcasy stuknęły o wypolerowany parkiet, gdy zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Bardzo hojnie obdarzasz ludzi miłością. Czyż nie zapewniałaś mnie wiosną, że twoja miłość należy tylko i wyłącznie do mnie? A teraz to kawaler jest tym, którego kochasz z całego serca. Jeśli zostanie powieszony, na pewno znajdziesz następnego lata kogoś, kogo będziesz mogła kochać. Z odrobiną szczęścia przy wyborze zimy nie będą może tak mroźne, jak się obawiałem.

Słyszała drwiny i wbiła paznokcie w dłonie, żeby nie płakać. Jej głos drżał, gdy w końcu mogła odpowiedzieć: - Myliłam się, gdy zapewniałam was o mojej miłości, sire. Byłam zakochana w... w marzeniu. Zakochana w aksamicie, jedwabiu i biżuterii oraz w mojej młodzieńczej lekkomyślności. Wasza ogromna mądrość pozwoliła wam to zauważyć, sire, ostrzeżliście mnie przed samą sobą. Za to należy się wam moja wdzięczność po wszystkie czasy. Ale to do

kawalera należy moje serce. Jeśli każecie go zabić, zabijecie również mnie. Błagam o waszą łaskę, błagam o jego życie.

Król milczał. Znowu mijały sekundy. Podjętą decyzję czuć było w powietrzu i Marie miała nadzieję, że będzie to ta właściwa.

Z kolejnym głębokim westchnieniem król usiadł przy sekretarzyku i wyciągnął z szuflady białą kartkę papieru. Serce Marie szalało, gdy patrzyła, jak pióro sunęło po papierze, pisząc linijkę za linijką.

- Przeczytajcie to, zanim to przypieczętuję. To wszystko, co mogę zrobić dla kawalera. I robię to tylko ze względu na pamięć o naszych wspólnych, czarujących godzinach. Nie dlatego, że choć przez chwilę uwierzyłem, iż wasz małżonek jest niewinny.

Wyciągnął ku niej dokument, a Marie sięgnęła po niego z trwogą. Gdy przeczytała, z jej twarzy zniknęły wszelkie kolory.

- Dożywotnie wygnanie? - spytała bezgłośnie.

- Nie jestem gotowy, by tolerować wichrzycieli na prowincji. W mej wspomniałości daruję wam życie kawalera. Przecież to jest to, czego pragnęłyście.

Tak, tego pragnęła, ale ceną za to była rezygnacja Trisa z Mimozy. A Marie nie była pewna, czy w tym przypadku nie wolałby śmierci.

- Czyżbyś oczekiwała, że wszystko dobrze się skończy i będzie jak do tej pory? - głos króla wyrwał ją z rozmyślań i patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. - Ma więc czas do namysłu. Moja oferta jest ważna do piętnastego następnego miesiąca. Jeśli tego dnia będzie się jeszcze znajdował w kraju, zostanie mu wytoczony proces. Świadcami koronnymi będą d'Istrou i de Morens.

Rozdział 25

Więzienie w Narbonie było smutną, czworokątną wieżą położoną w pobliżu ratusza. Już z zewnątrz wywołało u Marie ból głowy. Towarzyszyli jej Troy i księżę de Mariasse, którzy pomogli jej wysiąść z karety. Mocno obejmowała ramionami mały, skórzany futerał, w którym znajdowało się pismo od króla.

- Uda nam się. Wy tłumaczmy mu, że musi wykorzystać tę szansę, jeśli chce dożyć swoich następnych urodzin - powiedział księżę, dodając otuchy. - Wszystko będzie dobrze, zobaczycie, madame de Rossac. Od czasu do czasu bywa godnym pożałowania uparciuchem, ale nie jest głupcem.

Marie skinęła głową, mając nadzieję, że księżę ma rację. Pismo od króla wyrwało strażników z letargu. Pospieszyli, by zaprowadzić przybyłych do więźnia.

Marie mocno trzymała się ramienia Troya, podczas gdy księżę szedł przodem. Przemierzali wąskie, niedostatecznie oświetlone pochodniami korytarze. Kątem oka widziała malutkie, okratowane cele, wyłożone słomą, w których znajdowały się jedynie prycze i drewniane wiadra. Przez kraty wyciągały się brudne ręce, uśmiechały się do nich bezzębne usta na białych twarzach. W powietrzu wisiał smród uryny i zgnilizny. Marie zadygotała. W myślach wyobrażała sobie straszliwe obrazki, jednak taki ogrom nędzy przeszedł wszelkie jej wyobrażenia.

Strażnik otworzył drzwi na końcu korytarza i odsunął zasuwę.

- Moi ludzie będą tutaj na posterunku. Każda próba ucieczki będzie zakończona kulką - splunął na podłogę i zawołał do wnętrza piwnicy. - Wizyta, Jaśnie Wielmożny Panie!

Marie wypatrywała przez plecy księcia. Ku jej uldze pomieszczenie było względnie duże i suche. Przez małe, okratowane okienko wpadała wąska smuga światła. Zauważyła łóżko z poduszką i wełnianym kocem. Obok stał stół z krzesłem, którego oparcie było złamane na pół. Nie był to komfort, ale też nie żadna z tych dziur, w których wegetowali inni więźniowie. Pieniądze księcia zostały dobrze zainwestowane.

Czuła obecność Trisa, jednak nie widziała go. Jej oczy szukały go w ciemności z niepewnością i rozpaczą.

- Tris? - zawołała pytająco. Jej głos odbił się od ścian. Szła dalej z wyciągniętymi ramionami.

W końcu zrobił krok i wyszedł z cienia. Na jego plecy opadały sfilcowane włosy, jego twarz pokrywała gęsta broda. Niegdyś biała koszula i spodnie były pełne ciemnych plam i brudu. Ślepa na to wszystko Marie rzuciła mu się w ramiona.

- Nareszcie, nareszcie znowu cię mam! - ulga sprawiła, że do jej oczu napłynęły łzy. - Jestem taka szczęśliwa, że żyjesz. Że masz się dobrze.

Poczuła, jak jego ciało się napięło.

- Oczywiście nie dobrze, ale... mimo wszystko... - przerwała, gdy zobaczyła jego płonące spojrzenie. Jej ręka powędrowała do jego twarzy. Koniuszkami palców dotknęła jego policzka i pogłaskała jego skroń. - Tak strasznie za tobą tęskniłam - pocałowała go w usta. Ponieważ ani nie reagował, ani nic nie odpowiadał, mówiła szybko dalej. - Udało mi się zdobyć ułaskawienie, Tris. Jeśli chcesz, w tej chwili możesz opuścić więzienie.

Spojrzał na nią, jak gdyby postradała zmysły.

- Jeśli chcesz? - jego głos brzmiał szorstko, jak gdyby dawno nic nie mówił.

Troy podszedł bliżej.

- Tak, Marie była u króla, udało jej się nakłonić go, by cię ułaskawił.

Otoczone fioletowymi cieniami oczy Trisa skierowały się na Marie. Wytrzymała jego wzrok.

- Nie będzie żadnej rozprawy, mon cher - głos zabrał ksiązę i położył Trisowi rękę na ramieniu. - Wygląda na to, że jeszcze będziesz huśtał na kolanach swoje wnuki.

Tris wciąż patrzył na Marie. Drżąc, zaśmiała się i zwilżyła usta.

- Byłam w Wersalu i miałam całkiem zwykłą audiencję, podczas której mogłam określić, z czym przychodzę - miała nadzieję, że zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć. - Otrzymałam pismo, dzięki któremu wypuszczą cię na wolność.

- Dlaczego w takim razie żadne z was nie jest szczęśliwe, tylko konwulsyjnie udaje, że jest? - jego głos brzmiał pewniej.

Troy spuścił wzrok, Marie także nic nie powiedziała. W końcu odezwał się ksiązę.

- Oczywiście jest pewien haczyk, mon cher. Przecież wiesz, że król nie robi prezentów. Jego oferta jest prosta: jesteś wolny, jeszcze

dzisiaj, ale w ciągu dziesięciu dni musisz opuścić kraj. - Wygnanie? - to słowo zawisło w powietrzu. Marie wzięła się w garść.

- Tak. Wygnanie. W zamian nie będzie rozprawy. Wyroku skazującego. Szubienicy.

Tris puścił Marie i splótł ręce na piersi.

- A więc żadnej rozprawy.

Marie gorliwie skinęła głową i poczuła, jak wzrasta w niej ulga, że pojął to, co najważniejsze. Jednak jego kolejne słowa w mgnieniu oka zniszczyły tę ulgę.

- Czy którekolwiek z was wpadło na pomysł, że podczas tej rozprawy mógłbym udowodnić swoją niewinność? Że mogę zostać uznany za niewinnego? - jego głos przecinał ciszę. - Czy ktokolwiek zadał sobie trud, by poszukać prawdziwego mordercy? - jego płonący wzrok prześlizgnął się po Marie, następnie mężczyzna kontynuował ostrym głosem - A może uważacie, że to zrobiłem?

- Nie, oczywiście, że nie! - zawołali jednocześnie Troy, Marie i księżę.

- To podajcie mi powód, dla którego nie powinienem podrzeć na strzępy tego wyniosłego kawałka papieru.

- Ponieważ podczas tej rozprawy nigdy nie zostaniesz uniewinniony! - zawołała Marie ze wściekłością. - Zamach na królewskiego siostrzeńca jest równy zamachowi na samego króla. Na jego władzę. Obaj towarzysze hrabiego de Saint - Croix przedstawili cię jako rebelianta i spiskowca, który czeka tylko na to, by zebrać dookoła siebie swoich ludzi i zacząć marsz na Paryż. Jeśli dojdzie do procesu, wyrok jest znany z góry: twoja śmierć.

- Ale ja tego nie zrobiłem, do cholery! - krzyknął, straciwszy swój stoicki spokój. - Musi przecież być jakaś sprawiedliwość.

Henri de Mariasse podniósł swoją zdobioną pierścieniami rękę. - Będzie, jeśli zaakceptujesz pismo króla. Innej sprawiedliwości nie zaznasz na tym świecie. Morderca hrabiego de Saint - Croix zostanie skazany w innym miejscu, a ja nie chcę, żebyś stanął przed tym Sędzią wcześniej niż on

- księżę złapał Trisa za ramiona. - Masz szansę zacząć zupełnie nowe życie, na Boga, wykorzystaj ją.

Tris niecierpliwie strząsnął jego dłonie.

- Nie chcę nowego życia. Moje stare naprawdę mi się podoba.

Księżę zwinął dłonie w pięści.

- Już nie masz starego życia. Masz wybór pomiędzy statkiem, który zabierze cię gdzie tylko będziesz chciał, albo furmanką, która zawiezie cię pod szubienicę. Ten wybór nie jest przecież taki trudny.

- A co będzie z Mimozą? Wszystko, co robiłem, robiłem właśnie dla niej. Mam się poddać, zapomnieć?

- spytał Tris ze zdenerwowania. - Czy mógłbyś tak łatwo opuścić Belletoile?

- Jeśli stawką byłoby moje życie - nie zwlekałbym ani chwili. Zbyt dobrze mi się żyje, jest jeszcze tyle rzeczy, które chcę zobaczyć i zrobić - książę mówił dalej spokojniejszym tonem. - Zostawiłbym Belletoile. Nawet gdybym nie miał nikogo, kto by mi towarzyszył. Nawet gdybym wiedział, że nikt nie poprowadzi za mnie Belletoile.

Troy, który do tej pory był na drugim planie, powiedział cicho:

- Nawet jeśli do tej pory zawodziłem, Tris, będę się troszczył o Mimozę aż do mojego ostatniego tchu, przysięgam ci. Nie musisz się martwić. Będę jej strzegł, na wypadek, gdybyś kiedyś wrócił oraz dla następnego pokolenia.

Marie oparła się o ścianę pod okienkiem i przysłuchiwała się dyskusji mężczyzn. Tris zareagował tak, jak się spodziewała, właśnie tego się obawiała. Problemem była Mimoza, z którą był nierozdzielnie połączony. I jego wiara w sprawiedliwość. Nie wybierze bezpiecznego rozwiązania, jeśli będzie nawet tylko cień nadziei na udowodnienie swojej niewinności przed całym światem.

- Zostawcie nas na chwilę samych - powiedziała do Troya i księcia. Patrzyła za nimi, aż opuścili pomieszczenie. Następnie splótła palce i podeszła do Trisa. Patrzyła na niego szczerze. - Rozumiem cię, Tris. Rozumiem twoją potrzebę zostania oczyszczonym z zarzutów i odzyskania honoru. Chciałabym móc cię przy tym wspierać.

- Możesz, jeśli wyjaśnisz tym dwóm, że nie ucieknę stąd niczym tchórzliwy pies. Chcę rozprawy.

- Ale ta rozprawa będzie farsą. Szukają jedynie ofiary, którą będą mogli powiesić w celu odstraszenia wszystkich buntowników w kraju - mówiła spokojnie, po prostu powtarzała fakty w nadziei, że wreszcie je zaakceptuje.

Przejechał dłonią po twarzy.

- Nie mogę uciec. Nie mogę... Marie przerwała mu.

- Nie kupiłam pisma króla ciałem. Klęczałam na kolanach i błagałam go o twoje życie - spuściła głowę. - A jeśli chodzi o wynik, to nie do końca mi się udało.

- Nie zakładałam, że wydarłaś królowi to pismo w łóżku - powiedział, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Zaskoczona podniosła brwi. - Nie?

- Nie. W Belletoile powiedziałem ci, że cię kocham i że ci ufam. Cóż to byłaby za miłość i zaufanie, gdybym zwątpił w ciebie już przy pierwszym niebezpieczeństwie? Jakież byłby ze mnie mąż, gdybym tak uczynił?

Z wielkiej ulgi kolana Marie zrobiły się miękkie. Wierzył jej. Z jej wyjazdu do Wersalu nie uczynił powodu do kłótni.

- Jeszcze nie podziękowałam ci za to, że zrobiłaś co w twojej mocy, by ratować mnie przed szubienicą - kontynuował.

- To nie jest konieczne. Moje działanie było egoistyczne. Nie jestem gotowa zobaczyć cię na szubienicy. Mam jeszcze tyle życia przed sobą i chcę cię mieć u swego boku. Potrzebuję cię, Tris - powiedziała gorąco. - Potrzebuję cię bardziej, niż Mimoza będzie cię kiedykolwiek potrzebowała - podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach. - Kochaj mnie. Żyj ze mną.

- Ale Mimoza. Co się z nią stanie... Położyła palec na jego ustach.

- Chodzi o ciebie, Tris. O twoje życie. Nie o Mimozę. Nie o Troya. Nie o mnie. Nie myśl o innych, ten jeden jedyny raz pomyśl o sobie.

Otworzył usta i czubkiem języka polizał jej palec. Wstrzymała oddech. Jednym krokiem skróciła dystans między nimi i przytuliła się do niego.

- Lepiej? - spytał z błyszczącymi oczami, w których w końcu zobaczyła cień mężczyzny, którym był, zanim ich rozdzielono. To dało jej nadzieję, że miała jeszcze szansę, by go przekonać.

- Tak, ale niewiele. Pocałuj mnie - rozkazała. - Rozmawiamy już zbyt długo.

Jego usta znalazły się na jej wargach, zanim jeszcze zdążyła wymówić ostatnią sylabę. Wydobyły się z niej wszystkie doznania, tak, że gdy odwzajemniała jego pocałunek, po jej policzkach popłynęły łzy.

- Prawie straciłam zmysły ze strachu o ciebie. - Wiedziałem, że zrobisz coś szalonego, żeby mi pomóc, modliłem się każdego dnia, żebyś się sama przy tym nie zabiła - wymruczał bez tchu.

- Wiedziałeś?

- Nie załamujesz rąk i nie akceptujesz „nie” od losu. To twoja druga natura.

- Nie akceptuję również „nie” od ciebie, Tris - powiedziała cicho.

- Wyjdźmy stąd razem. Wiem, że nie mogę ci zastąpić Mimosy. Ale możemy zbudować sobie drugą Mimosę - gdzie tylko nam się spodoba. Nikt nie może nam zabronić pozostawania w kontakcie z Troyem. Nikt nie może zabronić mu odwiedzania nas. Odejście to nie koniec, to początek.

Westchnął.

- Nie mogę nie zaakceptować twoich argumentów, kiedy udowadniasz mi każdą komórką swego ciała, które przy sobie czuję, że życie ma mi jeszcze tyle do zaoferowania.

- Dobrze - bezwstydnie potarła biodrami jego biodro. - Niech więc tak będzie.

Jego ręce ześlizgnęły się po jej plecach i spoczęły na jej biodrach.

- Nie będziesz mną gardzić, jeśli wybiorę najłatwiejszą drogę? Jeśli nie będę walczyć o mój honor?

Wywróciła oczami, przełknęła gorzki śmiech i powiedziała poważnie:

- Czy będziesz mnie nienawidził, bo będę jedyną częścią twojego starego życia, która ci pozostała?

- Jeśli nie znienawidzisz mnie za to, że Mimosza zawsze będzie w moim sercu.

- Mężczyzna, którego poznałam, ma wielkie serce. Tam jest miejsce dla Mimosy, dla Troya, dla mnie i dla wszystkich wspomnień, które chcesz ze sobą zabrać.

Złapał ją za dłonie i milcząc trzymał je w swoich. Marie bezgłośnie odmawiała modlitwę. Błagała wszystkich świętych, którzy przyszli jej do głowy, by jego miłość i jego zaufanie do niej były wystarczające, by zwyciężyć nad dumą i Mimosą.

Z bijącym sercem odwzajemniła jego spojrzenie i spróbowała przekazać mu trochę swojej ufności. Da radę, ale to on musi podjąć decyzję. Ona powiedziała już wszystko, co było do powiedzenia.

W końcu puścił jej ręce i schylił się po pismo od króla, które niedbale upuścił. Podniósł je i po raz ostatni przeczytał jego treść. Następnie zwinął je i skręcił w palcach.

W piersi Marie zebrał się strach, który utrudnił jej oddychanie. Poczowała jego rozterki i czekała na słowo, które przekaże jego decyzję. Ostatecznie i nieodwołalnie.

Spojrzał na nią. W jego oczach był gorzki smutek, który rozdzierał jej serce. Wszystko w niej rwało się, by zamknąć go w swoich ramionach i chronić go przed niesprawiedliwością losu. Ale trwała w bezruchu. To była jego decyzja. Jaka by nie była, oboje będą musieli z nią żyć.

Tris podał jej zwój. Marie przełknęła ślinę. Sięgnęła po niego drżącymi palcami. Nie odważyła się spytać. W jej oczach płonęły tysiące lez, z których żadnej nie chciała uronić w jego obecności.

- Dziesięć dni to niewiele, by wszystko uregulować - powiedział w końcu, a Marie zrobiło się słabo z ulgi.

- Nie marnujmy więc już ani minuty.

Marie śmiała się, nie zauważając, że po jej policzkach płynęły łzy. Wyciągnęła do niego rękę. Gdy opuszczali piwnicę i zamykały się za nimi drzwi, jej palce splotły się z jego palcami w czystej, nierozzerwalnej więzi.

Epilog

Ghislaine patrzyła przez okno salonu na południe, gdzie znajdowało się morze. O tej godzinie od brzegu miał odbić statek, który miał zabrać Trisa do kolonii. Nie potrafiła już płakać.

Po tym, jak Henri opowiedział jej, co się wydarzyło, został u niej całą noc. Kołysał ją w swoich ramionach, próbował ją pocieszyć i osuszał jej łzy. Jego zapewnienie, że zaopatrzył Trisa w pieniądze i nieoprocentowaną pożyczkę w najmniejszym stopniu nie ukoilo jej bólu.

Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że wróci do niej, gdy wyblaknie urok tej nowości, która biła od Marie. Albo że chociaż będzie go widywać od czasu do czasu jako sąsiada. Jednak nic z tych rzeczy nie było możliwe. Na zawsze zniknął z jej życia. Pozostały jej jedynie wspomnienia i trzy tuziny obrazów, które namalowała po ich rozstaniu.

- Dlaczego jesteś taka smutna?

Usłyszała głos Jacquesa, ale się nie odwróciła. Nikt mu nie powiedział, że Tris wyjedzie. Henri zwykł z nim nie rozmawiać, a jej samej brakowało sił. Wypowiedzenie tego na głos oznaczałoby, że nieodwołalnie stałoby się to rzeczywistością.

- Nie chcę, żebyś była smutna - podszedł bliżej i stanął obok niej.

- Zobacz, mam coś dla ciebie.

Niechętnie się odwróciła. W jego wielkich łapach siedział wściekle prychnący kotek, nie większy od jabłka. Trzymał zwierzaka przed nią z promiennym uśmiechem,

- Teraz już nie będziesz smutna.

Patrzyła na kotka i nic nie czuła. Jej ból nie pozostawił miejsca na inne uczucia.

- Weź go, Ghislaine, zobacz, jaki jest miękki - prosząco podniósł kociaka.

- Może później, Jacques. Zabierz go teraz z powrotem do mamy - chciała być sama, nie chciała się nim zajmować.

- Na pewno poprawi ci się humor, kiedy go potrzywasz i pogłaszczesz - nalegał i poparł swoje słowa gestem na siłę.

Rozzłoszczony takim traktowaniem kotek zanurzył swoje malutkie ząbki w jego kciuku. Krzyknął i słychać było ciche chrupnięcie. Prychanie ucichło, a główka kota opadła bezwładnie na bok. Z pyszczka zwisał czubek języka.

Jacques gapił się na swoje dłonie.

- Nie - wymamrotał. - Nie chciałem tego. Znowu tego nie chciałem.

Ghislaine powoli podniosła głowę. Przez jej plecy przebiegł zimny dreszcz.

- Znowu? - powtórzyła zaalarmowana. - Czy coś takiego już się zdarzyło?

Nie patrzył na nią, tylko głaskał palcem mały łeppek.

- Spytałam cię o coś, Jacques - powiedziała ostro. - Odpowiedz mi.

- Będziesz zła - wymamrotał niewyraźnie.

Postarała się opanować.

- Nie będę zła, jeśli mi opowiesz, co się stało.

- Nie zrobiłem tego celowo - skubał ucho martwego kotka. - Naprawdę nie. Tylko nie chciałem, żebyś płakała.

- Czego nie zrobiłeś celowo? - próbowała opanować głos, by nie brzmiał ostro od przerażenia.

- Na przyjęciu u Henri'ego. Wybiegłem z niego, bo chciałem iść do zwierzyńca. Ale tam wszystko było pozamykane, wróciłem więc do sali, żebyś nie zauważyła, że mnie nie ma. Ale ciebie nie było. Więc zacząłem cię szukać. Opowiedziałaś mi, że wcześniej chętnie chodziłaś do pawilonu na wzgórzu. Tam cię szukałem, ale cię tam nie było. Znalazłem tylko fiołkowe pastylki Trisa. Chciałem mu je potem oddać. Ze wzgórza zobaczyłem, że kłóciłaś się z hrabią de Saint - Croix i że potem płakałaś. Chciałem mu powiedzieć, że ma cię nie złościć, że nie chcę, żebyś płakała i była smutna - przerwał.

- Co było dalej? - serce Ghislaine waliło jak młot.

- Śmiał się. Wyśmiał mnie. I nazwał mnie bezużytecznym cretin, który nie ma prawa nawet do opróżniania mu nocnika. Nie chciał mi obiecać, że już nie będzie cię złościć - znowu przerwał i spuścił wzrok na martwe kocię w swojej dłoni.

- Chciałem nim tylko potrząsnąć i go nastraszyć. Przecież jestem od niego dużo większy. On jednak nie przestawał się śmiać, wtedy zacisnąłem jego szyję. Tylko troszkę, Ghislaine, naprawdę tylko troszkę, ale nagle jego twarz zrobiła się cała czerwona i upadł na ziemię, gdy go wypuściłem i już się nie ruszał.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Bo byłąbyś wtedy na mnie zła, że sam pobiegłem do tego zwierzyńca. I nie wiedziałem, jak mógłbym ci opowiedzieć to całe zdarzenie, bo wtedy znowu byś na mnie krzyczała i nie zabrałabyś mnie więcej do Henri'ego. Dlatego powiedziałem następnego dnia, że jestem chory i zostałem w swoim pokoju do naszego wyjazdu.

Ghislaine próbowała zrozumieć, co jej opowiedział. Zabił hrabiego, a Tris został za to zesłany na wygnanie. W okrutny sposób Jacques zniszczył jej życie po raz drugi.

- Jesteś na mnie zła? Proszę, powiedz, że mnie lubisz. Nie chciałem uciec, nie chciałem nic zrobić hrabiemu - patrzył na nią błagalnym wzrokiem pięciolatka, który stukł szybę w salonie.

Walczyła sama ze sobą. Jacques nie wytrzymałby postępowania sądowego. Nie mogła sama przed sobą wziąć odpowiedzialności za skazanie go na nie, wtrącenie go do wilgotnego lochu do czasu, gdy będą ciosać dla niego szubienicę i wystawienie go na publiczne drwiny i krzyki. Było to równe zdradzie bezradnego dziecka. Nie mogła tego zrobić Jacquesowi. Hrabia nie żył, a Tris był dla niej na zawsze stracony. Bóg rzuca kośćmi.

- Nie jestem na ciebie zła. To bardzo miłe z twojej strony, że próbowałaś powiedzieć hrabiemu, żeby mnie już więcej nie złościł. Jednak zanim jeszcze raz zrobisz coś takiego, powiedz o tym mi albo Richardowi. Obiecasz mi to?

Skinął głową z taką gorliwością, że jego blond loki zaczęły fruwać.

- Tak, obiecuję ci wszystko, jeśli tylko znowu będziemy przyjaciółmi.

- Dobrze, Jacques. Znowu jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele mają tajemnice, wiesz o tym?

Znowu skinął głową.

- A więc to, co mi właśnie opowiedziałaś, pozostanie naszą tajemnicą. Nie może się o tym powiedzieć nikt oprócz nas, obiecasz mi to?

Jego twarz się rozjaśniła.

- Tak, Ghislaine, teraz naprawdę jesteśmy przyjaciółmi. Mamy tajemnice - radował się. Jego wzrok padł na kotka, którego wciąż trzymał w dłoniach.

- Pochowamy go, Ghislaine? Jest takie miejsce na zewnątrz przy różach.

Po raz ostatni spojrzała przez okno. Potem wzięła z jego rąk martwe kocię i pogłaskała miękkie futro.

- Tak, Jacques, chodźmy na zewnątrz i pochowajmy kotka.